



Kacik 
zagubionych serc
Magdalena Trubowicz

Kupichyn



*Kacik
zagubionych serc*

Magdalena Trubowicz

*Kacik
zagubionych serc*

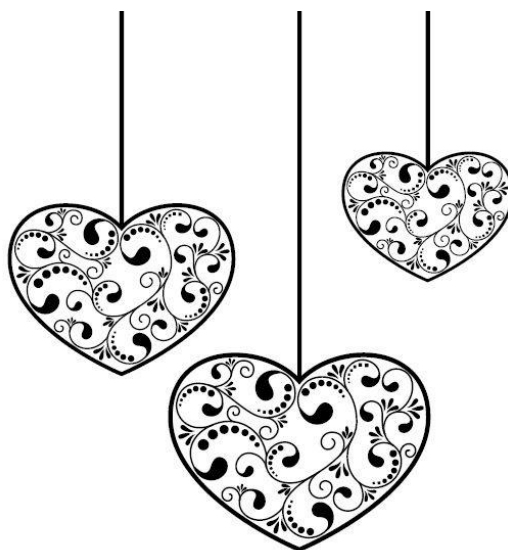


Bez jednej choćby rany, to jeszcze nie miłość

ks. Jan Twardowski

Legnica 2016

*Wspaniałym kobietkom – trzem Magdom i Malwinie,
w podziękowaniu za niezwykłą przyjaźń.*



– Och, ach... Ała... Och... Och! Uch! Tak, tak, tak!

– Kuba? – Skwasiłam się już na progu, słysząc odgłosy dochodzące zza drzwi.

Nie pierwszy raz szczerze ucieszyłam się, że mieszkamy w domku jednorodzinny na dość dużej działce. Wystarczająco dużej, by sąsiedzi nie słyszeli kłótni, wrzasków... czy choćby takich odgłosów jak te teraz.

– Och, och! No weź! Aaa... Och, ach... Uuu!

– Kuba?! – zawołałam jeszcze raz. – Niech to szlag! – mruknęłam pod nosem.

Czyżby mój dorastający syn znów edukował się z wychowania seksualnego w Internecie? Na Boga, czy on nie słyszał brzęku kluczy? Trzasku drzwi?

Odłożyłam torebkę na komodę i odwróciłam się do drzwi z zamiarem ponownego ich otwarcia i ostentacyjnego zamknięcia. Co jak co, ale nie miałam zamiaru złapać syna na gorącym uczynku. Może dla niego to nie byłoby nic wielkiego, ale dla mnie? Chyba spaliłabym się ze wstydu! Wiadomo to, czy tylko ogląda? Czy może jednak nie jest sam?

Westchnęłam ciężko. Kuba dorastał zdecydowanie za szybko. Mimo że miał już prawie szesnaście lat, wciąż trudno było mi pogodzić się z myślą, że już niedługo nie będę najważniejszą kobietą w jego życiu, a przyjemność będą mu sprawiać inne rzeczy niż wyjście z matką do kina czy solidny schabowy, oczywiście koniecznie w moim wykonaniu – jego matki. No właśnie...

– Och... Och! Aaaaaachhh! Tak, tak! Dochodzę!

– Boże najmilejszy, nie zdzierzę tego – warknęłam.

Nacisnęłam na klamkę, otwarłam drzwi i stanęłam jak wryta. Kuba nerwowo szukał czegoś w plecaku.

– Co ty tu robisz? – spytaliśmy się w jednym momencie.

Zmierzyliśmy się wzrokiem i podążyliśmy spojrzeniami w kierunku, z którego dochodziły jęki i odgłosy łóżkowej ekstazy.

– Powiedz, że zostawiłeś włączony komputer – szepnęłam błagalnie, kiedy skradaliśmy się po schodach.

Kuba pokręcił przecząco głową i posmutniał, najwyraźniej przeczuwając dalszy rozwój sytuacji. Po chwili staliśmy przed drzwiami sypialni, szturchając się wzajemnie i zmuszając do wejścia.

– Nie mogę.... – westchnęłam i osunęłam się po drzwiach.

– Co to było?! – Rozległ się kobiecy głos. – Mówiłeś, że jesteś sam!

Kuba stał z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami i nasłuchiwał. Zdawało się, że zidentyfikował ofiarę.

– Sam jestem. – Andrzej zarechotał. – Kuba jest w szkole, a Wanda dostała kieszonkowe i pewnie biega po sklepach. Ona jedzie do galerii od razu, choćby dostała tylko stówkę jałmużny! – Zachichotał. – A teraz dałem jej ich aż pięć, to sobie jeszcze chwilę pobrykamy – dodał. Rozległy się kolejne chichoty i mlaskanie.

– Och, misiu, jaki jesteś gorący! Mrauuuu....

– Niedobrze mi – warknął Kuba i pchnął drzwi, z impetem wpadając do pokoju.

– Kuba? Wanda? – Andrzej wyskoczył z łóżka jak poparzony, chwytając w pośpiechu prześcieradło i okrywając nim swoją nagość.

Leżąca na łóżku młoda dziewczyna nakryła się kołdrą po czubek głowy, chyba wierząc, że nikt nie zdołał jej zauważyć.

– Mówiłeś, że jesteś sam – jęknęła po chwili.

– Tato? Druhna drużynowa Katarzyna? – Kuba złapał się za buzię i pobiegł do toalety, by zwymiotować.

– Andrzej? Ty? Z tą gówniarą? – Złapałam się pod boki, gotowa do ataku.

– To nie tak jak myślisz, kochanie! – próbował się ratować Andrzej.

– Chcesz mi powiedzieć, że pobierasz nauki od tej miłej pani, szykując się na naszą kolejną rocznicę ślubu? – Zaśmiałam się nerwowo.

– Andrzej, ja się tu uduszę pod tą kołdrą – jęczała dziewczyna.

– To się odkryj, na Boga, przecież i tak cię widzieli! – warknął.

– Ale ja tak nie mogę...

– Jeszcze przed chwilą całkiem nieźle ci szło – rzuciłam poirytowana.

Jakby to, czy druhna Katarzyna znajduje się pod kołdrą, czy na kołdrze, było

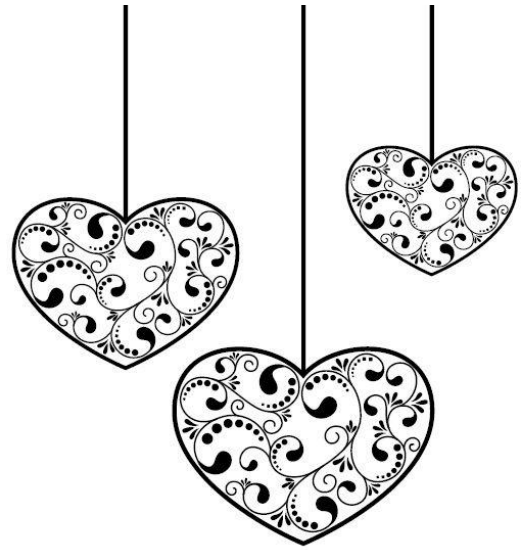
w tej chwili największym problemem.

– Kochanie, porozmawiajmy... – błagał Andrzej.

– Chyba już nie mamy o czym – powiedziałam oschle, po czym odwróciłam się na pięcie i wyszłam. – Kubaś, kochanie, wszystko w porządku? Czekam na ciebie na dole.

– Poszła już? – krzyknął zza drzwi łazienki.

– Nie, to my wychodzimy.



To ja – Wanda. Wysoka, szczupła i ponoć niebrzydka rozwódka. Podwójna rozwódka. Piszę to i przypomina mi się taki spot telewizyjny: „Mówię po polsku! A jaka jest twoja supermoc?”.

Ja jestem rozwódką – podwójną. I napisałam to właśnie drugi raz. To tak dla podkreślenia mojej wyjątkowości. Albo dla upewnienia się, że wszyscy, którzy do tej pory nie uciekli, zrozumieli mój przekaz i są tu dobrowolnie.

Po pierwszym rozwodzie wydawało mi się, że to był wypadek przy pracy. A może jednak przy zabawie? Bo jeśli ktoś potajemnie wychodzi za mąż dwa dni po osiemnastych urodzinach, za ponoć największą miłość swojego życia – to raczej jest jeszcze na placu zabaw.

Ile mi zajęło, by to zrozumieć? Niecały rok. Mniej więcej tyle czasu największa miłość mojego życia, Michał, potrzebowała, by odnaleźć największą miłość swojego życia. Oczywiście łapiecie, że nie chodzi o mnie? Wtedy chodziło o Bogusię z czwartej ce. Chociaż z tego co wiem, ona również po kilku latach znalazła największą miłość swojego życia. Uściślę, że nie był to Michał.

Tak siedzę nad kubkiem kawy i myślę sobie, że ten mechanizm odnajdywania największych miłości w życiu chyba ciągle działa. W końcu właśnie kilka tygodni temu przyłapałam mojego męża, Andrzeja, w łóżku z druhną drużynową Kaśką. Kobieta opiekującą się zastępem, do którego należał nasz syn, Jakub... I wyobrażcie sobie, że oni oboje też zapewniali mnie, że to jakoby

największa miłość w ich życiu. Dacie wiarę?

– Co chcesz na śniadanie? – pytam mojego syna, który właśnie wszedł do kuchni.

Pewnie znów i tak mi nie odpowie. Zrobię jego ulubione kanapki. Nie odzywa się, odkąd stało się TO. W końcu to był jego ojciec i jego druha drużynowa, z już byłej drużyny. Sami rozumiecie, że Kuba musiał opuścić szeregi harcerzy. To znaczy nikt go nie zmuszał, to była raczej kwestia honorowa. Czy dlatego się nie odzywa? Nie, chyba chodzi coś więcej. W końcu w geście obrazy i solidarności z poszkodowaną przez życie matką porzucił ekskluzywnie urządzony pokój w dwustumetrowym domu, otrzymując w zamian izbę wielkości schowka na miotły, w małej klitce pośrodku szarego blokowiska. W dodatku zwykle marudząca matka, czyli ja, zrzędzi dwa razy więcej, a biedak nie ma gdzie się schować. Więc sobie umyślił młodzieńczy bunt, wyrażany milczeniem. Boże, jak mnie to wkurzało! Chciałabym, by mi pyskował, sprzeciwiał się, tupał nogą. A on milczał. Zawsze był uparty i taki podobny do swojego ojca.

– Chciałbym pojechać z chłopakami nad jezioro na kilka dni.

Jednak są powody, dla których przerywa się znowę milczenia.

– Gdzie? Jak? Z kim? Po co? – rzuciłam serię pytań.

Może i byłam podwójną rozwódką, w dodatku w kompletnej rozsypce, ale pewne rzeczy nie zmieniają się nigdy. Grypa, zwolnienie z pracy, pierwsze zmarszczki, zdrada męża – żaden kataklizm nigdy nie zdoła uśpić czujności nadopiekuńczej matki.

– Mamo... – Popatrzył na mnie z wyrzutem.

– No dobra, ile potrzebujesz? – Uniosłam ręce w geście poddania.

Andrzejowi ufałam bezgranicznie i mnie oszukał. Kubie nigdy nie ufam, a zawsze jest wobec mnie w porządku. Prosty rachunek – młody ma swoje życie, swoje sprawy i niech jedzie. Już wystarczy, że odszedł z harcerstwa.

– No... Jakiś tysiąc... – szepnął niewinnie, błędząc wzrokiem gdzieś w okolicy naszej nowej lodówki.

– Ile? – krzyknęłam, łapiąc się za głowę. – Wiesz, że krucho u mnie z kasą! – zajęczałam żałośnie.

Co prawda zostały mi jakieś resztki pieniędzy ze sprzedaży auta i lada dzień powinny już spływać alimenty, ale to i tak kropla w morzu. I tak żyliśmy już w skrajnych – by nie powiedzieć: nędznych – warunkach. Cholera, miałam tylko jeden krem pod oczy i stosowałam go tak na dzień, jak i na noc!

– A kasa za auto? – dopomniął się mój pierworodny.

– Pieniędźmi ze sprzedaży auta opłacałam pół roku wynajmu naszego nowego królestwa. I odgrzybianie go, odpchlenie, odrobaczenie i pełną dezynfekcję. Chociaż wciąż czuję tu obecność byłych lokatorów. Zostały jakieś dwie stówki, ale musimy coś jeść – westchnęłam żałośnie.

– Może dlatego, że oboje nie żyją, a ich duchy zostały w tym mieszkaniu. – Kuba się roześmiał. Skarciłam go wzrokiem. Dobrze wiedział, że nie lubię takich żartów. Mimo moich czterdziestu dwóch lat, wciąż niechętnie zostaję sama w domu. A w niniejszym przybytku z duchami byłych lokatorów to już całkiem się bałam. To był kolejny argument przemawiający za tym, by Kuba nigdzie nie jechał. Patrzę jednak na niego, takiego biednego, zranionego przez rodzonego ojca. Serce mi mięknie.

– Dobra, kiedy ten wyjazd? Coś wykombinuję. – Podrapałam się po głowie.

Mogłabym sprzedać nerkę. Ale chyba rozsądniej będzie na początek przetopić obrączkę ślubną. O – to jest myśl. Aż się rozpogodziłam na ten pomysł.

– Wiedziałem, że można na ciebie liczyć! – Syn uśmiechnął się, zgarnął kanapki do plecaka i tyle go widzieli.

To jednak się kumplujemy?

– Tylko weź klucze, bo zaraz wychodzę na miasto i nie wiem, kiedy wrócę! – krzyknęłam za nim.

– Nie wiem kiedy wrócę? Powinienem się martwić? – Kuba wsadził nos do kuchni, najwyraźniej węsząc jakiś podstęp.

– Idę szukać pracy. – Popatrzyłam na niego uśmiechnięta. – Nie chcę, by ojciec odebrał mi prawa rodzicielskie z powodu mojego bezrobocia.

– On to się musi chyba najpierw postarać o opiekę rodzicielską nad Kaśką – prychnął Kuba.

– Idź, bo się spóźnisz – skarciłam go.

Nie miałam ochoty setny raz poruszać tego tematu, ale jego komentarz był nawet zabawny.

– Mamo, już po radzie pedagogicznej. Koniec, ende, finito. Nie idę do szkoły. – Kuba pokręcił głową.

Rzuciłam wzrokiem na kalendarz. No tak, nie wrywałam kartek od jakiegoś miesiąca, a tu już wakacje za pasem. I pewnie ten jego wyjazd bliżej niż dalej. W takich chwilach ogarnia mnie psychodeliczna panika. Skoro nie radzę sobie nawet z upilnowaniem kalendarza, to jak mam sobie poradzić z domem, pracą, synem, z życiem?

Dwadzieścia lat temu dałam się zamknąć w wygodnej klatce kury domowej i teraz byłam niczym więzień, który wychodzi po odsiedzeniu wyroku. Jedyne różnica jest taka, że on ma na karku mroczną przeszłość, a ja przeszłości nie mam wcale. Studia ukończone, dyplom leży w szufladzie od dwóch dekad, a potem tylko czarna dziura. Na studiach to się jeszcze pracowało. To w kawiarni, to w pizzerii – ot, dla przetrwania. Ale teraz?

– O Boże! – jęknęłam zrozpaczona.

Kawa mi się skończyła, tylko fusy zostały. Szkoda, że nie umiem z nich wyróżyć swojej przyszłości. Kurde, a może lepiej nie wiedzieć? Czy rozeszłabym

się z Andrzejem wcześniej, gdybym wiedziała, że mnie zdradzi? Czy zadbałabym o siebie jeszcze bardziej, żeby mnie nie zdradził? Dwadzieścia lat małżeństwa i takie hece. Żebym ja chociaż coś przeczuwała, coś podejrzewała. A tu normalnie dzień za dniem. Lekka rutyna, ale, do licha, to już dwadzieścia lat małżeństwa. Światło się wieczorem gasi z przyzwyczajenia i oszczędności. Pieszczot zbyt nachalnych nie stosuje, by syna nie obudzić, chociaż pewnie to on mógłby nam doradzić w temacie. Ostatki, andrzejki, sylwester – zawsze dostojnie w towarzystwie. I kino w każdy pierwszy piątek miesiąca i trzy różne zupy w tygodniu. Wyprane, wyprasowane, posprzątane, dziecko się samo już pilnuje, ale przez tyle lat przecież go piastowałam. No, gdyby on mnie chociaż z jakąś bizneswoman zdradził, to biłabym się w pierś, że karierę zaniedbałam, a on może chciał żonę światową, przedsiębiorczą.

Ale Kaśka? Podlotek to, ledwo osiemnaście lat skończyła! Prędzej bym się spodziewała, że Kuba do niej cholewy będzie smalił, ale nie Andrzej.

Chyba że go uwiodła, siksa jedna! Na kasę poleciała, dekoltem zaświeciła i masz, babo, kolejną najprawdziwszą miłość! Ciekawe, ile to potrwa? Do pierwszych problemów z prostatą czy do zapoznania z rodzicami Kaśki?

Niech to szlag!

Wstałam, podeszłam do blatu, by zrobić sobie kolejną kawę, a tu mi jakiś karaluch po szafce popyla!

– Yyyyyyghhh!

Wydałam fortunę na dezynsekcję, a TO wciąż się pałęta po moich królewskich apartamentach! Nie piję kawy. Pewnie te szkarady mi niejedną kupę w puszcze z kawą zostawiły. Takiej diecie mówię serdeczne dziękuję!

Siadam zrezygnowana przy stole i zaczynam przelatywać wzrokiem po ogłoszeniach w rubryce „Praca”. Z miejsca ogarnia mnie czarna rozpacz. Pracodawcy dziś to są nieźle szajbnięci. Czego oni oczekują? Pięciu fakultetów, minimum trzech języków obcych... Chociaż gdybym wliczyła łacinę, to może dałoby się trochę oszukać. W dodatku chcą, żeby kandydatka miała dwadzieścia pięć lat i piętnaście doświadczenia zawodowego. No to leżę i kwiczę...

A może Andrzej mógłby mi wystawić jakieś referencje? Prowadzi tę swoją firmę montującą alarmy, może mógłby napisać kilka zdań. Łapię za telefon i wybieram jego numer. Pewnie tego pożałuję, bo mimo że to on mnie zdradził i tylko ja powinnam być wściekła, nie rozstaliśmy się w najlepszych humorach. Oboje!

– Sprzedałaś moje auto za pięćdziesiąt tysięcy?! Czyś ty postradała rozum? Ono było warte co najmniej siedemdziesiąt! – wita mnie czule.

– Dla mnie było nic niewarte, tak jak jego właściciel – odgryzłam się złośliwie.

Chyba nici z referencji.

– To trzeba było je oddać na szrot! – warknął.
– Potrzebowałam pieniędzy na życie – westchnęłam.
– I niby taka obrażona na mnie byłaś, tak honorowo się wyprowadziłaś, a jednak auto zabrałaś. Zero godności – podsumował mnie oschle.

Co ja w nim widziałam?!

– Ty mi mówisz o godności? Ty, który rozplakałeś się jak dziecko, kiedy cię postraszyłam, że uświadomię rodziców Kaśki o waszym romansie? Serio?! Nie rozśmieszaj mnie. Auto to rekompensata za straty moralne – ucięłam krótko.

– Straty moralne? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Potraktuj to jako pierwszą ratę – dodałam z przekąsem.

No co? Duma dumą, ale żyć jakoś trzeba.

– Nie mam czasu gadać. Po co dzwonicz? – zdenerwował się.

Teoretycznie chciałam poprosić o te pieprzone referencje, ale w obecnej sytuacji to chyba nienajlepszy pomysł. Zawahałam się. Wyjdę na głupka, jeśli zaraz nie podam jakiegokolwiek powodu, dla którego mogłabym do niego dzwonić. Ja, śmiertelnie obrażona, skrzywdzona żona. Dzwonię do swojego oprawcy. Po co? Po co ja, do cholery, dzwonię?

– Twój syn cię potrzebuje.

A jakże, przecież mogę pozbyć się trochę godności w sprawie mojego jedyne go syna, Jakuba.

– Kuba? – zdziwił się. – Gdy ostatnio do niego dzwoniłem, powiedział, że ma mnie w dupie.

– No widzisz? Ma biedak problemy. I... i... i muszę wysłać go na tygodniową terapię rehabilitacyjną, o! – wykrztusiłam wreszcie. – A ty, jako powód tych jego problemów, oczywiście zapłacisz za terapię, prawda? – dodałam pewnym tonem.

– Będiesz teraz ode mnie ciągnąć kasę jak pijawka?

– Będiesz się teraz wyrzekał swojego syna?

– Dobra, zapłacimy po połowie – westchnął zrezygnowany. – To ile potrzeba?

– Tysiąc będzie dobrze – powiedziałam z satysfakcją. Po prawdzie była to cała potrzebna kwota, ale Andrzej nie musi o tym wiedzieć. Jestem zaskakująco przedsiębiorcza, kiedy mam nóż na gardle.

– Niech będzie, dam mu tysiąc dwieście. Niech ma kieszonkowe jakieś. Może po tej rehabilitacji zacznie się chociaż do mnie normalnie odzywać – skwitował i się rozłączył.

No to jeden problem z głowy. Tysiąc dla Kuby na wyjazd z kolegami, dwieście dla mnie za stres i upokorzenia. Kupię sobie białą bluzkę i czarną spódnicę – idealny zestaw na rozmowy kwalifikacyjne.

– Z kim ty tak gadasz, że się nie można do ciebie dodzwonić? – Ledwo

zakończyłam uroczą pogawędkę z moim byłym mężem, a urocza melodyjka oznajmiła mi kolejne przychodzące połączenie.

– Ciebie też miło słyszeć, siostró – skwitowałam jej brak przywitania.

– No tak, cześć, cześć. Jak się masz? Jak się czujesz? – Magda westchnęła zatroskana.

Ona jedyna okazała mi odrobinę wsparcia w tej jakże trudnej sytuacji. Bo rodzice zakazali mi się odzywać, dopóki sobie tego nie przemyślę. Boże, nad czym tu myśleć? Krecik znalazł sobie nową norkę i stara musiała się obrazić, bo jakżeby inaczej? Oni tego kompletnie nie rozumieją. Wolą się wyprzeć córki niż dopuścić do siebie myśl, że jest rozwódką. Podwójną. Och, jaki to dla nich cios i rozczarowanie. Może powinni zaprosić Andrzeja na święta i przeprosić za ten wciśnięty mu dwadzieścia lat temu wybrakowany towar. Wrr...

– Jest aż tak źle?

– Dlaczego?

– No bo nic nie mówisz. Może przyjadę do ciebie? – zaproponowała. – Tylko wiesz, nie będę sama. Bliźniaki ząbkują i przez to nie wysłałam Kaliny do szkoły, bo zasnęłam – dodała ze skruchą.

Magda i jej gromadka dzieci w moim maleńkim mieszkaniu? O, co to, to nie! Przecież oni rozniosą mój cały dobytek w drobny mak! Jak nic dostanę wypowiedzenie umowy ze skutkiem natychmiastowym. Chociaż gdyby ich odpowiednio wykorzystać, może te wrzaski wypłoszyłyby całe robactwo. To jest pomysł! Ale miałam szukać pracy.

– Czyli nie? – Moja siostra się zniecierpliwiła, najwyraźniej wciąż warując po drugiej stronie słuchawki, oczekując jakichkolwiek oznak mojego życia.

– A załatwisz mi referencje? – wypaliłam nagle.

– Jasne – oznajmiła pewnie, jakbym poprosiła ją o kupno kilograma soli. – Będziemy za pół godziny.

Po dwóch godzinach nerwowego biegania od okna do okna w końcu ich zobaczyłam – Magdę obładowaną tobołami, pchającą wózek z bliźniakami i ciągnącą za sobą Kalinę. Nigdy nie zrozumieję, jak to możliwe, że moja siostra jest taka szczęśliwa i spełniona. Przecież to istna katastrofa! Włosy zmierzwił, pozlepiane – myślałam, że od potu, a jednak to lizak, który przykleił jej Antoś, gdy się pochylała, by poprawić mu buta. Wyprawka wielka – jakby szła handlować na bazar! – a w niej ponoć same najpotrzebniejsze rzeczy. Jasne, ja też zawsze noszę przy sobie klucz francuski i apteczkę pierwszej pomocy. A w całym tym galimatiasie najzacniejszy jej uśmiech od ucha do ucha. Może zamiast referencji powinnam poprosić ją, by załatwiła mi trochę tych leków, które z pewnością łyka w sporych ilościach?

– Cześć, dzieciaki! – przywitałam ich serdecznie.

Kocham tych moich siostrzeńców, ale tylko gdy widzimy się od czasu do

czasu. W końcu jestem matką jedynaka, który na dodatek wyrósł z pieluch jeszcze w czasach, gdy jednorazowe pieluchy były luksusem.

– Ciocia, a dlaczego ty nie mieszkasz z wujkiem? – zapytała Kalina jeszcze w progę. – Czy to dlatego, że jesteś już stara i brzydka? Bo tata mówi, że właśnie dlatego – dodała, nie czekając na moją reakcję.

– Kalinko, idź do kuchni i przygotuj picie dla chłopców. – Magda z zawstydzeniem oddelegowała swoją latorośl. – Roman... Roman tak tylko żartował. Musiała podsłuchać, źle zrozumieć – zaczęła się tłumaczyć, gdy Kalina zniknęła za drzwiami kuchni.

– Wcale nie, wyraźnie mówił, że ciocia Wanda to już przeżytek i wuj dobrze zrobił, że się jej pozbył! – krzyknęła z kuchni Kalina.

– Córeczko, picie! – warknęła Magda, uciekając wzrokiem, by nie widzieć mojej miny.

A ja tak lubiłam Romana. Tak go zawsze wspierałam, doceniałam. A to gnida plemnikowa jedna! Przy najbliższej okazji napomknę mu niby przypadkiem, że Kalinka to jakaś do niego niepodobna. A co, niech się pomartwi trochę chłopina, czy czasem nie był przeżytkiem w czasie, gdy Magda miała owulację dziesięć lat temu!

– Mam coś dla ciebie. – Moja siostra wyraźnie się rozpogodziła, szukając czegoś w opasłej torbie. Po chwili wyciągnęła pomiętoloną i upaćkaną kremem do pupy kartkę.

– Przepraszam, zaraz to przepiszę od nowa. Tylko przeczytaj, czy będzie dobrze.

Zerknęłam na kartkę i aż przysiadłam na szafce na buty w przedpokoju.

„Referencje Pani Wandy Guzik

Pani Wanda Guzik pracowała u nas jako opiekunka do dzieci i gosposia przez pięć lat. Przez cały ten okres nie wzięła ani jednego dnia wolnego. W dodatku wykazała się pełnym zaangażowaniem i profesjonalizmem na najwyższym poziomie. Wszystkie obowiązki wykonywała bardzo sumiennie i z sercem. Jest osobą o wysokiej kulturze osobistej, doskonale organizuje swój czas, jest bardzo samodzielna. Często wychodziła z inicjatywą i nigdy nie zawiodła naszego zaufania.

Podpisano

Magda i Roman Bacikowie”

– Co to ma być, do cholery? – zapytałam zdenerwowana.

– No... prosiłaś o referencje – zdziwiła się Magda.

– Żebyś mi fachowe załatwiła, z jakiejś firmy! – zawylałam.

– A te są złe?!

– Ale ja nie szukam pracy jako gosposia i opiekunka – westchnęłam z żalem.

– Lepszy rydz niż nic – podsumowała Magda. – Gotować umiesz? Sprzątać

umiesz? Dzieciaka wychowałaś swojego, to i z innymi sobie poradzisz. A może przy okazji poznasz jakiegoś zamożnego pana domu, o! – dodała ożywiona.

– Mam odrabiać pańszczyznę dwa razy? Najpierw u kogoś, a potem jeszcze swój dom ogarnąć?!

– Hej, żadna praca nie hańbi. To może być tylko na początek – uspokajała mnie Magda.

– Już wolę zamiatać ulice lub sprzątać toalety na dworcu. Cisza, spokój – perorowałam zrozpaczona.

– Do tego też trzeba mieć referencje – skwitowała Magda. – Masz i nie maź się, coś wymyślimy. Przecież nie pozwolę ci sprzątać kibli na dworcu. – Popukała się w głowę. – Zawsze możesz pozwać Andrzeja o alimenty dla siebie. W końcu to przez niego jesteś nieudolna życiowo, on cię zamienił w kurę domową, o!

– Nieudolna życiowo, tak? Och, już ja ci pokażę, że się mylisz. Wszystkim wam pokażę. – Zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju i wymachiwać rękami, jakbym odganiała stado much.

– No! Teraz gadasz z sensem! – ucieszyła się Magda.

– Jezu, co tu tak śmierdzi? – Gryzący smród przywrócił mnie do szarej rzeczywistości.

Zajrzałyśmy z Magdą do pokoju i aż kolana się pod nami ugięły. Bliźniaki leżały na dywanie w pokoju Kuby z gołymi pupami, a Kalina pospiesznie próbowała zetrzeć z dywanu resztki kupy.

– Co tu się dzieje? – warknęłam rozgniewana.

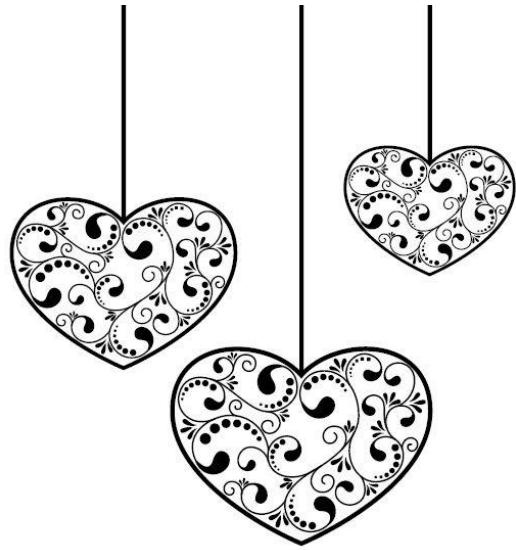
– Przebieram braci, bo obaj się sfajdali, taka braterska synchronizacja. Śpią na zmianę, ale kupę robią w jednym czasie – oznajmiła spokojnie Kalina.

– Kalinko, dlaczego mnie nie zawołałaś? – Magda próbowała zachować spokój, chociaż miałam wrażenie, że cała sytuacja bardzo ją bawi.

– Jak ciebie nie ma w domu, tata płaci mi za przebieranie maluchów po dwa złote za każdego. Miałam nadzieję, że też się tak ucieszysz z pomocy – odpowiedziała z pełną powagą moja siostrzenica.

Magda spojrzała na mnie i tylko wzruszyła ramionami:

– Chyba będziemy się zbierać do domu...



– Nie, proszę pani, to nie jest żart. Tak, proszę pani, to prawda, że nie mam doświadczenia w pracy biurowej, ale mam referencje. Co? Nie szuka pani opieki do dzieci, bo już są dorosłe? Ale ja nie chcę opiekować się pani dziećmi, dzwonię w sprawie ogłoszenia o wolnym wakacie w sekretariacie. Jak to, co ja sobie wyobrażam? Przecież obsługa ksera, przybijanie pieczętek i uśmiechanie się do klientów to chyba żadna wielka filozofia. Każdy głupi to umie. Halo? Halo? Noż kurde bladź, rozłączyła się, siksa wredna! – syknęłam do telefonu, kiedy zamiast uroczej pani rekrutującej pracowników usłyszałam charakterystyczne „biiip”.

Trzy tygodnie tyranii. Dwadzieścia jeden dni wrywania włosów z głowy. Pięćset cztery godziny dwojenia się i trojenia, i żadnych perspektyw na pracę. Dobrze, że Kuba wyjechał z tymi kolegami i nie widzi mojej klęski. I ja mam ambicje, by mój syn po ukończeniu liceum, do którego właśnie się dostał, poszedł na studia i robił karierę. By był otwarty na świat, przebojowy, ambitny, ale też znający swoją wartość. Żeby był... Żeby był zupełnie inny niż ja.

Sprawdziłam chyba milion ogłoszeń w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Od pracowników stacji benzynowej, poprzez specjalistów do konserwacji powierzchni płaskich – cokolwiek to znaczy – aż do sekretariatu w szkole, gdzie ponoć też się nie nadają! Do jasnej ciasnej Anielki, muszę coś zrobić! Może jednak powinnam poprosić Andrzeja o te referencje? Nie! Nie po tym, jak powiedział moim rodzicom, że zostawił mnie, bo byłam oziębła. Cham i prostak! A moi

rodzice wcale nie lepsi. Niby tacy konserwatyści, co to słowa na „s” nawet nie wypowiadają, a co dopiero wcielać w życie, a przyjęli zeznania Andrzeja jako dyshonor dla naszej całej rodziny. Bo taka Magda to widać, że działa – w końcu ma troje dzieci i nienaganną figurę, co zapewne również jest efektem regularnego współżycia z Romanem. A ja? Bez partnera i z dwiema fałdkami na brzuchu. W dodatku Roman też stwierdził, że Michał pewnie mnie przez tę oziębłość zostawił. No co za szuja jedna. Lizus! Może powinnam sobie dopisać w CV, że słabo rokuję w kontaktach z płcią przeciwną? Zdecydowanie! Z listy potencjalnych prac, jakie mogłabym wykonywać, koniecznie muszę wykreślić „testera wierności”. Bo to wiadomo, czy taki facet jest wierny, czy po prostu ja go nie ruszam? Jeszcze by mi potem jakaś baba z reklamacjami przysłała i co? O, telefon znów dzwoni...

– Słucham?

– Czy pani Wanda Guzik?

– Tak, o co chodzi?

– Znalazłem pani ogłoszenie, że szuka pani pracy – odezwał się miły męski głos po drugiej stronie.

– Moje ogłoszenie? Ja nie dawałam żadnego ogłoszenia – zdziwiłam się.

– Ojej, a to szkoda. Myślałem, że jeden kłopot będę miał z głowy. – Mężczyzna westchnął. – To do widzenia.

– Chwileczkę, a co to za praca? – zapytałam, myśląc, że może Magda zamieściła ogłoszenie w geście przeprosin za moją życiową nieudolność.

– Nic wielkiego, lekka praca biurowa. Na początek kilka godzin w tygodniu. Tylko jest jeden problem... – Mój rozmówca się zawahał.

– O co chodzi? – zaciekawiłam się.

– No, potrzeba mi pracownika, jakby na gwałt...

– Co?! – wydusiłam przestraszona. Albo nie znam slangu pracowniczego, albo ten typ właśnie złożył mi dwuznaczną propozycję. Boże, dlaczego ja nigdy nie miałam ambicji, by pójść do pracy? Stara baba, a zachowuje się jak małe, naiwne dziecko.

– W sensie, że mi się grunt pod stopami pali. Już, teraz, natychmiast, sprawa życia i śmierci. Rozumie pani?! – krzyknął zrozpaczony.

– Rozumiem – ożywiłam się. Trzeba było tak od razu. Jak sprawa życia i śmierci, to ja nie odmawiam. Jak z nieba mi spadło. To zdecydowanie przeznaczenie. – To gdzie mam się stawić? – zapytałam, rozglądając się za swoją torebką i kluczami do mieszkania.

Skoro to wyjątkowa sytuacja, to muszę człowieka ratować. A może wyjdzie z tego jakaś dłuższa współpraca? Nie widziałam tego ogłoszenia, ale w obecnej sytuacji to chyba nie miało znaczenia. Zawijam kiecę i lecę!

Wyleciałam z bloku jak z procy. Stanęłam na krawężniku, gdy nagle zza

zakrętu wyjechała taksówka. Wyrosła jakby spod ziemi. Boże, w jaką ja wpadłam błogość! Wszystko zaczynało się układać. Na mieście akurat nie było korków, więc dotarłam na miejsce szybciej, niż sądziłam. Dałam taksarzowi sowity napiwek – w końcu szłam do pracy. Będę zarabiać, będę niezależna! Pana w potrzebie poznałam od razu. Stał taki osowiały, spocony i rozglądał się przerażony. Aż mi się ciepłej na sercu zrobiło, że właśnie ja, Wanda Guzik, dostąpię zaszczytu uratowania wielkiego biznesu! Dopiero co robiłam sobie wyrzuty, że nadaję się tylko do czyszczenia dworcowych kibli, a tu proszę! Praca biurowa i szef wyglądający jak siedem nieszczęść, czyli faktycznie na gwałt w potrzebie.

Chwilę później mój zapał nieco ostygł...

– Pan chyba raczy żartować. – Chodziłam w tę i z powrotem, wymachując nerwowo rękami. – To ma być ta lekka praca biurowa?! Sprawa życia i śmierci?! – wrzeszczałam tak głośno, że aż przechodnie dziwnie na mnie patrzyli.

Mężczyzna stał zrezygnowany ze spuszczoną głową.

– Przepraszam, może trochę nagiąłem rzeczywistość, ale w ogłoszeniu pisała pani, że nie boi się pani żadnej pracy – próbował się tłumaczyć, wciskając jednocześnie do worka wyjęty przed chwilą jaskrawożółty strój kurczaka.

– Nie dawałam żadnego ogłoszenia! – warknęłam i odwróciłam się do niego plecami, by odejść.

Taka byłam zwarta i gotowa do ratowania świata, a tylko straciłam cenne pół godziny plus dwadzieścia pięć złotych na taksówkę do centrum, do – jak się okazało – „kurczakowego pożaru”! Pan biznesmen wygadany, kulturalny, przedsiębiorczy – nie powiem. Pomylił tylko pojęcie pracy biurowej z uliczną akwizycją.

– Zapłacę dwadzieścia złotych za godzinę! – błagał mężczyzna. – Mamy dziś oficjalne otwarcie tej knajpy, muszę mieć chodzącą reklamę!

– Goń się! – zasyczałam, nawet się nie odwracając.

W tej chwili z komórki w torebce rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Wyciągnęłam telefon i odczytałam esemesa: „Mamo, wracam jutro. Na stronie szkoły jest już wykaz podręczników. Musimy wybrać się na zakupy”.

– Niech to jasny szlag trafi! – krzyknęłam i zacisnęłam nerwowo pięści.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że mężczyzna zagaduje jakichś dwóch młodych chłopaczków. Podeszłam do nich i stanęłam obok.

– To jak, chłopaki? Dam wam po flaszcze za przysługę – namawiał ich mężczyzna.

Młodzieńcy stali w zadumie, zerkając na siebie wzajemnie.

– Ma pan zamiar rozpijać dzieci? – wtrąciłam się srogo.

Facet odwrócił się do mnie wielce zdziwiony.

– Przepraszam, ale to nie pani sprawa – wycedził przez zęby.

– A mają referencje? – zapytałam z satysfakcją, grzebiąc w mojej torbie

w poszukiwaniu pisma, które skleciła moja siostra.

– Co? – Wszyscy trzej panowie popatrzyli na mnie wybałuszonymi oczami.

– A ja mam! – Przyklasnęłam zadowolona, wręczając właścicielowi knajpy moje referencje.

Dziesięć minut później paradowałam dumnie w przebraniu zacnej nioski, rozgdakując rozkosznie wieści o otwarciu najlepszej drobiowej jadłodajni w mieście. A panoszyłam się przy tym niczym kura na grzędzie. Właściciel obiecał mi, że jeśli będą mieli duży utarg, dostanę premię. Moja pierwsza praca, moje pierwsze pieniądze i w dodatku z premią! Lepiej trafić nie mogłam. Kupię coś dla siebie. A dla Magdy za zamieszczenie ogłoszenia kupię bilety do kina, niech odpocznie od tych dziecięcych gwarów. No i Kubie zeszyty do szkoły, i piórniki, i linijkę, i wszystko co zechce! Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy!

– Gdybym wiedział, że lubisz przebieranki, nie szukałbym kochanki. – Usłyszałam nagle za plecami głos mojego byłego męża i cały mój entuzjazm pękł niczym bańka mydlana.

– Gdybym wiedziała, że masz aż takie poczucie humoru, pomyślałabym, że ten twój cały romans to tylko spóźniony żart z okazji prima aprilis – odgryzłam się, odwracając się i obrzucając go lodowatym spojrzeniem.

– To twoja praca? Nieźle sobie radzisz. – Zaśmiał się ironicznie.

– Dla twojej wiadomości, jestem współwłaścicielem tej knajpy, a chodzę tak, bo nasz pracownik złamał nogę. I wcale się tego nie wstydzę – wymyśliłam na poczekaniu.

– Jurek nie mówił, że ma współnika! – Andrzej aż się zapowietrzył.

– Jurek?

– Tak, właścicielem tego przybytku jest Jurek Kogut, brat mojego księgowego. Jeszcze wczoraj moi ludzie montowali alarmy w restauracji. Ani słowem się nie zająknął, że ma współnika. – Mój były mąż patrzył na mnie podejrzliwie.

– Kogut, tak? – upewniłam się, odgarniając z czoła moją kurzą grzyweczkę, drażniącą mi skórę. – To sobie bystrzak wymyślił z tą drobiową knajpą. – Zaśmiałam się pod nosem. – A ty idziesz na otwarcie?

– Nie, idę do Kasi. Ma mnie dziś zapoznać ze swoimi rodzicami – poinformował mnie uroczystym tonem.

– I co? Powie: „To Andrzej, mój chłopak”? – zakpiłam bezlitośnie.

Schylił pokornie głowę na chwilę, by podnieść ją po kilku sekundach i wyznać:

– Słuchaj, ja wiem, że to wygląda jak fanaberie starego piernika-erotomana, ale ja naprawdę kocham tę dziewczynę.

– Ta, jasne – westchnęłam bez przekonania. – A ja naprawdę jestem współnikiem tej knajpy – dodałam pod nosem.

– Co?

– Nic, nic. Powodzenia zatem – wycedziłam i odwróciłam się, idąc w drugą stronę.

– Nawzajem! – zawołał za mną Andrzej.

– Hej, kurko! Ładne masz piersi. Można poprosić w panierce i z sosikiem? – Młody, lekko podchmielony łepok uwiesił się na mnie, obłapiając mój kostium.

– Ta pani jest zajęta – krzyknął z oddali Andrzej.

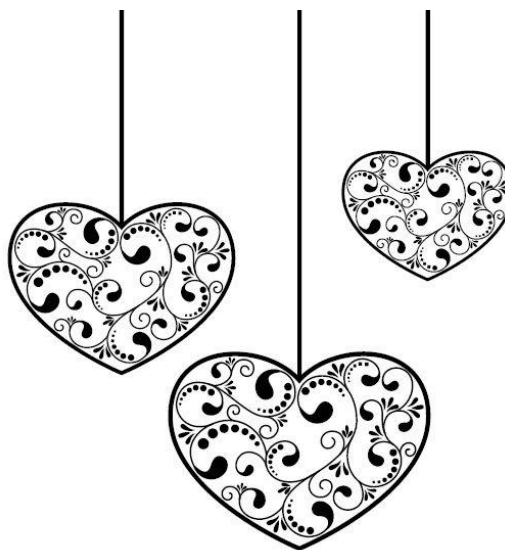
Chłopak odkleił się ode mnie i uniósł ręce w geście poddania się. Posłałam Andrzejowi pełne wdzięczności spojrzenie. Może i był zdrajcą, ale chyba te dwadzieścia lat coś dla niego jednak znaczyło. W końcu mnie uratował.

– Ta pani jest zajęta namawianiem obcych ludzi do skosztowania delikcji przyrządzonych z jej najbliższych. – Andrzej aż dusił się ze śmiechu, wygłaszając tę mądrość.

Mężczyzna znów przysunął się do mnie i jęknął mi do ucha:

– Lubisz tak ostro?

Dobra, Andrzej, wygrałeś tę bitwę. Wojna będzie moja.



– Mamo, jak mogłaś mi to zrobić? – Kuba od kwadransa chodził po pokoju, wymachując nerwowo rękami. – Cała szkoła będzie się ze mnie śmiała – dodał zrozpaczony.

– Przypominam ci, że idziesz do nowej szkoły, gdzie nikt cię nie zna – próbowałam się bronić.

Bomba wybuchła zaraz na drugi dzień. Pojechałam na dworzec po Kubę, a on zamiast stęsknionych uścisków wręczył mi telefon, a w nim moje zdjęcie w przebraniu kurczaka, i zażądał wyjaśnień.

– Mamo, Lolek wrzucił to zdjęcie na moją tablicę! Wszyscy moi znajomi to zobaczyli. Nawet ci z innych klas, z którymi będę teraz chodził do klasy w liceum. Jestem skończony! – Mój syn nie rezygnował.

– Uważasz, że w naszej obecnej sytuacji to naprawdę jest nasz największy problem?! – poirytowałam się. – Mieszkamy w małej, zarobaczonej klitce. Stać nas tylko na podstawowe potrzeby. Oboje zostaliśmy wyhuśtani przez twojego ojca, którego nie wiadomo jak i kiedy trafiła jakaś zabłąkana strzała Kupidyna, a ty się martwisz, że paru idiotów zobaczy, jak twoja matka próbuje walczyć o przetrwanie?! – wyliczałam zdenerwowana.

Tego było już za wiele. Może i młodość rządzi się swoimi prawami – hormony, prestiż i lans – ale, do licha, nie tak wychowałam mojego syna! On ma

już piętnaście lat, za chwilę szesnaście, i musi wiedzieć, co jest w życiu ważne.

– Posłuchaj, dziś śmieją się z ciebie, a jutro będą się śmiali z Kaśki, Gośki, Zośki albo Lolka, któremu wczoraj, tak przy okazji, gołąb nasrał na głowę i zrobił mi to zdjęcie w akcie zemsty, bo się z niego śmiałam, o!

– Ha, ha, ha. Serio?! – Kuba trochę spuścił z tonu i nawet się zaśmiał.

– Serio serio. Wyobraź sobie jego bujną czuprynę i tę spływającą na boki kupę. Nie jestem pewna, czy to jakiś bocian nie był, a nie gołąb. Taaaka wielka była! – Rozłożyłam szeroko ręce, demonstrując wielkość ptasich odchodów. – Założę się, że do dziś ma siwe pasemka od tej maseczki – dodałam ubawiona.

– Mamo, jesteś w dechę! – Kuba poklepał mnie po ramieniu.

– W dechę, tak? – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. – Podwójna rozwódka, w dodatku bezrobotna i dająca zły przykład jednemu dziecku – dokonałam surowej samooceny.

– Dla mnie jesteś bohaterką, mamo. I nie chodzi mi o Lolka i ptasią kupę. To faktycznie kupa śmiechu na pięć minut. Każda inna babka błagałaby męża, by do niej wrócił, przeproszała, że pewnie była złą żoną i dlatego ją zdradził. Dalej marzyłaby o wygodnym życiu. Ty, mamo, nie uniosłaś się honorem, ty pokazałaś jaja. Masz siłę, masz możliwości. Brakuje ci tylko trochę wiary w siebie, ale z tym sobie poradzimy.

– No weź, bo się rozplączę – zażartowałam.

– Mamo, ja mam piętnaście lat, jestem już prawie dorosły. A teraz w dodatku jestem śmiertelnie poważny. Nie psuj tego – skarcił mnie.

Stałam koło niego i oparłam głowę o jego ramię. Właściwie to nie wiedziałam, co zrobić. Przytulić, pocałować, pogłaskać po głowie? Przecież to już dorosły facet. Niedługo jakaś inna laska będzie go głaskać i przytulać. Faceci to mają łatwo. Przybiją piątkę albo przypieczętują deal uściskiem dłoni, a taka matka?

– Dzięki, synu. Nie wiedziałam, że masz o mnie takie dobre zdanie. To miłe – zdołałam tylko wydusić, bo wzruszenie dławiło mi gardło.

– To, że nigdy nie mówiłem tego na głos, nie oznacza, że tak nie myślałem, mamo.

– To co? Do dzieła, walczy z tym życiem.

– Musisz mi tylko obiecać, że już nie będziesz kamuflować się w przebraniu kurczaka. Żadnych zwierząt i innych stworów też nie – zażądał stanowczo.

– Oj nie, po wczorajszym mam takie odciski, że już na pewno żadnych kurzych nóżek. To mogę ci obiecać – przytaknęłam z przekonaniem.

– Nie, mamo. Mi chodzi o to, że musisz mieć pracę adekwatną do twoich predyspozycji. Nie daj sobie wmówić, że ci czegoś brakuje.

– Gdyby to było takie proste... – westchnęłam.

Sprawy z pracą trochę się pokomplikowały. Kuba myśli, że nie pójdę tam więcej na jego prośbę, a tak naprawdę Jurek Kogut wywalił mnie zaraz po tym, jak

kopnęłam w krocze natrętnego kolesia od macania kurzych piersi. To cud, że w ogóle mi zapłacił. Ale postraszyłam go, że boli mnie od tego kopnięcia noga, pewnie zwichnęłam kostkę, pojedę do szpitala i wsadzą go do kryminału, bo mnie zatrudnił na czarno. Szantaże powoli wchodziły mi w krew, muszę się tego wyzbyć. Przecież mam możliwości i siłę, tylko brakuje mi wiary w siebie. Jakoś mnie ten brak pracy nie zdołował, bo wiecie co? Mam fantastycznego syna. Nie wiem, po kim on taki wyjątkowy, bo rodziców to ma raczej ekscentrycznych, ale dziecko to nam naprawdę wyszło.

Reszta dnia miała mi upłynąć spokojnie. Przeglądałam nad kubkiem kawy kolejną gazetkę z ogłoszeniami. Kuba zakładał mi konto na jakimś portalu dla szukających pracy i pisał moje CV. Nawet nie wiedziałam, że tak prostą czynność jak stanie przy kserze i kopiowanie dokumentów można tak profesjonalnie ubrać w słowa. No bo stwierdzenie: „Kompletowanie dokumentacji projektowej” to to samo, co kserowanie i wpinanie do segregatora, jednak brzmi inaczej. Ach, z tego wszystkiego zapomniałam napisać, że Kuba, będąc u ojca – do którego po moich namowach zaczął się odzywać – podebrał od niego kilka sztuk papieru z firmowym logo i nawet zapobiegawczo postawił na dole kilka pieczętek. No i właśnie tworzy moje rzekome referencje od Andrzeja. Byłam zdecydowanie przeciwna, ale Kuba uważa, że za wszystkie krzywdy, jakie wyrządził nam Andrzej, musi teraz płacić w małych ratach, niekoniecznie finansowych. No tak, stworzył sobie Andrzejek takie dwa potwory i teraz będzie płacił, oj będzie. Swoją drogą... Kuba mówił, że Andrzej miał podbite oko, kiedy u niego był. Ponoć ojciec Kasi nie chciał pobłogosławić ich związku i dał temu wyraz w dość namacalny sposób. Ciekawe, czy prawdziwa miłość znieśnie takie niedogodności.

– Mamo, ciotka Magda nadchodzi z watahą. – Kuba wyrwał mnie z zamyślenia, przerażony zbliżającą się katastrofą.

– Siedz cicho, udajemy, że nie ma nas w domu – rzuciłam szybko.

O nie, dopiero co ogarnęłam rozgardiasz po powrocie Kubu! Wstawiłam trzy prania i odkurzyłam tonę piasku, która wysypała się z jego plecaka. Nie zniosę znów gwaru, krzyku i brudu.

– Za późno. Kalinka już mnie widziała w oknie – stwierdził niemrawo Kuba.

– To ubieraj się, powiemy, że właśnie wychodzimy. – Nie chciałam dać za wygraną.

– Nie mam się w co ubrać, przecież wszystko wyprałaś. Mam wyjść w piżamie? – oznajmił zrezygnowany.

– Po kiego wyglądałaś przez to okno? – poirytowałam się.

– Też byś wyjrzała, gdybyś usłyszała krzyki: „Córeczko, ubierz się, bo widać ci cycki!” – wymamrotał Kuba.

– Co? – Wsadziłam nos do jego pokoju, niewerbalnie prosząc o wyjaśnienia.

– No właśnie – powiedział zawiedziony Kuba. – Bóg mnie ukarał za moje

zapędy seksualne.

– Jezus Maria, że co?

– Usłyszałem „cycki” i rzuciłem się do okna, żeby popatrzeć, a to ciotka Magda wrzeszczała na Kalinę, która zadzierała koszulkę do góry, eksponując coś, co kiedyś może będzie cyckami, a na co nigdy nie będę miał ochoty patrzeć, przez wzgląd na nasze więzi rodzinne – wyjaśnił, bijąc głową o blat biurka.

– Cycków ci się zachciało – westchnęłam.

Chwilę później stałam przy drzwiach z pospiesznie uciapaną keczupem twarzą, gotowa pozbyć się problemu.

– Matko kochana, co ci jest? – przywitała mnie Magda, przyglądając mi się badawczo.

Kuba wychylił głowę z pokoju, robiąc na mój widok wielkie oczy, po czym szybko schował się do swojego królestwa.

– Nie wiem, chyba jestem chora. To może być zaraźliwe – ostrzegłam Magdę, wskazując z teatralną troską na jej dzieci.

– Aha. – Magda podrapała się po głowie i zamyśliła. – Ale ja mam pilną sprawę – dodała.

– To może opowiesz mi przez telefon? – zaproponowałam.

– Nie, nie ma na to czasu. Dzieci, posiedziecie z kuzynem przez chwilę, a ja porozmawiam z ciocią – rozkazała, po czym uchyliła drzwi do pokoju Kuby i wepchnęła Kalinę, a za nią wózek z bliźniakami. – Kubuś, spójrz na nich, przyda ci się trochę praktyki.

– Nieee! – wrzasnął Kuba. – Zabierz ich stąd!

– Nie bądź dzieckiem! – skarciła go Magda. – Roman widział cię ostatnio z jakąś rudą laską, więc albo ucz się opieki nad dziećmi, albo jak sobie nie radzisz, to przynajmniej dwa razy pomyślisz o zabezpieczeniu. – Zaśmiała się.

– Magda! – skarciłam ją. – Przecież to jeszcze dziecko!

– Kto? Kuba? – zdziwiła się. – Kochana, siedemdziesiąt procent jego rówieśników ma już za sobą inicjację seksualną. Jadą na wakacje i aż się runo pod namiotem zawstydza... – Machnęła ręką. – I co robisz takie oczy?

– On właśnie wrócił z wakacji – szepnęłam i aż złapałam się ściany na myśl, co tam też mogło się wydarzyć.

Przecież ja z nim na te tematy w ogóle nie rozmawiałam! Andrzej tym bardziej. Matko kochana...

– Na wakacjach byłem tylko z kolegami! Ruda laska to Paweł, kuzyn Lolka. Tak, szedłem z nim do sklepu rowerowego po części, bo pomagam mu naprawić rower – krzyknął zza drzwi Kuba. – A ciocia niech się tam spręży z tematem, bo zaraz ich zacznę za nogi przez okno wystawiać, jedno po drugim! – dodał poirytowany.

– Tylko z chłopakami? – szepnęła konspiracyjnie Magda.

Wzruszyłam ramionami zaniepokojona.

– Nie jestem gejem! – dodał po chwili Kuba.

Czy jeśli Kuba słyszy przez ścianę wszystko, o czym rozmawiam z siostrą, to czy nasi sąsiedzi też to słyszą? I może jeszcze nasłuchują, jak korzystam z toalety? O zgrozo!

– Dobra, co to za sprawa? – zapytałam, zapraszając Magdę do salonu.

– Mama do mnie zadzwoniła – odpowiedziała tajemniczo.

– Tłukłaś się do mnie przez pół miasta, żeby mi powiedzieć, że matka do ciebie zadzwoniła? – zdziwiłam się. – Przecież ty z nią klepiesz przez telefon co najmniej dwie godziny dziennie. Po co ta afera?

– Dzwoniła do mnie w twojej sprawie. Martwi się! – zachnęła się Magda.

– Teraz to się martwi, tak? A jak przyjechałam do niej z Kubą, zdradzona i porzucona, to mnie do domu wpuścić nie chciała, krzycząc, że sama naważyłam sobie piwa i sama muszę je wypić. Mamusia kochana! – warknęłam.

– Wiesz, że ona jest dziwna. Pewnie jeszcze przekwita. – Magda lekceważąco machnęła ręką.

– No, nie zaprzeczę, że dziwna. Tylko po co teraz ta cała szopka? Jak miała sprawę do mnie, to dlaczego zadzwoniła do ciebie?

– Bo się martwiła, że nie odbierzesz od niej telefonu!

– I słusznie – powiedziałam z satysfakcją.

– Już przestań. Obie jesteście jakieś takie nadęte – warknęła Magda.

– Że co proszę? – poirytowałam się.

– Szarpicie się jak dwie nastolatki. Ustąp głupszej, szczególnie że wyciąga do ciebie pomocną dłoń.

– Nic z tego nie rozumiem. – Pokiwałam niechętnie głową, słysząc za drzwiami pokoju Kubę jakieś dziwne odgłosy. – Synu, wszystko dobrze? – krzyknęłam.

– Zależy o kogo pytasz – jęknął Kuba. – Bliźniaki mają się świetnie. Skończyłyście już gadać?

– Właśnie kończymy – oznajmiłam głośno, patrząc wymownie na Magdę.

Nie wiem, po co przyszła, ale nic z tego nie wynikło. Sama sobie poradzę, bez łaski. Adwokat się znalazł. Adwokat diabła, o!

– Sąsiadka znajomej matki szuka kogoś do pracy z biurze – powiedziała twardo Magda.

– I chcesz się zgłosić, a mnie potrzebujesz jako gosposi i opiekunki do dzieci? – zapytałam zaskoczona.

Magda zawahała się, po czym puknęła się w głowę i roześmiała serdecznie.

– Właściwie to myślałam o tobie do tej pracy, ale skoro proponujesz taki układ...

– Nie kpij! – syknęłam. – A mamie podziękuj i matce sąsiadki znajomej też.

Znaczy znajomej sąsiadki matki. Boże, tej babie też podziękuj. Sama sobie poradzę.

– No tak, wiedziałam, że tak będzie. Nawet chciałam się założyć z Romanem, że odmówisz. Cholera, miałabym z głowy sprzątanie przez następny miesiąc. Głupia ja. A ty? Uparta koza. – Magda zdawała się być obrażona.

Przybyła z odsieczą, oczekiwała uścisków i okrzyków radości, a właśnie została spławiona.

– Tutaj masz wizytówkę tej znajomej. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń i powołaj się na mamę – powiedziała z wielkim fochem. – Dzieci, wychodzimy! – krzyknęła.

– Słyszeliście? Poszli mi stąd! – Kuba najwyraźniej odetchnął z ulgą.

Drzwi pokoju uchyliły się i Kalina zaczęła wypychać wózek z bliźniakami. Zerknęłam do środka i zobaczyłam mojego syna całego spoconego i czerwonego ze złości. No, to chyba rozmowę o zabezpieczeniu mamy z głowy. Wyglądał, jakby właśnie otrzymał najsurowszą lekcję życia i nie miał zamiaru rozmnażać się przez najbliższe dwadzieścia lat.

– Przemysł to sobie, to naprawdę dobra oferta – powiedziała Magda, kiedy zamykałam za nią drzwi.

– Skoro taka dobra, to śmiało – odparłam.

Kiedy usłyszałam brzdęk drzwi od windy, odetchnęłam z ulgą. Co za koszmary dzień. Kocham moją siostrę, ale czasami bardziej na odległość. Niby chce dobrze, a jednak się wtrąca. No i jeszcze ta cała wesoła gromadka. Wszak Kuba ma już prawie szesnaście lat, ale wydaje mi się... Nie, jestem niemal pewna, że był o niebo spokojniejszy w ich wieku. Teraz przyczłapał niechętnie do salonu i usiadł koło mnie.

– Zadzwoń tam?

– Słyszałaś naszą rozmowę? – zdziwiłam się.

– A gdzie tam. Kalinka mi wszystko powiedziała.

– Za naszych czasów to było nie do pomyślenia, żeby dzieci brały udział w rozmowach dorosłych – poirytowałam się.

– Ale zadzwoń tam? – drażył Kuba.

– O co ci chodzi?

– Kalina mówiła, że to jakaś fucha w biurze – próbował mnie zachęcić.

– Wyobraź sobie, że chodzenie w przebraniu kurczaka też opisywane było jako lekka praca biurowa – odpowiedziałam bez przekonania.

– Jak uważasz, ale pieniądze by się chyba przydały – skwitował niewinnie.

– Materialista, zupełnie jak ojciec – zachnęłam się.

I ty, Jakubie, przeciwko mnie? Czy właśnie chcesz mi powiedzieć, że też uważasz, że jestem nieudolna życiowo? Myślisz, że o tym nie wiem? Od dwóch miesięcy nie kupiłam nic poza jedzeniem. Chociaż fakt, że tym zakupom

poświęcam ostatnio tyle czasu, ile z reguły zajmowało mi bieganie po galerii w poszukiwaniu nowej kiecki. Jak się ma minimum na przeżycie, to człowiek analizuje każdą kostkę masła. Boże, teraz to gadam, jakbym przymierała głodem. A ja po prostu mam ograniczone środki!

– To co, zadzwonisz tam? – Kuba nie rezygnował.

– Nie wiem – odparłam niemrawo.

Wzięłam w dłoń wizytówkę, którą kilka chwil wcześniej wcisnęła mi Magda, i zaczęłam obracać ją w dłoniach, przyglądając się badawczo.

„Kupidyn w spódnicy. Usługi matrymonialne. Sabina Porąbek”.

Chwyciłam telefon i zawahałam się. Zadzwoić czy nie zadzwonić? Oto jest pytanie. A może zadzwonię, tylko nie powołam się na mamę? Po prostu powiem, że w sprawie pracy. W końcu jeśli kobieta potrzebuje pracownika, nie powinna drażnić. Tak, tak zrobię! Odblokowałam klawiaturę i już miałam wybrać numer, gdy telefon zaczął dzwonić. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

– Słucham? – zapytałam niepewnie.

– A słuchaj, słuchaj, paniusiu! – warknął ktoś po drugiej stronie.

– Kto mówi? – ożywiłam się nerwowo.

– Słuchaj no, laleczko. Sprzedałaś mi tego trupa zdezelowanego. Tym się jeździć nie da. Zabieraj ten złom i oddawaj kasę. Zaraz, natychmiast! – wrzasnął mężczyzna.

– Ale o co chodzi? – Z trudem przełknęłam ślinę.

– O byle caco. – Facet zarechotał. – Auto kupiłem od pani i chcę oddać. Jeździć się nie da tym trupem!

– Chwila, chwila. Przecież byliśmy na stacji diagnostycznej, auto było sprawdzane – powiedziałam ostro. – Skąd mam wiedzieć, czy nie zmienił pan części, nie wymontował dobrych i nie wsadził złych? O nie, nie!

– Stąd wiesz, że mam prawo odstąpić od umowy i właśnie to robię. Umowa, na dole, mały druczek, coś tam o rękojmi. – Zaśmiał się szyderczo.

– Ale ja się nie zgadzam! – zaprotestowałam.

Popatrzyłam zrozpaczona na Kubę, który w skupieniu przysłuchiwał się rozmowie. Dlaczego zabrałam Andrzejowi to przeklęte auto?! Trzeba było brać zastawę z porcelany, poślacane sztucce, obrazy... Ale nie, uparłam się zabrać auto. I teraz mam.

– To co? Robię ekspertyzę i sprawa do sądu. Tylko jak wygram, to pokrywasz dodatkowo koszty sądowe i koszty wykonania ekspertyzy – zaznaczył cwaniaczek.

– Nieee! – wrzasnęłam zrozpaczona.

– Jutro odstawiam auto, przygotuj kasę!

– Nie! – zawahałam się. – Nie ma mnie w domu. Wyjechałam na wakacje.

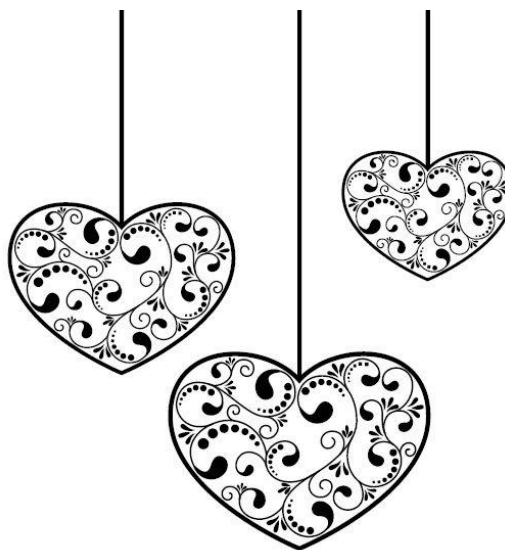
O tak, wakacje – uzupełniłam.

– Mam nadzieję, że nie za moje pieniądze. Będę za tydzień. Tylko nie próbuj żadnych sztuczek – warknął i się rozłączył.

Wściekle rzuciłam telefon na kanapę i zalałam się łzami. Dlaczego mnie to spotyka? Mało się w życiu nacierpiałam? Zamknięta przez lata w domowej niewoli... Niby sama uciekłam, ale nikt mnie nie uprzedził, że po wyjściu z jednej klatki od razu wchodzi się do drugiej, w której grasuje stado lwów, tygrysów i jadowitych węży.

– Zadzwoń tam? – Z amoku wyrwał mnie spokojny głos Kuby.

– Zadzwonię – powiedziałam zrezygnowana, ocierając łzy.



– Pani Wanda Guzik? – przywitała mnie urocza starsza kobieta, ubrana w aksamitną suknię przypominającą raczej ekskluzywną podomkę z czasów Gierka.

Miała jakieś sześćdziesiąt lat i mnóstwo zmarszczek, które wyraźnie zaostrzały się podczas uśmiechu, który niemal nie schodził z jej twarzy. Oprócz wspomnianej sukni w kolorze soczystego burgundu miała na sobie lakierowane czerwone szpilki. Przysięgłabym, że nawet kotary w tym przybytku wyglądały, jakby były uszyte z tegoż samego materiału. Całości dopełniała nienaganna fryzura w stylu dawnego peerelu i kompletnie niepasujące do całości nowoczesne okulary z oprawkami w zebkę.

– Ładne ramki – skwitowałam, wpatrując się w jej twarz.

Gdyby nie Kuba, który wepchnął mnie do środka, uciekłabym stamtąd.

– Proszę mi wybaczyć mój strój, jestem dziś w niedyspozycji zdrowotnej – wytłumaczyła się kobieta. – Sabina Porąbek, Kupidyn w spódnicy – przedstawiła się, wyciągając dłoń w moją stronę.

Uścisnęłam ją na przywitanie. Miała mocny, zdecydowany uścisk, zupełnie niepasujący do staromodnej, filigranowej kobiety. Może to ta niedyspozycja zdrowotna?

– Wanda Guzik – dopełniłam formalności, chociaż kobieta od progu mnie

zdemaskowała. – A to mój syn, Kuba – dodałam, odsuwając się. – Do pracy przychodziłabym oczywiście bez niego.

Właściwie to kto przychodzi na rozmowę kwalifikacyjną z dzieckiem? Kobieta gotowa pomyśleć, że mamy krótką pępowinę i ciężko nam się rozstać. Swoją drogą ona też przyjmuje nas w – delikatnie rzecz ujmując – nietypowych warunkach. Przecież ma niedyspozycję zdrowotną. A więc remis.

– Jest pani bardzo podobna do mamy. – Pani Sabina się uśmiechnęła.

– Oj, broń Boże! – zaprotestowałam ostro. Jednak widząc jej konsternację, dodałam szybko: – No tak, z wyglądu tak, ale usposobienie mamy zupełnie inne. Jestem dociekliwa, co pewnie jest pożądane w takiej pracy, ale też potrafię zachować dyskrecję, kiedy trzeba. No i mam referencje – jęknęłam, wyciągając z torby pominiętą już kartkę od Magdy.

– Świetnie ci idzie, mam. – Kuba zachichotał.

Jak słowo daję, ostatni raz poszedł ze mną na rozmowę kwalifikacyjną.

Kobieta zerknęła na kartkę, a potem na mnie. Wyprostowałam się więc, wypięłam pierś do przodu, zadarłam głowę i wytrzymałam jej wzrok, powtarzając sobie w duchu: „Dam radę, dam radę, dam radę”.

– To ciężka, wymagająca praca, dziecko – powiedziała surowo pani Sabina.

– Jestem gotowa podjąć to wyzwanie – odpowiedziałam stanowczo.

Tak naprawdę to nie czułam się gotowa, szczególnie w takiej pracy. Kto w erze portali społecznościowych i e-randek korzysta z usług biura matrymonialnego? Toż to przeżytek! Kompletnie w to nie wierzę. Chociaż widmo konieczności zwrotu pieniędzy za auto Andrzeja trochę mnie jednak przekonuje.

– Jesteś samotna, prawda? – zagaiła.

– A pani naprawdę dobra w tym, co robi – odpowiedziałam ze zdumieniem.

Zaimponowała mi. Jak jakaś wróżka popatrzyła na mnie i wyczytała jak z otwartej księgi. Może właśnie tym odróżnia się stacjonarne biuro matrymonialne od skomputeryzowanych swatek?

– Nie nosisz obrączki, a twoja mama mówiła znajomej, a ta mojej sąsiadce. – Moja rozmówczyni roześmiała się serdecznie.

Kuba parsknął śmiechem za moimi plecami, ale ani drgnęłam.

– Jasne – westchnęłam tylko.

– Posłuchaj. Jak widzisz, młoda nie jestem i takie niedyspozycje zdarzają mi się coraz częściej. Potrzebuję pomocy. W dodatku jeden z moich klientów, pan Walenty, dla którego szukałam partnerki od dobrych dziesięciu lat, w końcu się zakochał i ożenił. Wyobraź sobie, że przyszedł tu z kwiatami i szampanem, którego otworzył i rozchlapał niczym kierowca rajdowy po odebraniu pucharu. Rozchlapał na wszystkie segregatory z profilami moich klientów – powiedziała cierpko. – Straciłam najzamożniejszego klienta i akta pozostałych. Trzeba to uporządkować, może wpisać w komputer...

– Myślę, że to dobry pomysł. Dam sobie z tym radę – odparłam z przekonaniem.

To moja szansa, to moje miejsce. Miałabym wrócić do gdakania na ulicy? *No way!* Będę pomocnikiem Kupidyna! Jestem taka podekscytowana!

– No tak, ale ty jesteś samotna – westchnęła pani Sabina. – Wizytówką biura matrymonialnego nie może być ktoś tak... Nieudolny życiowo, sama rozumiesz.

– Czy was wszystkich pogięło?! – wyrwało mi się.

Spokój, spokój, tylko spokój może mnie uratować.

– Pani Sabino, obiecuję, że nie będę grzebać w aktach klientów w poszukiwaniu kolejnej ofiary. – Zaśmiałam się.

Kobieta otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymałam ją gestem ręki.

– I będę nosić do pracy obrączkę, obiecuję! – dodałam trochę niechętnie, ale to było jedyne, co przyszło mi do głowy.

– No, skoro tak stawiasz sprawę... – zawahała się kobieta.

– Proszę dać mi szansę. – Sama nie mogłam w to uwierzyć, że zaczęłam płaszczyć się przed tą kobietą i skamlać jak szczeniak proszący o ulubioną zabawkę.

Moje poczucie własnej wartości chyba wzięło sobie wolne. Albo już czuło te niewygodę spowodowane koniecznością zwrotu pieniędzy za samochód. A może powinnam poprosić Andrzeja o pomoc? W końcu to jego auto. O nie! Wystarczy, że matka pewnie dowie się od pani Porąbek, jak przebiegła ta rozmowa kwalifikacyjna i będzie mi wypominać do końca życia, jak to uratowała mi dupę. Nie wspominając o Kubie. Boże, jaki ja mu daję przykład?!

– Dobrze, spróbujmy. – Słowa pani Sabiny wyrwały mnie z zamyślenia. – I może mówmy sobie po imieniu? – zaproponowała.

Skinęłam głową. Jest! Mam to! Przez chwilę zaczęłam unosić się triumfalnie ku niebu. Hej, nie jestem taka w ciemną bita i nieudolna życiowo, jakby się mogło wydawać. Niestety moja euforia trwała tylko kilka sekund. Dokładnie do chwili, gdy przypomniałam sobie o natrętnym facecie od auta i o tym, że Kuba za kilka dni zaczyna szkołę, a ja nie mam dla niego wyprawki.

– Pani Sabino... – zaczęłam niewinnie. – To znaczy Sabino... Miałabym malutką prośbę.

– Jak malutką? – zapytała Sabina, wyciągając z szuflady kasetkę z pieniędzmi.

Cholera, była naprawdę dobra w te klocki.

– Chociaż kilkaset złotych na wyprawkę dla syna – westchnęłam.

– Twoja mama wspominała, że masz jakieś kłopoty – powiedziała, wręczając mi tysiąc złotych.

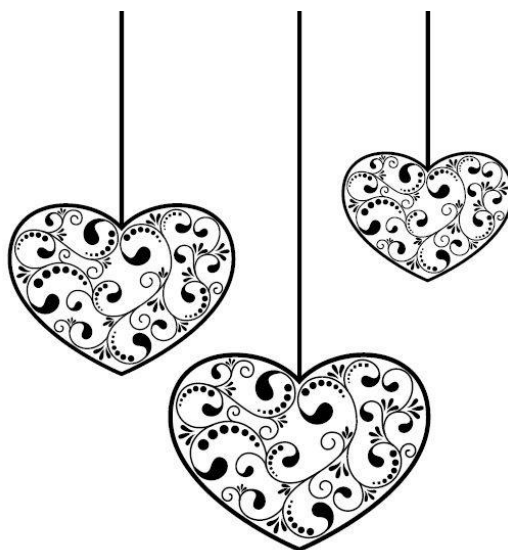
Odetchnęłam z ulgą i posłałam jej pełne wdzięczności spojrzenie.

– Oddam co do złotówki, jak tylko sprzedam przeklęte auto – zapewniłam ją.

– To co? Widzimy się jutro o dziesiątej? – zapytała.

Pokiwałam głową i pożegnałyśmy się serdecznie. Gdy wyszłam na zewnątrz, zaczęłam podskakiwać i piszczeć z radości, nie zważając na to, że moja nowa szefowa pewnie obserwuje mnie przez okno.

– Najpierw wyprawka do szkoły, potem kino i lody. Musimy to uczcić! – Przytuliłam Kubę i pognaliśmy na miasto.



– Wanda? Wanda? Halo? Jesteś tam? Jadę do ciebie. – Andrzej krzyczał do słuchawki od dobrych kilku minut, nie dając w ogóle dojść do słowa. – Słuchaj, ja tego tak nie zostawię. Przyjechał jakiś gość i chce mi sprzedać moje auto. Moje auto, rozumiesz?! Ja tego tak nie zostawię! Jadę do ciebie z nim i zaraz wszystko wyjaśnimy – gorączkował się mój eks.

– Nie jedź, bo nie ma mnie w domu – powiedziałam spokojnie.

– Jak to cię nie ma? Gdzie jesteś?

– Właśnie wychodzę do pracy.

– Gdzie?

– Do pracy! I na pewno się spóźnię, jeśli zaraz nie wyjdę z domu, a ty zawracasz mi głowę – dodałam ostro.

– Ale Wanda, Wandziu, Wandeczko! Co ja mam zrobić z tym klientem? To jakiś gangster! – panikował Andrzej.

– Nie wiem, zaproponuj mu obniżkę ceny. Albo darmowy alarm, przecież tym się zajmujesz.

– Ale jak to obniżkę ceny? Przecież ty i tak sprzedawałaś samochód po taniości! – krzyknął Andrzej.

– Sprzedałam, nie sprzedawałam. Puściłam je tanio, bo nie było moje. Pokazałam facetowi akt małżeństwa, powiedziałam, że mamy wspólnotę majątkową, więc twoje auto jest moim autem i mam prawo je sprzedać. Trochę

kręcił nosem, więc dałam okazijną cenę. Sam rozumiesz, że musiałam jakoś odreagować. Tobie się to nie podobało od początku, więc masz możliwość je odzyskać, ot co. I nie zawracaj mi głowy duperelami, bo się spieszę. Jak byłam z tobą, to nie ujawniałeś takiej nieudolności życiowej. Jak Boga Kocham! – westchnęłam poirytowana.

– Wandeczko, ale ja cię proszę! – Andrzej jęczał jak zdarta płyta, co zaczynało doprowadzać mnie do szału.

– Jędre! – wrzasnęłam w końcu.

– No i dlaczego ty mi to robisz?

– Tak masz na imię chyba, nie? – warknęłam poirytowana.

Jak Boga Kocham, mój pierwszy dzień w pracy, stres mam od rana, a ten się uczeplił jak jakiś akwizytor.

– Ale ślubowaliśmy sobie, że nie będziesz tak do mnie mówiła – oznajmił obrażony.

– Tak, tak, tak. Ślubowaliśmy sobie również wierność do końca życia, i co? Też nie wyszło, więc się nie czepiaj, na litość boską. Muszę kończyć, cześć! – krzyknęłam i rozłączyłam się, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Straszna maruda i ciamajda z tego mojego Andrzeja. Że też tego nie zauważyłam przez tyle lat. Zawsze mi wmawiał, że jest macho, a ja jego marionetką. A tu bach! Szybkie rozstanie i ten macho maże się o wszystko jak pięciolatek. Żeby go ta Katarzyna kantem nie puściła, bo wygląda na niezłą cwaniarę, a on teraz taki rozbity. O losie, czy ja się trzęsę nad moim byłym mężem? To chyba ten stres z powodu pierwszego dnia w pracy.

– Co to za krzyki z samego rana? – Rozczochrany, zaspany Kuba wtoczył się do kuchni. – A ty się nie spóźnisz do pracy? – Głos Kuby wyrwał mnie z zamyślenia.

– No właśnie, jeszcze chwila i się spóźnię, a to wszystko przez ojca! – warknęłam, zgarniając do torebki rzeczy z kuchennego stołu: telefon, puderniczkę, chusteczki, klucze do domu i perfumy. – Masz miętówki? – zapytałam błagalnie.

Skinął głową i poszedł do pokoju.

– I ubierz szlafrok! – krzyknęłam za nim.

Wrócił po chwili, posłusznie obwinięty szlafrokiem, podał mi paczkę miętowych gum i stanął, krzyżując ręce na piersiach:

– Więc o co chodzi z dziadkiem?

– Z dziadkiem? Dlaczego pytasz o dziadka? – zdziwiłam się.

– Mówiłaś, że dzwonił ojciec. Twój ojciec, to mój dziadek. Chyba...

– Ojciec, ojciec dzwonił. Andrzej znaczy – wyjaśniłam.

– Tata? Czyli już wszystko wiesz? – parsknął Kuba.

– To znaczy?

– No, że ta Kaśka go puściła kantem. Przyłapał ją z tym rudym serwisantem

z jego firmy. – Kuba wydawał się zadowolony z takiego obrotu spraw.

– Z Igorem? – Otwarłam zszokowana usta.

– O właśnie, z Igorem. Zapomniałem jak gość ma na imię.

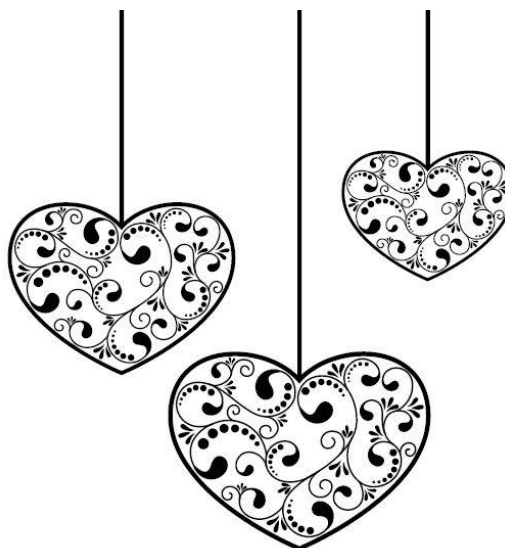
– No to teraz wszystko jasne. – Poklepałam Kubę po ramieniu i skierowałam się do drzwi.

– Ale o co w końcu chodzi? – zdziwił się.

– Powiedzmy, że tata był bardzo poruszony faktem, że pan Tracz chce oddać mu jego auto. Pomyślałam, że jednak mężczyźni to lepiej się dogadają i skierowałam Tracza do Andrzeja. No i właśnie dzwonił, ale był jakiś taki niespokojny i wzruszony. Pogadamy później, naprawdę muszę już lecieć. – Pomachałam Kubie na do widzenia.

– Powodzenia, mammo. Dasz radę, fajna z ciebie babka! – zawołał, zamykając drzwi.

Fajna, fajna. I mam wspaniałego syna.



– No to tak, Wandeczko, odbieraj telefony i zapisuj klientów. Witaj i anonsuj mi tych umówionych, którzy będą przychodzić, a w międzyczasie wpisuj w komputer dane ze zniszczonych akt, okej? – Sabina Porąbek od samego wejścia wtajemniczyła mnie w moje obowiązki.

Chodziłam za nią niczym cień od dobrych kilku minut, wszystko skrzętnie notując.

– Co drugą środę o dziewiątej przychodzi pan Gustaw, najstarszy klient biura. Koniecznie musisz być wtedy godzinę wcześniej. Czy będzie to problem?

– Absolutnie nie – zapewniłam szczerze i zanotowałam w kajecie konieczność przyjścia wcześniej.

– Pamiętaj, że pija wyłącznie zieloną herbatę. Wolę ci to powiedzieć, bo on jest trochę głuchy i zdziwaczały, i moglibyście się nie dogadać – perorowała moja szefowa.

– To ile on ma lat? – zaciekałam się.

– Dziewięćdziesiąt jeden – powiedziała z satysfakcją.

– I szuka miłości? – Przystanęłam zszokowana.

– Kochana, pan Gustaw jest moim klientem od dwudziestu lat. Znalazłam mu już cztery żony.

– I dalej szuka? – upewniłam się. – To co było z tamtymi nie tak?

– Wszystkie przeżył. – Sabina popatrzyła na mnie wymownie.

Okej, wolałam nie zadawać więcej pytań.

– Każdemu nowemu klientowi dawaj do wypełnienia ankietę. Tych, którzy przychodzą umówić się osobiście, nie wypuszczaj bez wypełnienia ankiety. Reszcie w miarę możliwości wysyłaj ją mailem. Zaznaczaj tylko, by ją odesłali, zanim pojawią się u nas na wizycie. Dzięki temu przy pierwszym spotkaniu możemy już zaproponować jakieś kandydatury. To sporo ułatwia.

– Okej, zanotowałam.

– Nie muszę ci chyba mówić, że w naszym biurze obowiązuje pełna dyskrecja. Tajemnica jak u lekarza albo księdza! – Pokiwała grożąco palcem. – I na litość boską, nie chodź za mną krok w krok, bo tego nie lubię. Zrób herbaty i przyjdź do mojego gabinetu – poprosiła i skierowała się za wielkie, rzeźbione drzwi.

– Zaraz przyjdę. – Przytaknęłam, wciąż jeszcze zestresowana.

Podczas rozmowy kwalifikacyjnej Sabina Porąbek wydawała mi się taka ciepła i serdeczna, a dziś najwyraźniej zeszywniała. Czyżby aż tak poważnie podchodziła do tej pracy? Przecież tu chodzi o swatanie ludzi. Musi być luz, polot, fantazja. To nie równania matematyczne!

Zaparzyłam herbatę i ustawiłam dzbanek na tacy. Dobrze, że po drodze kupiłam ciastka na wkupne. Teraz będą jak znalazł. Sabina co prawda wygląda, jakby nie jadała słodkości, ale ja chętnie osłodzę sobie ten pierwszy dzień pracy.

Chwyciłam za tacę i uszłam dosłownie dwa kroki, kiedy za plecami usłyszałam głośne: „Do zakochania jeden krok, jeden jedyny krok, nic więcej”. Mało tej tacy nie wywaliłam, tak nagle ryknęło.

Co, do licha?!

Odwróciłam się i zobaczyłam świecące czerwone serduszko, migające na czerwonej słuchawce telefonu. No proszę, Sabina zadbała o każdy detal. Odstawiłam tacę, ściągnęłam klips i przyłożyłam słuchawkę do ucha:

– Biuro matrymonialne „Kupidyn w spódnicy”, w czym mogę pomóc? – przywitałam się grzecznie.

Co prawda Sabina nic nie wspominała o formach witania, ale już w domu analizując to, co mnie czeka, przyrzekłam sobie pracować z klasą.

– Wandeczko, przynieś przy okazji papiery pana Dawida Kuli. Są w segregatorze opatrzonym tytułem „Prawiczki”. – odezwała się moja szefowa.

– Yyy...? – zająknęłam się.

– Nie no, aż tak ich nie klasyfikuję. „Prawiczki” w sensie, że pierwszy raz w biurze. – Sabina się zaśmiała. – Ładnie odebrałaś telefon, podoba mi się – pochwaliła i się rozłączyła.

Odszukałam rzeczony segregator i akta Dawida Kuli. Nawet niezły gość.

Wygląda na trochę starszego, ale w moim typie. Ciekawe co z nim nie tak, że korzysta z usług biura? Nie było mi dane nad tym rozmyślać, bo znów wybrzmiał irytujący dzwonek. Chyba muszę zainteresować się ściszeniem tego ustrojstwa.

– Biuro matrymonialne „Kupidyn w spódnicy”, w czym mogę pomóc?

To w sumie nie takie trudne do ogarnięcia.

– Wanda? To ty? – Usłyszałam głos mojej siostry. – I jak ci się tam pracuje?
– zapytała, nie czekając na potwierdzenie.

– Magda, nie mogę rozmawiać. Dlaczego dzwonisz na stacjonarny, a nie na komórkę? – zdenerwowałam się.

– Jak mi Kubuś napisał, że zdecydowałaś się na tę pracę, to nie chciałam uwierzyć. Miałam jeszcze jedną wizytówkę, więc dzwonię i sprawdzam. Jak ci idzie? Ile zarobisz? – Magda zarzuciła mnie falą pytań.

– Magda, naprawdę nie mam czasu. Zadzwoń wieczorem.

– Oj, jaka się ważna zrobiłaś. To pa – rzuciła nadążana i rozłączyła się.

No jeszcze mi tego brakowało, by jedyna osoba z rodziny, która się jeszcze do mnie odzywa, przestała to robić. Chociaż w zasadzie jeśli chodzi o Magdę, to czasem byłoby wręcz wskazane. Chwyciłam tacę, wsadziłam akta pod pachę i ruszyłam do gabinetu Sabiny. W połowie drogi znów usłyszałam dzwonek telefonu. Wzdrygnęłam się nerwowo. Może nie odbiorę? A jak to Sabina? Kurde błądź. Podbiegłam szybko i w ostatniej chwili złapałam słuchawkę:

– Tak? – krzyknęłam lekko zdyszana. – To znaczy... Biuro matrymonialne „Kupidyn w spódnicy”, w czym mogę pomóc? – poprawiłam się, przetykając nerwowo ślinę.

– A dziwki macie? – Usłyszałam po drugiej stronie męski, chrapliwy głos, i aż mnie zamurowało.

– Słucham?

– No... Dziwki, na godziny. Macie? – powtórzył mężczyzna, sapiąc przy tym niczym lokomotywa.

– Proszę pana, to jest poważne biuro matrymonialne, a nie burdel! – oburzyłam się.

– To nie ma dziwek? – zapytał zawiedziony i w tej chwili usłyszałam w tle nastoletnie rechoty.

Dałabym sobie rękę uciąć, że rozpoznaję tam Kubę.

– Kuba, to ty? – zapytałam, gryząc się po chwili boleśnie w język.

– Ej, koleś! Twoja mama ci jakiś radar w dupie zamontowała, bo zostałeś zdemaskowany. – Zarechotał facet, z którym przed chwilą rozmawiałam. – Dawaj moją dolę, ja swoje zrobiłem.

– Ale rozłącz się, baranie, przecież ona nas słyszy! – Usłyszałam wkurzony głos Kuby.

– Synu, ja ci w domu nogi z dupy powyrywam! – krzyknęłam i w tej chwili

zauważyłam, że Sabina stoi w drzwiach swojego gabinetu.

Odłożyłam słuchawkę i westchnęłam ciężko.

– Przepraszam, mój syn najwyraźniej za punkt honoru uznał pochwalenie się przed nowymi kolegami z liceum, czym zajmuje się jego matka. To się już więcej nie powtórzy, obiecuję – dodałam pokornie.

– Masz te akta? – zapytała, ignorując zarówno całe zajście, jak i moje przeprosiny.

– Tak, już idę – przytaknęłam, ucinając temat.

Och, już ja sobie z Kubą porozmawiam w domu. Gówniarz jeden!

– Daj mi te akta i zrób jeszcze raz herbatę. Ta zdążyła wystygnać – poleciła mi Sabina, zabierając ode mnie skoroszyt z danymi Dawida Kuli i wracając do swojego gabinetu.

Jak słowo daję, była dziś jakaś osowiała. Nie znam kobiety za długo, ale w tym wesołym jazgotliwym wydaniu była taka bardziej... rzeczywista? A teraz niby ubrana elegancko i na pełnych obrotach, ale jakaś pośepna. Nie analizując dłużej, zaparzyłam herbatę i skierowałam się do gabinetu szefowej. Na szczęście już żaden telefon nie zakłócił mi zajęć.

– Zawsze tu jest tak gwaro? – zapytałam, wchodząc. Nagle stanęłam jak wryta.

Sabina siedziała przy wielkim biurku, z nogami na blacie, z cygarem w ustach, i rzucała lotkami w tarczę wypełnioną zdjęciami jakichś kobiet.

– To jakaś technika swatania? – zagaiłam, nie czekając na odpowiedź na poprzednie pytanie.

– W przypadku Dawida Kuli? Tak. Wyobrażasz sobie, że ten facet nie ma żadnych preferencji?! – powiedziała wielce oburzona. – No jak pracuję w tej branży już prawie czterdzieści lat, jeszcze nie miałam takiego klienta.

– Ale jak to?

– No tak to. On nie wie, czy mu się podobają rude, czy brunetki. Czy ma być starsza, młodsza, wyższa czy niższa. Czy ma być wykształconą bizneswoman, czy gospodynią domową. Duży cyc, mały cyc, dziewica, doświadczona? Jakiej mu nie proponuję, to musi przemyśleć – opowiadała zmartwiona.

– Może on to analizuje w domu z mamą? – Zaśmiałam się. – A ta jest wybredna co do przyszłej synowej.

– Nie, to nie to. On się tu przeprowadził z drugiego krańca Polski. Sam jak palec. Nigdy nie mówi o rodzinie, nie ten typ. – Sabina była przekonana, że moja teoria nie jest trafna.

– To tak trochę strasznie. No bo może to jakiś psychopata albo zboczeniec – stwierdziłam zaskoczona.

– Nie, to raczej też nie. Spokojny, ułożony, cichy i łagodny. Dobrze mu z oczu patrzy, znam się na ludziach. Tylko taki jakiś wybredny. – Sabina podeszła

do tarczy i próbowała zidentyfikować, czy strzałka trafiła w blondynkę z czerwonymi okularami, czy w szatynkę z wielkim pieprzykiem na policzku.

– Moim zdaniem blondynka – stwierdziłam, przypatrując się tarczy.

– Pewnie też nie będzie pasowała – powiedziała zrezygnowana Sabina. – Chyba powoli tracę moją moc sprawczą.

– Niemożliwe! – Zaśmiałam się i chciałam jeszcze coś dodać, ale usłyszałam w korytarzu dziwny dźwięk.

– Oho, to właśnie Dawid. Byłam z nim umówiona na jedenastą, a jest bardzo punktualny. Prędko, otwórz i zaproś go do środka – popędziła mnie Sabina.

Sama w pośpiechu zasłoniła tarczę obrazem, przygasiła cygaro i schowała je do szuflady, a w gabinecie rozpyliła jakieś perfumy. Pobiełam do drzwi, otwarłam je i stanęłam ja wryta. Dawid Kula był młodym, wysportowanym, eleganckim mężczyzną. Na zdjęciu wyglądał na starszego niż w rzeczywistości – może to kwestia światła? Zaprosiłam go do środka i przedstawiłam się. Ucisnął moją dłoń jakoś tak niewinnie i lekko. Odłożył torbę i parasol, po czym zdjął marynarkę. Miał pod nią ni to wrzosową, ni to lawendową polówkę. Coś mi w nim nie pasowało. Niby facet, mięśnie, pośladki, postawa, a jednak ten chód taki pokraczny, i te kolory. Zaraz, zaraz...

– Bardzo panu ładnie we wrzosowym kolorze – rzuciłam za nim, bo coś nagle zaświtało mi w głowie.

– Tak właściwie to lawenda, nie wrzos. Zauważyła pani, że odbija światło w taki sposób, że moja cera wydaje się być bardziej rumiana? – zapytał, a mnie aż zatkało.

O matko, to gej! Piękny, wysportowany gej! Podążyłam za nim do gabinetu, gotowa na interwencję. W końcu Sabina Porąbek może porzucić swój fach, przekonana o utracie zdolności kojarzenia par. A Dawidowi po prostu trzeba mężczyzny i tyle! Eureka!

– Pani Sabino, czy mogę panią na chwilę poprosić? – Wsadziłam nos w szparę w drzwiach w chwili, gdy szefowa witała się z Dawidem.

– Mam teraz gościa, nie widzisz? To nieuprzejme kazać gościowi czekać – syknęła na mnie, posyłając jednocześnie groźne spojrzenie.

– To naprawdę niezwykle pilna sprawa i zapewniam, że nie potrwa długo. Pan Dawid na pewno się nie obrazi, prawda? – nalegałam, dziwnie gestykułując.

Sabina złapała się pod boki i przepaszając klienta, wyszła za drzwi.

– Co ty wyprawiasz? Oszalałaś? – warknęła na mnie po chwili.

– Przepraszam panią najmocniej, ale ja już wiem, co z tym Dawidem jest nie tak i musiałam koniecznie o tym pani powiedzieć – zaczęłam się tłumaczyć.

– Kochaniutka, jesteś tutaj jeden dzień i myślisz, że masz pojęcie o kojarzeniu par? – Sabina parsknęła śmiechem. – Nie sędzę. A teraz wybacznij, ale mój klient się niecierpliwi.

– On jest gejem – wydusiłam z siebie.

Nie czas był na wielkie tłumaczenia i długie opowieści, trzeba było działać.

– Słucham? – Sabina odwróciła się do mnie i patrzyła zdziwiona.

– Gejem jest. Znaczą homoseksualistą. Mężczyzn lubi.

– Na litość boską, wiem, kim jest homoseksualista... Co to mi tu wymyślasz? – Sabina zirytowała się, zerkając przez szparę w drzwiach na Dawida Kulę, który właśnie wyjął z kieszeni pilnik i piłował sobie paznokcie.

– No tak. – Spojrzałam na Sabinę z satysfakcją. – Ilu facetów nosi w kieszeni pilnik?

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Przeprowadził się z daleka, tak? O rodzinie nic nie mówi, tak? A może oni nie wiedzą? Albo wiedzą i nie zaakceptowali? – drażyłam dalej.

– Chyba zwariowałaś. – Sabina popukała się w głowę.

– Tak? – Nie zamierzałam dawać za wygraną. – To dlaczego, gdy pochwaliłam jego wrzosową koszulkę, poprawił mnie, że to lawenda i że jego cera prezentuje się korzystnie w tych kolorach?

– Okej, poddaję się. – Sabina uniosła rękę. – Tylko co ja mam robić? Nie prowadzę takich usług – dodała zawstydzona.

– A właściwie dlaczego nie? – zapytałam zdziwiona. – Miłość nie wybiera, nie? – Kuksnęłam szefową w bok, wspominając słowa, które jeszcze parę minut wcześniej mówiła mi w odniesieniu do prawie stuletniego Gustawa.

– No to co ja mam robić? – powtórzyła złęknięta.

– Porozmawia pani z nim szczerze i upewni się, że jest tak, jak myślimy. Z pani taktem i kulturą pójdzie to bezboleśnie. A potem umówi go pani na kolejną wizytę... Powiedzmy za miesiąc. Ja w tym czasie rozeznam się, że tak to ujmę, na rynku, i zobaczę, co możemy zrobić, by poszerzyć zakres usług. Skoro Dawid tu jest, to znaczy, że popyt jest – powiedziałam zdecydowanym tonem.

Sabina wahała się jeszcze chwilę, aż w końcu uśmiechnęła się pod nosem, poklepała mnie po ramieniu i weszła do gabinetu.

Godzinę później ścisnęła się serdecznie z Dawidem, umawiając go na kolejną wizytę. Chłopak wyraźnie wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca, a jego oczach pojawił się taki jakby błysk. Wyskoczył z biura, niemal podskakując z radości.

– Twoja mama nie mówiła, że jesteś aż tak ogarnięta. Świetna robota! – Sabina się roześmiała, gdy Dawid już poszedł.

– Sama nie znałam się od tej strony! – Także wybuchłam śmiechem. – Ale jednak człowiek w potrzebie wyczuje drugiego w potrzebie, choćby te były różne. – Machnęłam ręką.

– Po tych dwóch małżeństwach jeszcze ci się chłopca chce? – zdziwiła się Sabina.

– A pani się nie chce? – zripostowałam radośnie.

Sabina stężała momentalnie na twarzy i westchnęła ciężko.

– Przepraszam, nie powinnam – poprawiłam się szybko.

W zasadzie nie znam Sabiny od tej strony, ale najwyraźniej ugodziłam w jakiś czuły punkt, bo z radośnie ćwierkającej znów zrobiła się osowiała.

– Szewc bez butów chodzi, kochanie – powiedziała, wracając do swojego gabinetu.

Pozostała część pierwszego dnia w pracy minęła mi już bez większych rewelacji. Zadzwoił nowy klient – Grzegorz. Wysłałam mu ankietę, którą odesłał zaraz po kwadransie, wypełnioną w najdrobniejszych szczegółach. I to jest stuprocentowy facet, który wie, czego chce. Spodobał mi się, chociaż zdjęcia jeszcze nie wysłał. Domniemam, że nie bez powodu chciał skorzystać z usług biura. Umówiłam go na jutro rano, bo pan Gustaw odwołał wizytę. Sabina chodziła przez to pół dnia jak struta. Ponoć nasz dziadzio nigdy nie odwoływał wizyt. Chciałabym zapewnić ją, że może spotkał swoją kolejną miłość gdzieś w drodze do sklepu czy w kościele, ale wyczułam, że on się po prostu wypalił. Życie czasem pisze tak zaskakujące scenariusze, że śmiało mogłabym pokusić się o stwierdzenie, że tak jak miłość nie wybiera, tak i śmierć poluje czasem jak na oślepa. Chociaż niejedni marzy, by dożyć wieku pana Gustawa.

Wróciłam do domu, nalałam sobie lampkę wina i zasiadłam na kanapie. Dopiero teraz opuściły mnie emocje i poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Dobrze, że dałam Kubie drobne, żeby zjadł na mieście. Nie dość, że jest zdemoralizowany, to jeszcze nieprawidłowo się odżywia, ale cóż, taka nasza rzeczywistość. Sama nie jestem lepsza, bo do wina wzięłam krążek mojego ulubionego camemberta i odgrzewaną w mikrofalówce bagietkę ziołową z Biedronki. Iście królewski posiłek.

Przeglądałam dziś trochę te akta klientów i bardziej od tego, dlaczego są naszymi klientami, zastanawiało mnie za każdym razem – dlaczego są sami? Przecież to normalni ludzie, tacy jak ja, Magda czy Andrzej. A może właśnie my normalni nie jesteśmy i w tej nienormalności mieliśmy tyle fantazji, by się zakochać? A oni są za porządni, za wzorcowi, za idealni? Kiedy zobaczyłam dziś Sabinę rzucającą lotkami do tarczy pełnej zdjęć, ogarnął mnie dziki śmiech. Wyobraziłam sobie, jak wnuki takich ludzi opowiadają sobie z pokolenia na pokolenie historię, jak to dziadek ustrzelił babcię na tarczy i potem żyli razem pięćdziesiąt lat. A może to nie chodzi o sposób, w jaki ludzie się odnajdują, tylko o odpowiedzialność i zaufanie? To oni obdarzają Sabinę zaufaniem, pokładają w niej nadzieję, ona zaś czuje się za nich odpowiedzialna. A gdy uda jej się dobrze dobrać ludzi, sprawdzić wszystkie trybiki, nic nie ma prawa się popsuć. Ilekroć natrafiają na jakieś przeszkody, zawsze łatwiej im je pokonać, bo przecież zostali perfekcyjnie dobrani. I tam, gdzie jedno ma za dużo, drugie ma za mało. Są niczym

yin i yang.

Jeden dzień w tym przybytku i tyle przemyśleń. Jeszcze chwila i zacznę sobie wmawiać, że to moje powołanie, przeznaczenie, misja, a przecież Bóg, los i przypadek i tak zawsze wszystko zweryfikują.

Upiłam kolejny łyk wina i już miałam wybrać numer do Magdy, żeby zadzwonić i opowiedzieć jej o nowej pracy, gdy usłyszałam zgrzyt klucza z zamku. Najpierw rozprawię się z potworem, którego sama stworzyłam, potem z egzemplarzem, który stworzyli moi rodzice po pierwszej nieudanej próbie, czyli po mnie. Efekt łatwy do przewidzenia. Taka moja rzeczywistość.

– A co ty, pijesz? – Kuba zajrzał niepewnie do pokoju, zapewne chcąc sprawdzić mój nastrój i moją pamięć. – Aż tak źle było?

– I ty mnie o to pytasz? Ty, który żeś sam cegiełkę dołożył, a nawet dwie? – Popatrzyłam na niego spod byka.

– Oj, mam, na żartach się nie znasz? Ty wiesz, jaką furorę zrobiłaś w mojej nowej klasie? Ich starzy to nudni bankierzy, adwokaci, agenci ubezpieczeniowi, a moja mama tu rasowa swatka! – wykrzyknął radośnie.

– Ty mi tu oczu nie mydl, synu! – skarciłam go.

– Ale ja szczerze! – Posmutniał. – Ale serio aż tak źle?

– Serio, to nie najgorzej. I okazało się, że nawet mam do tych spraw smykałkę – powiedziałam z satysfakcją, wspominając w myślach biednego Dawida Kulę.

– Ale że co? Że kogoś już zeswatałaś? – zaciekawiał się Kuba.

– Kuba, nie mogę ci powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Serio? Nic nie powiesz? Ani mi, ani ciotce Magdzie? Akurat, bo ci uwierzę – szydził.

– Mogę ci powiedzieć, że dziś udało mi się prawidłowo zidentyfikować potrzeby klienta, i tyle. Nic więcej. Wiem, że jestem rozwiązła, jeśli chodzi o sekrety, ale tajemnica zawodowa to zupełnie coś innego – powiedziałam poważnie.

Kuba patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z moją matką?

– Ty mi tu lepiej powiedz, co w nowej szkole? Podoba ci się? – Szybko zmieniłam temat.

Aż mnie świerbiło, by komukolwiek powiedzieć, co mi się dzisiaj przydarzyło, ale przecież nie mogłam. Ci ludzie naprawdę nam ufają, a ja bardzo potrzebowałam tej pracy.

– Aaa, klasa w porządku. Sześciu facetów i dwadzieścia pięć pięknych kobiet. Istny raj. – Kuba się rozpogodził. – Ale ten mój wychowawca to jakiś gej...

– Co? – zapytałam zdziwiona. No w aż takie zbiegi okoliczności to ja nie wierzę. – Że taki rasowy?

– Nie no, mammo, tak się tylko mówi. Ciapek taki, sztywny i w ogóle. – Kuba machnął ręką.

– Zaraz, zaraz, synuś, coś sobie wyjaśnijmy. Może się i tak mówi potocznie „gej”, ale na osobę o odmiennej orientacji seksualnej, a nie na kogoś wrażliwego, subtelnego i delikatnego, a może skromnego czy po prostu zestresowanego – zirytowałam się.

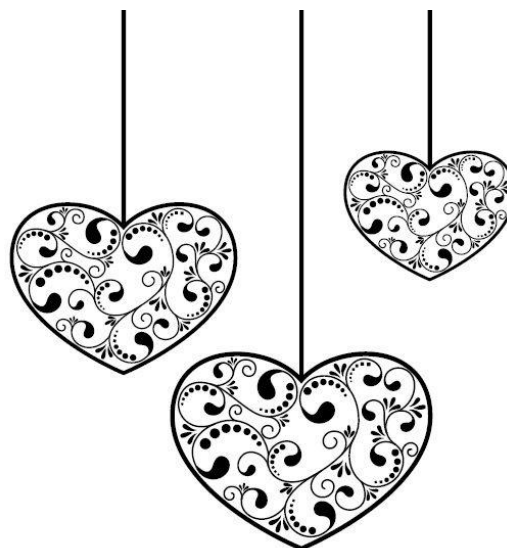
– Jezu, mammo, a coś ty się taka sztywna zrobiła? Gimbaza tak mówi, a ja dopiero co opuściłem ich szeregi i jeszcze mogę...

– Kuba, ty protestowałeś, gdy ciotka Magda podejrzewała cię o takie zapędy, bo to był tylko męski wypadek wakacyjny. Nie możesz kogoś oceniać tymi samymi kategoriami, bo miał gorszy dzień lub ma łagodniejsze usposobienie. Nie znasz człowieka – tłumaczyłam dalej.

– Mammo, ty już może nie pij. – Kuba zabrał mi z rąk kieliszek i odstawił na stół. – W całym moim dotychczasowym życiu nie usłyszałem od ciebie tak długiego kazania jak dziś. A to dopiero twój pierwszy dzień w pracy.

– To faktycznie trochę komiczne, że próbuję ci nakłść do głowy w chwili, gdy twoim autorytetem staje się bardziej podwórko, towarzystwo i Internet. Chciałabym po prostu, żebyś był dobrym człowiekiem.

– Będę tak dobry i pozwolę ci wziąć kąpiel jako pierwszej. – Kuba się uśmiechnął, wskazując mi drzwi łazienki.



– Dzień dobry, nazywam się Grzegorz. Byłem umówiony z panią Sabiną.

Następnego dnia punkt dziesiąta w drzwiach biura stanął wysoki, chudy szatyn z bardzo szerokimi ramionami i pięknymi brązowymi oczami. Nie wyglądał jak Adonis czy Casanova, ale do „prawiczków” też bym go nie zaliczyła, chociaż był u nas po raz pierwszy.

– Zapraszam. – Wskazałam mu drzwi gabinetu szefowej.

– A to nie z panią będę rozmawiał? – powiedział, jakby zawiedziony.

– Nie, ja jestem tylko pomocą biurową. Szefowa urzęduje w gabinecie za wielkimi drzwiami. Ale proszę się nie obawiać, to ciepła i serdeczna kobieta, w dodatku najlepszy fachowiec w branży – pocieszyłam go szczerze.

Mężczyzna nieznacznie się uśmiechnął i skierował swoje kroki w stronę gabinetu Sabiny. Szedł jakby na ścieżce.

– Napije się pan herbaty? – zawołałam za nim, gdy domykał drzwi.

– A chętnie, dziękuję.

Przygotowałam więc dwie filiżanki, wyłożyłam na talerz ciastka, które zostały ze wczoraj i, uprzednio pukając, wniosłam tacę do gabinetu Sabiny. Grzegorz siedział naprzeciw niej, najwyraźniej mocno zestresowany, a Sabina przerzucała kartki wypełnionej przez niego ankiety.

Wyglądało to trochę niczym wizyta u lekarza. Pacjent opowiada o swoich

dolegliwościach. Samotność, pustka, brak stabilizacji życiowej w kwestii związku. Czasem nieudany związek, jakiś miłosny zawód. Chociaż Sabina opowiadała mi też inne, dziwne przypadki. Kiedyś miała klienta, który koniecznie chciał znaleźć swoją drugą połówkę, bo od tego zależało, czy otrzyma spadek po jakimś dalekim i bardzo zamożnym krewnym. Innym razem przysłała kobieta w pierwszych tygodniach ciąży, szukająca tatusia dla swojego dziecka. Był też przypadek braci bliźniaków, którzy koniecznie chcieli poznać parę bliźniaczek. Problem polegał na tym, że każdy z nich miał inne oczekiwania co do partnerki.

Teraz na tapecie wylądował Grzegorz. Jak wynikało z ankiety, mężczyzna pierwotnie samotny, czyli nie z odzysku, po kilku nieudanych, krótkich związkach. Poszukujący drobnej, delikatnej kobiety z długimi blond lokami i niebieskimi oczami, ubierającej się skromnie, ale kobieco. Aktywnej zawodowo, najlepiej nauczycielki lub bibliotekarki. Przeglądałam jego ankietę na komputerze kilka razy, zanim ją wydrukowałam dla Sabiny, i jak słowo daję, coś mi tu nie pasowało. Jak na moje nieprofesjonalne jeszcze, ale jakże bystre oko, facet podał za dużo szczegółów w kolumnach opisujących odpowiednią kandydatkę. Jakby szukał kobiety do kogoś podobnej. To było i dziwne, i zaskakujące, i bardzo nurtujące. Obiecałam sobie, że po wyjściu Grzegorza omówię temat z Sabiną.

W międzyczasie zasiadłam do komputera i zaczęłam wyszukiwać informacje na temat związków homoseksualnych. Było tego dość dużo. Fora, strony, grupy zrzeszające ludzi kochających inaczej. Otwarłam kilka pierwszych stron i zaczęłam przeglądać. Nagle na jednej z nich uruchomił się jakiś filmik erotyczny. Całe biuro i korytarz wypełniły teraz odgłosy ekscesów miłosnych, jęków, stęków, sapania i krzyków. W panice zaczęłam klikać myszką, jednocześnie przykrywając poduszką z krzesła monitor i głośnik, by stłumić odgłosy.

Za drzwiami gabinetu Sabiny usłyszałam jakieś poruszenie, a potem kroki. Jeszcze tego mi brakowało! Pewnie wizyta Grzegorza dobiegła końca i ten zaraz wyjdzie, a ja wciąż walczyłam z natrętnym filmikiem. Zachciało mi się uzupełniać wiedzę, cholera psia mać! W końcu w wielkiej panice rzuciłam się na podłogę i wyrwałam kabel z gniazdka. W tej chwili drzwi gabinetu Sabiny otworzyły się i wyszedł Grzegorz. Spojrzał niepewnie na mnie, leżącą na podłodze, zlaną potem i czerwoną z nerwów, po czym zapytał zatroskany:

– Wszystko w porządku?

– Tak, to tylko mysz – wypaliłam pierwszym, co przyszło mi do głowy. Z nadzieją, że wcześniejsze odgłosy nie dotarły za mocarne drzwi gabinetu szefowej.

– Macie tu myszy? – zapytał zaskoczony Grzegorz i zaczął niepewnie stawiać kroki, rozglądając się dookoła.

– Właściwie to jedną, tą od komputera – zachichotałam, podnosząc się z kolan. – O, tutaj jest. A ja jej tak szukam... – Chwyciłam leżącą obok klawiatury

myszkę i pokiwałam głową z teatralnym niedowierzaniem.

– No tak. – Grzegorz się roześmiał. – Zapisze mnie pani na piątek na kolejną wizytę? – zapytał po chwili.

– Na ten piątek? – zdziwiłam się.

– A co? Nie macie wolnych terminów? – zmartwił się. – Pani Sabina mówiła, że będzie już miała gotowe sprawozdanie dotyczące potencjalnych kandydatek. Że będzie miała już dla mnie jakieś propozycje... – wyjąkał nerwowo.

– Tak, tak, rozumiem. Oczywiście. Czy pasuje panu bardziej z rana, czy po obiedzie? – zapytałam, wertując kalendarz w poszukiwaniu piątkowej kartki.

– W zasadzie tak pośrodku. – Wygrzebał z kieszeni jakąś kartkę, rozłożył ją i zaczął się przyglądać – Mam przerwę między trzynastą a szesnastą.

– Zapiszę pana zatem na czternastą trzydzieści, bo wcześniej mam wszystko zajęte – powiedziałam, wpisując koło godziny czternastej trzydzieści imię Grzegorz.

– Dziękuję, zatem do zobaczenia w piątek – pożegnał się i wyszedł.

Odetchnęłam z ulgą. Poukładałam rzeczy na biurku i schyliłam się, by ponownie włączyć komputer do prądu, z nadzieją, że tych miłosnych wygibasów już tam nie ma. Na szczęście nie było. Chyba zrobię *research* w domu, przy wyłączonych głośnikach.

Po kilku minutach Sabina wyszła ze swojego gabinetu w swetrze i z torebką na ramieniu.

– Wandeczko, bardzo źle się czuję. Pójdę do domu. Przełoż spotkanie z panią Zytą na przyszły tydzień, bardzo cię proszę. Ogarnij tu trochę i możesz iść do domu. Zostawiam ci klucze. Tylko pozamykaj dobrze i upewnij się, że wszystko powyłączałaś – powiedziała cicho.

Znów wyglądała jakoś tak szaroburo. Może cierpiała na jakieś chroniczne migreny? Albo ta praca była aż tak wyczerpująca?

– Może panią odprowadzę? Albo zamówię taksówkę?

– Nie, nie. Nie trzeba. To tylko dwie przecznice. Spacer dobrze mi robi – próbowała mnie uspokoić.

– Ale czy w domu ktoś jest? Żeby pani sama nie była, bo to strach.

W zasadzie powinno mi być to obojętne, w dodatku mogłam wyjść z pracy przed czasem, jednak zachowanie Sabiny mnie niepokoiło. Już chyba od urodzenia byłam wyczulona na ludzką krzywdę. Nie mówię nawet o Andrzejku, który potrafił cały dzień chorować po zakrapianej imprezie, czy o Magdzie, która bez znieczulenia urodziła troje dzieci, każde po ponad trzy i pół kilo. Ale o takiej krzywdzie, gdy staruszka boi się przejść przez przejście, albo zagubiony piesek błąka się po ulicy. No nie potrafię pozostać obojętna.

– W domu to mi już będzie całkiem dobrze, bo to moja przystań. Tam wszystko mija w mgnieniu oka! – Sabina machnęła ręką. – Dziękuję za troskę,

kochana. – Wysiliła się na uśmiech i wyszła.

Tak bardzo zamyśliłam się nad jej stanem zdrowia, że zapomniałam podzielić się z nią swoimi spostrzeżeniami co do naszego nowego klienta – Grzegorza. Jednak Sabina była w tak kiepskiej kondycji, że rozmowa nic by nie dała. Trudno skupić się na pracy, gdy doskwiera ci ból głowy lub czegoś innego. Jutro też jest dzień.

Zrobiłam w trymiga wszystko, co zleciła mi szefowa, i miałam się już zbierać, gdy przypomniałam sobie, że wczoraj nie zadzwoniłam do Magdy. Postanowiłam zrobić to od razu, bo w domu zajmę się sprzątaniami, obiadem, praniem i znowu zapomnę. Albo – co gorsza! – zbyt długie milczenie z mojej strony zmusi moją siostrę do odwiedzin. No, z całym szacunkiem, ale tego bym nie zniosła! Jako kobieta pracująca, obarczona wieloma obowiązkami, nie mogę pozwolić sobie na dodatkowy stres!

Chwyciłam telefon i wybrałam numer. Oczekując na połączenie, odłożyłam na bok słuchawkę telefonu służbowego. Może przez chwilę nikt nie będzie potrzebował pilnej pomocy sercowej, a ja załatwię wszystko po kolei, jak trzeba.

– Wanda, bój ty się Boga! Czy ta praca już cię doszczętnie wessała? Kobieto, ty się szanuj i nie daj sobie wciskać nadgodzin czy czegoś. Pracoholizm zabija. Ty popatrz na mojego Romana. Od świtu do nocy w pracy i jak mało wydajny w domu potem! – przywitała mnie moja siostra.

Czasem szczerze się dziwię, że jest ode mnie młodsza. Mam wrażenie, że wszystkim nam matkuje bardziej od mamy. A co do Romana i jego pracy, to mam swoją teorię w tym temacie, ale wolę się nie narażać Magdzie.

– No nie przesadzaj, przecież dzwonię! – skarciłam ją szybko.

– No dzwonisz, dzwonisz! Ale tyle czasu milczałaś, że ja od zmysłów odchodziłam! – perorowała Magda.

– Mnie też miło cię słyszeć – westchnęłam z rezygnacją i położyłam czerwoną słuchawkę firmowego telefonu z powrotem na miejsce.

Może zadzwoni jakiś klient w potrzebie i wybawi mnie od tej rozmowy?

– No dobra, opowiadaj! Co u ciebie? Bo u nas to nic takiego. Kalinka zaczęła czwartą klasę. Czwartą klasę! Ty sobie wyobrażasz, jak ten czas szybko leci?! Wczoraj już było zebranie, no i nie chciałam, ale nie było nikogo chętnego i musiałam zgłosić się do trójki klasowej. Może Kalinka będzie chociaż miała jakieś ulgi z tego tytułu, bo wiesz, jak to teraz jest... Wszędzie te znajomości i układy. Sama wiesz, jak z tą twoją pracą! Gdyby nie mama, to byś dalej szukała. Ale to ty miałaś mówić co u ciebie. – Magda zorientowała się, że nie daje mi dojść do głosu.

Swoją drogą... Już widzę, jak to ona się wzbrania i chowa w ostatniej ławce, by nikt nie zaproponował jej uczestnictwa w trójce klasowej, i jak z miną zbitego psa przyjmuje na siebie ten obowiązek! Prawda jest taka, że Magda czwarty rok

zgłasza się do trójki klasowej i robi wokół tego cały ten szum, żeby nie wyszło, że jest nadgorliwa.

– U mnie jako tako – burknęłam niechętnie, bo całkowicie zapomniałam, co miałam powiedzieć siostrze.

O pracy za wiele powiedzieć nie mogę. Zresztą... To wypominanie, że zdobyłam ją dzięki mamie, wychodzi mi już bokami.

– Słuchaj, Olkowi wyszła górna trójka! No co za heca! Trzy noce się dał i w końcu wyszła. A Antek to jeszcze nic nie ma, ale takie rzadkie kupy wali od tygodnia, że pewnie zaczął ząbkować. Nie odwiedzam was póki co, bo wiesz, ząbkowanie to i od razu odporność słabsza, żebyśmy czegoś nie złapali od was. – Magda wpadła z szaleńczy monolog.

– Wiesz, chyba i tak bym cię teraz nie ugościła, bo przez pracę mam mniej czasu na sprzątanie i gotowanie – stwierdziłam z ulgą, że mam realną wymówkę, by kontakty z siostrą i jej rozwrzeszczaną bandą ograniczyć do rozmów telefonicznych.

– No właśnie, ty mów co z tą pracą? – zacięła się Magda. – A gdzie ty teraz jesteś? Żeby cię nie wywalili za prywatne rozmowy! Ty się tam może nie narażaj. A wiesz, byłam wczoraj w galerii w centrum i na pierwszym piętrze otwarli taki nowy sklep z odzieżą. Wypatrzyłam tam ekstra kieckę dla ciebie. Taką z bordowego weluru. Kuba mówił, że twoja szefowa ma taką. To taki firmowy uniform? – Magda zachichotała.

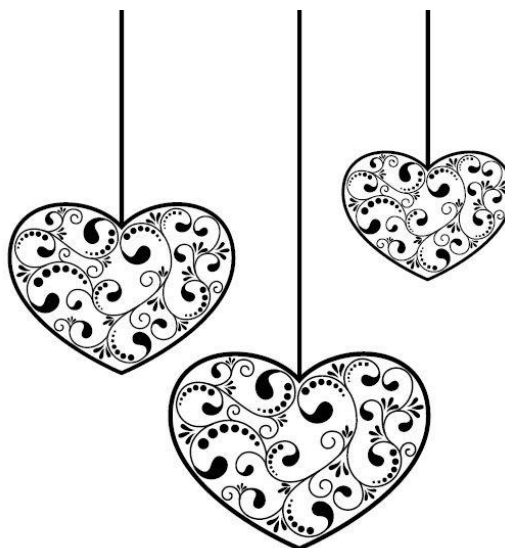
– Wiesz co, chyba zaraz rozładuje mi się telefon, a nie mam przy sobie ładowarki. Oddzwonię wieczorem, dobra? – Poddaję się, jak słowo daję, poddaję się.

– No to pa pa, ja też leczę, bo Kalinka zaraz kończy lekcje, a mamy naradę w sprawie fluoryzacji zębów. Ty sobie wyobrażasz, że jakaś konwencja genewska wprowadziła ograniczenia w sprawie fluoryzacji? No świat tego nie widział! Myśmy fluoryzowali i nikt nam się nie mieszał, a kto mi będzie potem za dentystę wracał, jak się dziecku zęby popsują? No mówię ci, taka jestem wściekła! Zaraz idę do szkoły interweniować, ja tego tak nie zostawię! – krzyczała moja siostra.

– Muszę kończyć. Mam umówionego klienta, pa! – rzuciłam i rozłączyłam się szybko, opadając na oparcie krzesła z ciężkim westchnięciem.

I to niby ja byłam tym pierwszym zepsutym egzemplarzem, a ona już pełnowartościowym i idealnym?

To ja już wolę być zepsuta.



– Wandeczko, Wandeczko, proszę, wróć do mnie. Wandeczko, tak bardzo cię kocham. No wybacz mi, błagam. Wandziu, ależ Wandziu...

– Nie, nie, nie...

– Mamo? Mamo?

– Nie, nie, nie!

– Mamo, już dziewiąta!

Otwieram leniwie oko. Kuba wisi nade mną, przystawiając mi budzik do ucha. Jak byk dziewiąta. Ale o co ten hałas? Andrzej zawiezie cię zaraz do szkoły, a w razie co napiszę ci usprawiedliwienie za nieobecność na pierwszej lekcji. Głowa mnie boli, dajcie mi wszyscy święty spokój.

– Mamo! Spóźnisz się do pracy i cię wywalą! – huknął Kuba, wylewając na mnie szklankę lodowatej wody.

– Czyś ty do reszty zwariował?! – ryknęłam, wyskakując z łóżka jak oparzona. – Zaraz, zaraz. Gdzie ja jestem? Gdzie jest tata? – Rozglądnęłam się po pokoju.

– Mamo, piłaś coś? – zapytał ubawiony Kuba.

O co mu chodzi? Jezu, Andrzej pół nocy się przede mną płaszczyl. Jawa to czy sen? Dzień dobry, nazywam się Wanda Guzik. Porzucona matka i podwójna rozwódka. Wczoraj wypłam trochę wina i chyba film mi się urwał. Mam nadzieję,

że te przebłyski z byłym mężem to tylko moja wyobraźnia. Chwyciłam telefon i przejrzałam listę połączeń. Uff. W wiadomościach też czysto. Czyli to tylko sen. Co za ulga... Nic nie nabroiłam, tylko te cyfry na zegarze przeskakiwały jak szalone.

– Matko kochana, czemu mi nie mówisz, że już dziewiąta? Przecież spóźnię się do pracy! – wrzasnęłam przerażona.

Pobiegłam do łazienki. Złapałam szczoteczkę do zębów oraz grzebień i zaczęłam się szybko pindrzyć. Dwa ruchy szczotką i gotowe. Teraz ubiór. Wczorajsze ubrania wiszą na krześle. Pewnie tak się ubzdryngoliłam, że nie chciało mi się nawet brać prysznic. Podniosłam rękę i powąchałam pachę. Ujdzie. W końcu to nie we mnie mają się zakochać. Chwyciłam wczorajszą koszulkę, strzepnęłam w powietrzu. Super, nie trzeba prasować. Szast-prast i jestem gotowa do wyjścia. Złapałam torebkę, klucze i podbiegłam do drzwi. Ubierając buty, zezowałam na mojego syna, który – jeszcze w piżamie – stał w drzwiach swojego pokoju, najwyraźniej zaszokowany.

– Masz wolne, synu? Czy zaczynasz nową szkołę od wagarów? – zapytałam zdziwiona.

– Miło że pytasz. – Roześmiał się ironicznie – Zaspałem. Potrzebuję usprawiedliwienia – dodał pokornie.

Wyczułam spisek. Wcale nie zaspał, tylko skorzystał z mojej słabości. Nie miałam czasu na pierdoły.

– Sam mówiłeś, że ten twój wychowawca to jakiś słaby gej. To wymyśl coś. Nie wiem, pękniętą rurę, zatrzaśnięcie w windzie, ewentualnie uśmierć kogoś z rodziny. – Machnęłam lekceważąco ręką. – Tylko nie babcię Bronię – dodałam szybko i wypadłam z mieszkania.

Wyleciałam na ulicę, rozglądając się za pierwszą lepszą taksówką i dopiero po chwili dotarło do mnie, ile czasu zajęło mi wczoraj uczenie dorastającej młodzieży, że człowiek o łagodnym usposobieniu to niekoniecznie gej i że każdy ma prawo być inny. A dziś znów deprawowałam syna. Życie do poprawki!

Dzięki Bogu, że mimo tak podłego podejścia do świata los mi sprzyjał, bo taksówka wyrosła jak spod ziemi i zatrzymała się tuż przy mnie.

– Do centrum proszę, najlepiej jakby się pan umiał jakoś teleportować. – Popatrzyłam błagalnie na taksówkarza.

– Może trzeba było pogotowie lub straż zawezwąć, jak pani tak pilno – odpowiedział flegmatycznie i powoli włączył się do ruchu.

Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Taksówka pojawiła się niczym cud z niebios, a wlecze się jak karawan!

Piętnaście minut i kilkadziesiąt grózb karalnych później wysiadłam z taksówki, nie dając kierowcy nawet grosza napiwku. Co za natrętny gbur!

Wtoczyłam się spocona na drugie piętro i odmawiając szybko dwie

zdrowaśki za dobry humor szefowej, pełna obaw nacisnęłam na klamkę. Oparłam się całym ciężarem o drzwi, które ani drgnęły. Co jest? Obraziła się i zamknęła od środka? Przecież to tylko małe spóźnienie!

Zacząłam pukać i dzwonić, ale bez skutku. Może Sabina siedzi w gabinecie z jakimś klientem, a drzwi zamknęła, by nikt obcy w międzyczasie nie wszedł? To wydaje się dość prawdopodobne i logiczne. Tylko co teraz?

Przykucnęłam przy drzwiach i zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu. Może zadzwonię do środka i jakoś ugłaskam szefową, by mnie wpuściła. W końcu znalazłam w opasłej torebce klucze od biura. Eureka! No i jesteśmy w domu. Przecież wczoraj Sabina wyszła wcześniej i zostawiła mi klucze, którymi pozamykałam wszystko na dziesięć spustów. Cholera, a może to były jedyne klucze do biura i to Sabina pocałowała rano klamkę? No to jestem ugotowana. Z miną utrapieńca otwarłam wszystkie zamki i weszłam do środka. Rzuciłam torbę na fotel, odpaliłam komputer i cyknęłam czajnik z wodą. Z tego wszystkiego nie zjadłam śniadania, o kawie nawet nie wspomnę. Rozejrzałam się po biurze, uświadamiając sobie, że wszystko wygląda tak, jak zostawiłam dzień wcześniej. Czyli Sabiny tu nie było. Albo była, ale nie mogła się dostać do środka. Zaraz do niej zadzwonię i wszystko się wyjaśni.

Obróciłam się na pięcie, bo przypomniało mi się, że nie zamknęłam za sobą drzwi. Pchnęłam je ręką i zastygłam w przerażeniu. Po ich wewnętrznej stronie, na wysokości wizjera, była przyczepiona kartka. Przyczepiona to w sumie za dużo powiedziane. Ona była przybita jedną z lotek od darta, którymi dzień wcześniej rzucała moja szefowa. A jednak ktoś tu był. Aż przykucnęłam z przestachu, bo to wszystko wydawało mi się jakieś dziwne. Kiedy panuje tu ruch i gwar, wszystko wydaje się takie ciepłe i przyjazne. A teraz, gdy jestem tu sama i słyszę bicie własnego serca, każdy zakamarek budzi strach. Tak jakby nie było tu nikogo oprócz duchów odpowiedzialnych za te miłosne czary-mary. Odniosłam wrażenie, że powiał wiaterek, i aż mi serce podeszło do gardła. A na to wszystko zadzwonił telefon. I pomyśleć, że wczoraj chciałam zmienić tę wesołą melodię na zwykły dzwonek. Założę się, że na dźwięk rzeczonoego dzwonka narobiłabym właśnie w spodnie.

– Słucham? – zapytałam zląkniona, podnosząc czerwoną słuchawkę.

Z tego wszystkiego zapomniałam o moim biurowym savoir-vivre.

– Znalazłaś kartkę? – zapytał chrapliwy głos po drugiej stronie.

– Yyy... Tak. Kto mówi? – jęknęłam zrozpaczona.

– Nie wygłupiaj się. To ja, Sabina. Przeziębiam się i mam chrypkę, ale spokojnie, przez telefon nie zarażam. – Zaśmiała się już po swoim.

Odetchnęłam z ulgą, ale chwile grozy, które przeżyłam przez tych kilka sekund, nakazały mi usiąść.

– A coś ty myślała? – zapytała zdziwiona Sabina.

– Ach, nic, nic. Kiepski początek dnia. – Roześmiałam się nerwowo.
– Choroba rozłożyła mnie całkowicie. Zostawiłam ci kartkę z wytycznymi. Znalazłaś? – zapytała podejrzliwie Sabina.

– T-tak – jęknęłam. – Ale jeszcze nie zdążyłam się z nią zapoznać – dodałam ze wstydem.

– Chyba nie spóźniłaś się do pracy? – zapytała srogo szefowa.

– N-nie. To znaczy... I tak, i nie – zaczęłam się gubić. – Po prostu zapomniałam, że mam klucze w torebce i od pół godziny koczowałam pod drzwiami, czekając na ciebie. No idiotka ze mnie!

Lepsze to niż prawda, że zasnęłam, bo śnił mi się mój były mąż.

– Nieważne – westchnęła Sabina. – Nie będzie mnie dziś. Nie zdążyłam odwołać dzisiejszych spotkań, więc przyjmiesz obie klientki sama. To proste przypadki, raczej sobie poradzisz. Na biurku w moim gabinecie zostawiłam też teczki z kandydatkami dla Grzegorza. To na wypadek, gdybym jutro też nie dotarła. Poza tym jak zwykle, odbieraj telefony, zapisuj wiadomości i uzupełniaj bazę danych. Dasz radę? – zapytała spokojnie, chociaż czułam w tym wyraźny brak przekonania.

– Oczywiście. Niczym się nie martw i zdrowiej! – zapewniłam ją przytomnie.

No, skoro źle się czuję, to nie mogę dokładać jej jeszcze zmartwień w postaci moich wątpliwości. Choćbym nie wiem jak nie była gotowa, zrobię wszystko, by nie zawieść szefowej. No i przy okazji nie stracić pracy. Jeszcze nie wiem, na czym bardziej mi zależy.

– Powiedzmy, że ci wierzę. – Sabina zachichotała.

Humor jej nie opuszczał – mimo choroby.

– Jakby co to dzwoń. Całuję. Pa. – Rozłączyła się, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

No to zapowiadał się długi dzień. Swoją drogą to głupie. Każdy pracownik ucieszyłby się z nieobecności szefa. Zero napięcia, że ktoś patrzy ci na ręce, że ktoś słucha, że ktoś wymyśla nowe zadania, pełna swoboda. A jednak nie czułam się komfortowo. Nie to, że bym bała się pogaduszek o facetach z dwiema klientkami. To akurat żaden problem i w dodatku jeszcze mi za to zapłacą. Ale to miejsce zdecydowanie źle na mnie działa, kiedy jestem sama.

Moje odczucia zmieniły się o sto osiemdziesiąt stopni zaledwie pół godziny później. Już nie czułam się źle w biurze, bo nie byłam sama. Ogarniał mnie jednak paranoiczny strach na myśl o przedłużającej się pogawędce o facetach z niejaką Tamarą Zdyń. Im dłużej to trwało, tym mniej wiedziałam.

– Nnnnnnooo iiiiii wwwwiiddziiii panniinii, sssssszukamm mmmmeżaaaa – jękała się kobieta pocila się od pół godziny, by wyłuszczyć mi swoją sytuację, a ja od pół godziny próbowałam wyprzedzić jej myśli i zasugerować rozwiązanie,

by nie musiała mi go opowiadać.

Sprawa była nad wyraz jasna. Kobieta była ładna, mądra, wykształcona, odcytana, zaradna, ale się jąkała i przez to czuła niepełnowartościowa. Nie, nie powiedziała mi tego wszystkiego. To zajęłoby nam raczej dobry tydzień – wyczytałam to w jej aktach, gdy tylko wydukała swoje imię i nazwisko. Tylko co ja mogłam dla niej zrobić? Może i faktycznie to dogadywanie się było trochę problematyczne, ale wyglądała na fajną babkę. I czego nie powie, nadrobi wyglądem. Mam jej znaleźć jakiegoś geniusza przewidującego przyszłość, który będzie umiał rozpoznać po pierwszych zgłoszkach, co chce powiedzieć? A może kogoś, z kim będzie się porozumiewać Morseem? Nie, to głupie.

– Na ilu była pani randkach? – zapytałam bezradnie, bardziej dla podtrzymania rozmowy niż informacji.

Kobieta nabrała powietrza, po czym je wypuściła, spojrzała na swoje dłonie i wyprostowała osiem palców. Chyba sama już miała dość tej konwersacji. Osiem randek. I pewnie wszystkim ośmiu kandydatom opadła szczęka na jej widok, a potem nagle ich ktoś wezwał, że niby rura w domu pękła lub w ogródku wylądowało UFO, by tylko mogli uwolnić się od tej kłopotliwej sytuacji. Faceci zgrywają twardzieli, ale założę się, że gdy Sabina mówi im o tym „defekcie” klientki, machają lekceważąco ręką. Potem jednak to po prostu ich przerasta. A znaczy to tyle, że to nie ten jedyny. Bo jeśli kogoś trafi Kupidyn, to będzie walczył i już.

– Będę się upierała, że nie spotkała pani jeszcze tego jedynego – wyznałam szczerze.

Podniosła na mnie wzrok z niedowierzaniem.

– Może to naiwne i głupie, ale jestem pewna, że ktoś, kogo zauroczy pani od pierwszej sekundy, nie zwróci uwagi na trochę bardziej skomplikowaną komunikację – dodałam.

– Eeee... – zaczęła Tamara, ale powstrzymałam ją gestem dłoni.

– Co nie zmienia faktu, że powinna pani pracować nad tym problemem. Chodzi pani do logopedy? Psychologa? – zapytałam z troską.

– Aaaaallleeee ttttaaaamm jeeessttt dooobbbrrzeeee – wydusiła z siebie Tamara.

– No tak, a taka randka to dodatkowy stres, który potęguje jąkanie, tak jak dzisiejsze spotkanie ze mną. Przy Sabinie pewnie idzie lepiej – westchnęłam, zastanawiając się, jak pomóc tej kobiecie. I nagle naszła mi pewna genialna myśl.

– Mam pewien pomysł! – Przyklasnęłam z zadowoleniem. – Bo wie pani... Mamy tu takiego pana, co na pewno nie będzie panią zainteresowany, ale mógłby pomóc.

– Ccccoooo? – zdziwiła się kobieta.

– Źle to zabrzmiało. Przepraszam. Jeszcze raz. – Nabrałam powoli powietrza. – Mamy takiego klienta, pana Dawida. Nie umówię was na randkę, bo pan Dawid... woli mężczyzn. Ale wiem, że jest logopedą. I w dodatku jest zabójczo przystojny, więc jeśli nie zakoduje sobie pani w głowie tego, że przyznałam, że jest gejem, może będzie panią trochę onieśmielał. – Zaśmiałam się serdecznie.

Tamara Zdyń wciąż patrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Zwykle nie organizujemy takich akcji, ale sądzę, że pan Dawid zgodzi się pomóc. Mógłby poćwiczyć z panią kilka typowych sytuacji damsko-męskich, by oswoiła się pani z przebywaniem w atrakcyjnym towarzystwie, a przy okazji zaleci pani kilka fachowych technik logopedycznych? Co pani na to?

– Zzzzgggoooddziiii siiiięęę? – jęknęła Tamara.

W jej oczach ujrzałam błysk nadziei i pomyślałam, że zrobię wszystko, by się zgodził. Homoseksualiści mają w sobie wyjątkową empatię i wrażliwość, są pomocni. A poza tym obiecałam mu, że poszerzymy naszą działalność przez wzgląd na jego potrzeby, więc poniekąd ma u nas dług.

– Zaraz do niego zadzwonię i przedstawię mu temat, ale jestem pewna, że się zgodzi. – Uśmiechnęłam się i przeprosiłam Tamarę, wychodząc na korytarz, by zadzwonić do Dawida Kuli.

– Załatwione. – Wróciłam po chwili pełna optymizmu.

Co prawda musiałam zaproponować mu mały rabat na nasze usługi, ale o tym Tamara nie musi już wiedzieć.

Gdybyście widzieli, z jaką radością i lekkością wychodziła z naszego biura, zrozumielibyście, że są ludzie i sytuacje, w których trzeba, wręcz należy walczyć. Ja w dalszym ciągu uważam, że to świetna, młoda kobieta. Rozumiem jej kompleks i wycofanie, ale myślę, że największy kłopot siedzi w głowie i jestem pewna, że Dawid pomoże nam chociaż ustalić dobrą drogę. A potem to jak ja już zaczęłam umawiać ją na randki, to się kobieta zdecydować nie będzie mogła, kogo wybrać. Tak będzie. Cholera, ile ta praca może dać radości i satysfakcji.

Rozpływałam się w zachwytach nad samą sobą, gdy dotarło do mnie, że zaraz przyjdzie następna klientka, a ja jeszcze nie zdążyłam zapoznać się z jej aktami. Swoją drogą... Zauważyłam, że Sabina prowadzi tu jakiś dziwny porządek. W jeden dzień przychodzą sami panowie, w następny tylko panie. Do licha! A gdzie koedukacja? Przecież ci ludzie mogliby się sami tu parać, mijając się na korytarzu! Założę się, że nie organizuje też żadnych spotkań otwartych dla klientów, żeby mogli się ze sobą zapoznać. Nikt im nie każe dobierać się samodzielnie, ale przecież wszystkich ich łączy jakby jeden cel – znalezienie miłości. Mogliby okazać sobie trochę wsparcia, zaprzyjaźnić się. Muszę jej to koniecznie zaproponować. Być może działamy na starych zasadach, zupełnie odmiennych od internetowych swatek, ale przecież takie schadzki to tradycja

rodem z PRL-u. I nie ma tu tego? Zaiste, to dziwne.

Zaparzyłam sobie herbaty i już chciałam zajrzeć do akt niejakiej Beaty Kozielskiej, gdy zadzwonił telefon.

– Biuro matrymonialne „Kupidyn w spódnicy”, w czym mogę pomóc? – przedstawiłam się grzecznie.

– Dzień dobry, chciałem się zapisać – odpowiedział mi głos po drugiej stronie.

Słyszałam go dość niewyraźnie. Chyba przebywał w jakiejś dużej hali, bo gdzieś z tła dobiegał hałas.

– Dzień dobry, miło mi pana słyszeć. Rozumiem, że zgłasza się pan do biura matrymonialnego po raz pierwszy? – spróbowałam go ośmielić.

Powoli zaczynałam rozumieć wstyd tych ludzi. Niby samotność to ludzka sprawa, ale zauważałam, że naszymi klientami nie były osoby nie mające czasu na poznanie ludzi, tylko zwyczajnie ze zbyt wieloma kompleksami, by do tych ludzi wyjść. Dla niektórych nawet taki telefon to ogromna trauma. Takie kolejne przyznanie się przed sobą, że się samemu sobie nie radzi. Chyba powinnam zostać psychologiem.

– Do waszego biura? Tak – westchnął.

– Na pewno? Pana głos wydaje mi się znajomy... Proszę się nie wstydzic – próbowałam go zachęcić.

Jeśli już u nas był, pewne procedury można przecież sobie darować.

– Przecież mówię, że dzwonię do was po raz pierwszy – zirytował się.

– Wnioskuje zatem, że był pan wcześniej klientem innego biura. W czym więc problem? – zaciekałam się.

– Bo wie pani... Wcześniej to było dla picu, tak naprawdę miałem żonę, a teraz jestem w realnej potrzebie – wyznał szczerze i westchnął żałośnie: – W dodatku mam pewien... osobliwy problem – dodał nieco ciszej.

– Nie ma problemów, z którymi nie moglibyśmy sobie poradzić. Może umówimy się na spotkanie? W cztery oczy będzie łatwiej – zaproponowałam. – Wcześniej mogłabym wysłać panu wstępną ankietę do wypełnienia, żeby mieć już jakieś pojęcie o pana oczekiwaniach.

– Boję się spotkania.

– Cierpi pan na atropofobię? – zapytałam.

Co za zbieg okoliczności! Że też akurat wczoraj leciał w telewizji reportaż na ten temat. I proszę, błyszczący profesjonalizmem!

– Nie – jęknął przeciągle. – Po prostu jest pani kobietą.

– No, tu akurat niewiele jestem w stanie zmienić. Nasze biuro obsługują same kobiety, ale jesteśmy bardzo fachowo przygotowane, a poza tym swojskie baby z nas i nie ma strachu – pocieszyłam go.

– Nie wątpię, chodzi jednak o to, że odkąd rozstałem się z żoną i porzuciła

mnie kochanka, mam alergię na tekstylia przy każdej napotkanej kobiecie. Nie chciałybym wyjść na jakiegoś potwora, ale to silniejsze ode mnie – wyrzucił z siebie.

– Nie rozumiem...

– No... Rozbierać mi się chce i bynajmniej nie z gorąca! – syknął. – A właściwie to z gorąca, ale nie takiego zewnętrznego – zaczął się mieszać.

– O matko, to faktycznie osobliwe. Czy był pan z tym u lekarza? – zatroskałam się.

– No co też pani! – oburzył się. – Mężczyźni w moim wieku to raczej po viagrę chodzą. Zresztą mi to tak nie przeszkadza, nie chciałybym po prostu wyjść na erotomana-gawędziarza. Zależy mi na partnerce o podobnym temperamencie i tyle – wyjaśnił.

– Dobrze, więc zrobmy tak: wyślę panu ankietę, pan ją wypełni, ja przejrzę bazę i ustalę pierwszą grupę potencjalnych kandydatek, i dopiero wtedy umówimy się na spotkanie. Jak się pan na którąś, że tak powiem... napali, to od razu przejdziemy do randek. Tylko żeby było jasne, nie jesteśmy żadną agencją towarzyską – dodałam ostro, bo facet brzmiał trochę, jakby zależało mu tylko i wyłącznie na seksie.

– Nie jestem nastolatkiem szukającym przygód. Chcę kobiety do tańca i do różańca. No wie pani... – Roześmiał się.

– Poproszę adres mailowy, wyślę panu ankietę do wypełnienia.

– Andrzej, kropka, guzik, małpa, gmail, kropka, com – wyrecytował pewnie, a ja aż się zapowietrzyłam.

– Andrzej, to ty?! – wrzasnęłam.

– Nie rozumiem, o co pani chodzi? Znamy się? – zaniepokoił się mój eks.

– Ty idioto! To ja, Wanda! – ryknęłam oburzona.

– Wanda? A co ty tam robisz?! – jęknął zrozpaczony. – Śledzisz mnie?!

– Pracuję, kretynie. Mówiłam ci, że pracuję. A tobie co? Dziwek się zachciało? – wrzeszczałam jak w amoku. – Dobrze ci tak, że cię ta Kaśka rzuciła! Niech ci kutafon z tęsknoty teraz usycha, bo ja palca nie przyłożę, by znaleźć ci kolejną wywłokę do pukania.

– Ale Kuba mówił, że pracujesz w agencji „Kupuj dom”. To chyba nieruchomości, nie? – Andrzej próbował się jakoś tłumaczyć.

– Agencji Ku-pi-dyn, baranie! I w ogóle nie agencji, tylko w porządnym biurze matrymonialnym, najlepszym w mieście, bardzo renomowanym, prestiżowym i ekskluzywnym – wpadłam w nerwowy słowotok. – Byle kogo nie obsługujemy, tak więc wybaczone, Andrzej, rozłączam się! – Rzuciłam słuchawkę.

Co za imbecyl! Kija mu się zamoczyć chciało i do porządnego biura zagubionych serc dzwoni. Na autostradę sobie niech pojedzie, zboczeniec jeden.

Wypiłam haustem całą herbatę. Uch, jeszcze gorąca! Wody, wody!

To pewnie też jego sprawka! Zapewne właśnie posyła mnie do diabła, jak znam życie. Co ja w nim widziałam? Natłok złych emocji kłębił się we mnie, szukając ujścia. Napiłabym się wina, ale skąd tu wino? Poza tym jestem w pracy i nie powinnam pić. Zaraz, zaraz – miałam gdzieś tu te ciasteczka. Może chociaż cukier ugłaska moje skołatane nerwy?

Wyciągnęłam w szuflady napoczęte opakowanie łakotek i zaczęłam je wsuwać. Moje wnętrze wypełniła przyjemna słodycz, powoli osiągałam upojenie. I w samą porę, bo za drzwiami usłyszałam kroki. Przeczesałam włosy, poprawiłam papiery na biurku i czekałam w gotowości, by przywitać następną klientkę.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że się nie spóźniłam. Burza mnie zaskoczyła.
– Kobieta weszła do biura i zaczęła otrzępywać się z wody, którą miała dosłownie wszędzie.

Spojrzałam w okno i aż przymknęłam powieki od rażącego słońca. Jestem w jakiejś ukrytej kamerze czy co? Jak słowo daje, dziwny ten dzień. Babeczka spojrzała na moją skonsternowaną minę, potem na okno, potem znów na mnie.

– Naprawdę, dopiero co padało – usprawiedliwiła się szybko, dalej bacznie mi się przyglądając.

Mnie też przeszło przez myśl, że skądś ją kojarzę. Beata Kozielska, Beata Kozielska... Cholera, nic mi to nie mówiło, ale twarz jakby znana. Otwarłam jej akta i rzuciłam wzrokiem. „Beata Kozielska, wkrótce znowu Tryńska”. Tryńska? Tryńska?

– Wanda? – zagadnęła mnie kobieta.

Podniosłam na nią wzrok i zorientowałam, że przygląda mi się równie zaciekle, co ja jej.

– No coś mi właśnie świta, że skądś panią kojarzę – powiedziałam powoli, nie spuszczać z niej wzroku.

To musiałyby być naprawdę dawno temu, ewentualnie podczas jakiegoś mocno zakrapianego przyjęcia, że miałyśmy sposobność się poznać.

– Nie wygłupiaj się, Wanda! To ja, Beata Tryńska! – Kobieta się roześmiała.
– Beata nogą zamiata i tak dalej!

Jasne, bo tylko o jednej Beacie się tak mówi.

– Liceum, druga klasa, wycieczka integracyjna wszystkich szkół średnich z okazji Dnia Kobiet. Pokój numer osiem, na pierwszym piętrze. Wino „Oddech sołtysa” i huśtanie się na rurze w łazience. Jesteś pewna, że mam mówić dalej? Czy jesteśmy tu same? – Beata dusiła się ze śmiechu.

– O nie, o nie, o nie! Becia, to naprawdę ty?! – Duch Święty mnie nagle oświecił. Przecież to właśnie z tej naszej wycieczki szkolnej scenarzysta filmu „Kac Vegas” zapożyczył kwestię: „Co zdarzyło się w Vegas, zostaje w Vegas”. Tylko u nas zamiast Vegas było schronisko na Hali Szrenickiej. – Niech mnie kule biją, Becia! Kopę lat! – Rzuciłyśmy się sobie w ramiona, śmiejąc się w niebogłosy.

– A co ty tu w ogóle robisz? Aleś się zmieniła!

– Kobieta jest jak wino! Gadają, że im starsza, tym lepsza. Zresztą ja jak ja, ale ty? Wyglądasz obłądnie, tylko prędzej ducha spodziewałabym się tu spotkać niż ciebie. A co z Australią? Wróciliście z Michałem z wojaży? – Beata rozgościła się na fotelu po drugiej stronie biurka i naląła sobie wody do szklanki.

Z tego wszystkiego nawet nie pomyślałam, by jej zaproponować coś do picia.

– Z kim? – zdziwiłam się po chwili, gdy dotarło do mnie, że pyta o Michała, mojego pierwszego męża.

– No z Michałem. Chyba nie pomyliłam imion? Wysoki, szczupły, orzechowe oczy. Chociaż po tylu latach to może nie wygląda już tak okazale. Wygląda?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Zaśmiałam się.

Kurde, od lat go nie widziałam. Nie mieliśmy dzieci, więc po rozwodzie każde poszło w swoją stronę. Na dobrą sprawę mógłby nie żyć, a ja nawet bym o tym nie wiedziała. Tfu, tfu, co ja bredzę.

– Nie masz obrączki, rozwiedliście się? – dopytywała Beata.

– I to ponad dwadzieścia lat temu. – Zarechotałam. – Od tamtego czasu zdążyłam ponownie wyjść za mąż, urodzić syna, przyłapać męża na zdradzie i opuścić łapserdaka. Ty wiesz, że on tutaj dziś dzwonił? – powiedziałam oburzona.

– Kto? Twój mąż? Wiesz, zawsze byłaś niezłą laską, nie dziw, że zorientował się, co stracił, i błaga o litość! – Beata puściła do mnie oko.

– Ale właśnie o to chodzi, że wcale nie. On tu dzwonił jako klient. Nawet nie wiedział, że tu pracuję. Bo pracuję od tygodnia, to tak na marginesie. Po ukończeniu studiów tak się zaangażowałam w studiowanie życia i macierzyństwa, że zeszyły mi w domu dwie dekady. Kiedy zostałam zmuszona do opuszczenia męża i domu, czułam się jak stary, zakurzony rupieć. Zupełnie nie mogłam się odnaleźć. Dobrze, że los zesłał mi tę pracę w tym oto przybytku! – podsumowałam z satysfakcją. – Ale dajmy spokój mnie! Opowiadaj, co cię do nas sprowadza?

– No widzisz, kochana, u mnie też wiele zmian. Kiedyś byłam duszą towarzystwa, a potem zaczęły się studia, najlepszy czas w życiu, chyba że studiujesz medycynę jak ja, no i jak przysiadłam na dupie nad książkami, rysunkami i tabelami, tak mi zeszło do dwudziestych szóstych urodzin. Potem zaczęłam pracę na izbie przyjęć i zakochałam się jak głupia w jednym pacjencie...

– Beata rozsiadła się rozmarzona.

– Tylko mi nie mów, że nie przeżył. – Przełknęłam ślinę z przerażeniem.

– Kto? Gutek? – parsknęła moja koleżanka. – Przeżył i atak wyrostka robaczkowego, i moment, gdy przyłapałam go z aplikantką z jego biura adwokackiego. Chociaż uzębienia naturalnego już kompletnego nie ma. – Zachichotała.

- Coś ty? Wybiłaś mu?
- Nie ja, tylko ta jego cizia. Nie powiedział jej w ogóle, że ma żonę. Wyobrażasz sobie? Tak dostał z pantofla, że go jeszcze na izbę przyjęć odwoziłam.
- No weź, serio? – westchnęłam z lekkim zawodem.
- Ale tylko dlatego, by skorzystać z usług innego szpitala. Przecież jestem teraz ordynatorem chirurgii. Od razu by po nazwisku poznali, gdyby sam się zgłosił
- wytłumaczyła Beata.
- No i powiedz mi, co z tymi facetami jest nie tak? Jakiś, kurde, kryzys wieku średniego czy co? – Pokiwałam głową z niezadowoleniem. – Mają u nas jak u Pana Boga za piecem, to im się przygód na boku zachciewa. Niebываłe!
- Wiesz... U mnie to może niezupełnie o to chodziło. Przegapiłam swój czas na dzieci, a potem coś się zablokowało i koniec – przyznała z żalem.
- Nie wygłupiaj się, Becia. Przecież młoda laska jeszcze jesteś. Teraz wiele kobiet rodzi pierwsze dziecko dopiero po czterdziestce. Taka Kożuchowska, Skrzynecka, Maciąg. Jakiś czas temu była nawet afera z sześćdziesięcioletnią aktorką w ciąży bliźniaczej – próbowałam ją pocieszać.
- Wszystko pięknie, ładnie, tylko mi jest już tak w życiu wygodnie. Nie wyobrażam sobie pieluch, kupek, płaczy i przede wszystkim rezygnacji z pracy. Gutek niby nie naciskał, najpierw cierpliwie czekał, potem w ogóle nie wracał do tematu. A jednak coś chyba było na rzeczy.
- Bo dla facetów to taka prosta sprawa. Zrobi swoje, a potem tylko okazjonalnie pozuje do zdjęć rodzinnych i odbiera laurkę idealnego taty w przedszkolu. Równouprawnienie równouprawnieniem, ale to kobieta najpierw oddaje swoje ciało, potem swój czas, karierę, całą siebie. Nie mówię, że to złe, bo ja swojego macierzyństwa nie żałuję. A moją Magdę byś zobaczyła! Troje dzieci. I ona cała promienista niczym anioł. Zapocona, zmachana, rozczochrana, ale szczęśliwa. Tylko czy każdy musi być taki sam? Nie masz co sobie wyrzucać.
- Się grobowo zrobiło, a ja tu wpadłam się rozerwać. – Beata wysiliła się na uśmiech.
- Zaraz sprawdzę, czy mamy jakieś granaty – podłapałam żart. – Czego sobie pani życzy?
- Świętego spokoju – westchnęła Beata.
- Kochana, to po co ci facet? Kota sobie kup! Taniej będzie. Bąki puszcza tak samo, ale ciszej miauczy i nie rozrzuca skarpetek po domu. Serio, po co ci facet? Brakuje ci seksu? Chodźmy na miasto i poderwijmy kogoś na jeden wieczór. Czy trzeba od razu się wiązać? Daj sobie luz, daj sobie czas. Sztywna i przepisowa to jesteś dwanaście godzin w pracy, a poza nią nikomu nic do tego. Możesz być kim chcesz! – waliłam maksymy niczym jakiś pieprzony trener personalny.
- Czy ty aby nie jesteś tutaj w zupełnie innym celu? Nie powinnaś mnie namawiać do szukania partnera? – zreflektowała się Beata.

– Kochana, my szukamy partnerów tym już zdecydowanym. A tobie zdecydowanie odradzam. Gdzieś musi być granica i etyka zawodowa – zaczęłam się mądrzyć. – Popatrz, ja jestem w podobnej sytuacji. Chociaż mam Kubę, syna, ale to mój wybór, tak jak twoim jest, by dziecka nie mieć. Ale mąż doprawił mi rogi, zacznym życie od nowa. I uwierz mi, daleka jestem od szukania zastępstwa.

– To co? Mam być teraz sama? – zapytała rozżalona Beata.

– Sama, ale nie samotna! Wyjdź do ludzi, do pubu, do kina, zapisz się na jakieś kółko zainteresowań, odśwież stare znajomości – deklamowałam. – O, mam świetny pomysł. Chodźmy gdzieś. Jesteś moją ostatnią klientką dziś. Zamykam i idziemy w miasto. Wino, kino, karaoke, spa, cokolwiek chcesz! Co ty na to? Bo ja nie marzę o niczym innym – zachęcałam.

Kurde, ta terapia zaczyna działać zbawiennie i na mnie. Lekarzu – lecz się sam.

– A dziecko?

– Dziecko ma już prawie szesnaście lat i sobie poradzi. Zaraz napiszę mu esemesa, że wrócę później. Zapewniam cię, że nie będzie płakał.

Beata rozpogodziła się i przytaknęła radośnie. Wyjęłam więc telefon i wystukałam kilka słów do Kuby. Odczekałam chwilę, odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Gdyby on tak szybko odpowiadał na wiadomości jak idzie gdzieś z tymi swoimi kolegami i przepada na pół nocy...

„Baw się dobrze. Czy może u mnie spać kumpel, a jutro pójdziemy do szkoły?”

Chyba chaty nam nie rozniosą? Gorzej już tam chyba i tak być nie może.

„OK”.

Ja mam dzień dziecka, ty masz dzień dziecka.

– Załatwione! – Przyklasnęłam, odkładając telefon na bok.

– Już? – zdziwiła się Beata.

– Yhym – przytaknęłam. – Może zadzwonię jeszcze z miasta i sprawdzę, czy nie demolują mi mieszkania.

– Myślisz, że zrobi imprezę? Tęskno mi do tych naszych młodzińskich czasów. – Beata ponownie się rozmarzyła.

– Ja tam się cieszę, że to już za nami, i czasami nawet współczuję Kubie. Kiedyś była gra w butelkę, podkradanie tacie fajek, wiejskie dyskoteki i niewinne całusy po kątach. Wszystko takie niby pseudodorosłe, a jednak z jakimś pomysłuńkiem, ogłada. Teraz młodzież jest tak natarczywie atakowana przez życie, że wcale nie jest im łatwo. I to nie to, że jestem matką trzęsącą się nad dzieckiem. Ale te komórki, te facebooki, hejty, przymus społeczny noszenia markowych ciuchów, inaczej jesteś wykluczony. Jak się Marek zsiął w autobusie w drodze z rajdu to tydzień się śmialiśmy i rozeszło się po kościach, a teraz pewnie by miał milion odsłon na youtube – powiedziałam ostro nakręcona.

Ilekoć obserwuję życie dzisiejszej młodzieży – a można by rzec, że mam z tym do czynienia częściej niż Beata – trafia mnie szlag. Oni nie mają prawa się uczyć, dojrzewać swoim tempem, popełniać błędów. Nie mogą mieć mało pospolitych pasji czy wysublimowanego gustu. Jest moda, jest trend, jest fala. Wpisujesz się albo odpadasz. Jesteś sam. Sam – samotny.

– Na czym? – Beata skrzywiła się. – Zresztą nieważne. Zaproponowałabym żebyśmy już poszły, ale kompletnie nie mam pojęcia gdzie. – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Tutaj niedaleko jest McDonald – zaczęłam niewinnie.

– McDonald? Serio? – parsknęła Beata.

– No! Pójdziemy, zaczepimy tam jakichś łebasów i zapytamy o najbliższy klub. No chyba nie myślałaś, że chcę szaleć w Macu? – Wybuchnęłam śmiechem.

– Albo wiesz co? Mam pomysł: zapytam Kubę.

Wyjęłam telefon z torebki, do której wepchnęłam go chwilę wcześniej, i znów wybrałam numer.

– Kontrola rodzicielska. Chuchnij – przywitał mnie mój syn.

– Bardzo śmieszne.

– Wszystko okej, nic się nie dzieje. Mamy jedzenie, muzyka leci nie za głośno, pójdziemy spać przed północą. Na razie – wywalił z siebie na jednym wdechu.

– Hola, hola. Co już odkładasz? Co tam knujesz? – skarciłam go.

– Bo jakby nam przeszkadzasz – wycedził Kuba.

– Dobra, jedno pytanie i już się rozłączam – westchnęłam.

– 999 – odpowiedział Kuba.

– Co?

– Na pogotowie 999, na straż 998, na policję 997, coś jeszcze? – zapytał zniecierpliwiony Kuba.

– Zaczynam się zastanawiać, co wy tam robicie. – Popatrzyłam na Beatę, która wskazała mi ręką na zegarek.

Wieczór nam ucieka, a ja się rozwlekam.

– Zapewniam cię, że jest bezpiecznie – powiedział konspiracyjnie mój syn.

– Okeeej. – Zamyśliłam się. – Słuchaj, a gdzie teraz chodzą się rozerwać takie wapniaki jak ja? – walnęłam z grubej rury.

W końcu zależało nam obojgu na czasie.

– Na poligon – rzucił Kuba.

– Synu! Przywołuję cię do porządku. Ty sobie z matki żartów nie rób, bo ci ukróczę te twoje dorosłe przyzwolenia! – krzyknęłam, przewracając oczami.

– Ale mamoo! Poligon to nazwa knajpy trzydzieści plus – jęknął Kuba.

– Co?

– No przecież mówię. Miejsce schadzek i dancingów dla dojrzałych kobiet

i podstarzałych Piotrusiów Panów nazywa się Poligon – wyartykułował Kuba.

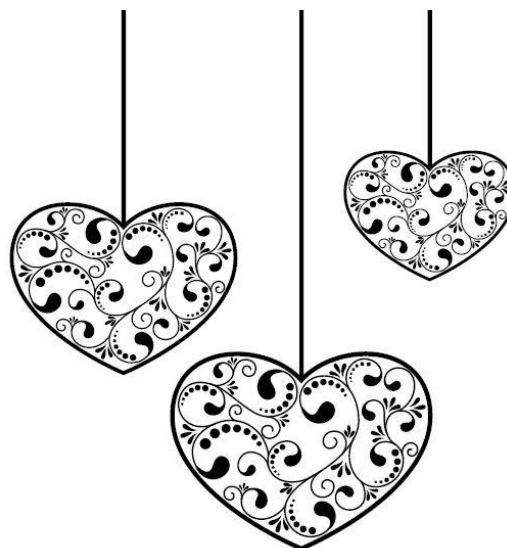
– Aha. A skąd ty znasz takie miejsca? – zreflektowałam się po chwili.

– Na razie, mamó. Baw się dobrze. I pozdrów swojego towarzysza. – Kuba się roześmiał.

– Towarzyszkę Beatę pozdrawiam i zabieram na poligon. Odmeldowuję się!
– parsknęłam do telefonu.

– Ale mi wiochę robisz – westchnął Kuba, nim się rozłączył.

– To co? Łapiemy taksówkę i jedziemy do Poligonu! – zaanonsowałam Beacie, która aż rozpromieniła się na tę propozycję.



Gdybym wczoraj wieczorem nie pakowała się w takim pośpiechu i w porę odczytała jeszcze wiadomość od Kuby, pewnie uniknęłabym katastrofy. Chociaż Beata miałaby zapewne zupełnie inne spojrzenie na całą historię.

Zaraz po rozmowie z Kubą wyleciałyśmy z biura niczym z procy i ruszyłyśmy na podbój świata. Wróciły wspomnienia młodzieńczych szaleństw, tęsknoty za wirowaniem w tańcu, bąbelkami szumiącymi w uszach i obmacywaniu się w kącie z królem dyskoteki. Aż dziw, że byłyśmy tak podjarane, skoro jechałyśmy całkiem na trzeźwo.

Od progu wstydu nie było. Kuba spisał się na medal, chociaż wciąż zastanawiałam się, skąd znał miejsce takie jak to. Miałam co prawda zadzwonić do niego jeszcze z miasta i być może to wyjaśniłoby całą sytuację i uratowało nasz wieczór, ale jakoś porwała mnie ta impreza i ostatecznie postanowiłam mu zaufać.

Lokal był dość przyjemny. Może nie tak ekskluzywny, jak to opisał Kuba, ale całkiem przyzwoity. Duża, przestronna sala ze stolikami dookoła i parkietem pośrodku. Ogólnie wystrój minimalistyczny, ale akurat to lubię. Nie ma nic gorszego jak lampki świąteczne we wrześnieu.

Od razu pojawił się zgrzyt, bo okazało się, że nie serwują wina. Piwo, wódka albo jakieś kolorowe drinki z palemką, które mnie nie przekonywały, chociaż Beata nie mogła się od nich oderwać. Zamówiłam sobie piwo, potem drugie. I kiedy sala

zapełniła się niemal po brzegi ludźmi powyżej trzydziestki, kiedy na parkiet zaczęły wychodzić pierwsze pary, a my z Beatą zezowałyśmy na dwóch facetów po drugiej stronie, mnie zaczęło gonić do toalety. I właśnie dlatego nie lubię piwa. Gorzkie i często się po nim sika. Nic jednak nie poradzę, że było tam gorąco i miałam ochotę po prostu się ubzdryngolić. Kiedy stałam w kolejce do – jak się okazało – jedynej damskiej toalety, Beata wskoczyła jak oparzona i zaczęła namiętnie pudrować nos, opowiadając o jakimś facecie, który najwyraźniej chciał ją poderwać. Była taka podjarana i pobudzona od tych drinków, że świergoliła jak opętana. A może kobieta, która przez lata jest wierna swojemu mężowi tak bardzo, że nawet głowy na sąsiada nie podnosi, gdy ten mówi jej dzień dobry, po prostu tak świętuje wolność? Może faktycznie Beata potrzebowała faceta. W niczym nie przypominała naszych zahukanych, zakompleksionych klientów. Potrzebowała tylko, by ktoś ją lekko zmotywował. I tym kimś byłam ja. I jak ją zachęciłam, to mi potem bokami wyszło.

Po upudrowaniu nosa i umalowaniu ust pożyczoną ode mnie szminką Beata zniknęła na sali, z góry mnie przeprasząc, że jeśli się nie znajdziemy w tym tłumie, to zadzwoni jutro. I masz, babo, wypad z koleżanką na łowy. Ledwo namierzy cel i już cię porzuca. Doczekałam się w końcu swojej kolejki, załatwiłam potrzebę i wyszłam, rozglądając się – nie wiem, czy bardziej za Beatą, czy za jakimś facetem. W sumie co mi po Beacie. Popłasałam trochę po parkiecie, pocierałam się o obcych facetów i znów zaczęło mnie ciągnąć do toalety. Zapobiegawczo nie wypiałam już więcej, ale te dwa wcześniejsze piwa najwyraźniej wystarczyły. Wizja kolejnej godziny spędzonej w kolejne do ciasnego i obskurnego kibla nie bardzo mnie radowała. Zabawa też przestała mi się podobać – miałam wrażenie, że każdy przyszedł z kimś.

Właściwie to i ja przyszedłam z kimś. Z kimś, kto mnie wystawił, bo nie miałam penisa. Najwyraźniej te kilka tajemnic ze szkolnego rajdu nic dla Beaty nie znaczyło. Podjęłam szybką decyzję o ewakuacji z Poligonu. Czekaając na zamówioną taksówkę postanowiłam schować się w krzakach i ulżyć mojemu przepelnionemu pęcherzowi. Krzaki były – ku mojemu zdziwieniu – zajęte. Zaszłam od drugiej strony i przykucając, zobaczyłam kawałek żakietu Beaty. Wychyliłam się i ujrzałam ją obściskującą się z jakimś facetem. Załatwiłam się i chciałam się powoli wycofać, by im nie przeszkadzać, ale potknęłam się o jakąś gałąź i runęłam na ziemię z hukiem.

– Moje plecy! Morwa kać! – zakląłam.

Z Andrzejem swego czasu przeinaczaliśmy tak wulgaryzmy, by Kuba nie powtarzał później brzydkich słów.

– Wanda? – Usłyszałam zdziwiony męski głos.

– Nooo... – jęknęłam z bólu, próbując podnieść się z błota.

Tutaj chyba padało trochę bardziej niż w centrum. Ktoś podał mi dłoń.

Chwyciłam i wstałam.

– Andrzej?! – Stałam jak wryta.

– To wy się znacie? – Usłyszałam za plecami głos Beaty. Wychyliłam się i zobaczyłam, jak zapina bluzkę. O nie! Ona z nim?

– Jasna cholera! – ryknęłam wściekle. – To z nim się gziłaś w tych krzakach?

– Wpadłam w furję. – Nie wierzę, to się nie dzieje naprawdę! – wyłam zajadle.

– A co? – Beata nastroszyła się jak kogut.

– To mój były mąż, Andrzej! – warknęłam i odeszłam.

– Wanda, zaczekaj! – zawołała za mną Beata. – No czekaj, skąd miałam wiedzieć? Zresztą chyba były, co?

Nie słuchałam już niczego i nikogo, tylko szłam przed siebie, a gdy zobaczyłam nadjeżdżającą taksówkę, wyszłam na środek ulicy, jak w tych amerykańskich filmach. Wtedy zaczął padać deszcz.

Jeszcze w taksówce wyciągnęłam telefon, by go wyciszyć na wypadek, gdyby Andrzej lub Beata wpadli na pomysł, by do mnie zadzwonić. I wtedy zobaczyłam wiadomość od Kuby: „Znam ten lokal, bo ojciec opowiadał często, że tam chodzi”. Alleluja, wszystko jasne, tylko szkoda, że trochę poniewczasie...

Siedzę jak ta nędzna miernota na kanapie. Nawet nie chce mi się włączać telewizora, mało spałam. Nie snuję się za dużo po domu, bo Kuba i jego kumpel jeszcze śpią. Liczę na ich honorowość i uczciwe wstanie do szkoły na czas. A jak nie – kubel zimnej wody na głowę. Uczę się od najlepszych.

Czy jestem psem ogrodnika, że wściekłam się na Beatę i Andrzeja? Co jest ze mną nie tak? Przecież ja go tak naprawdę nie kocham. W całym tym galimatiasie nie ma ani krzty uczucia. Zdradził mnie, tak. Zranił, wkurzył, poniżył, zdeptał. Martwiłam się, jak sobie poradzimy z Kubą. Gdzie zamieszkamy, za co będziemy żyć. Ale ani przez chwilę nie tęskniłam za Andrzejem. I to nie unoszenie się honorem i zaciskanie zębów w bólu. Ja po prostu zwyczajnie za nim nie tęskniłam.

Tęsknię za bliskością, za wsparciem, za miłością. Kurde, za seksem też tęsknię, ale czy z Andrzejem? Cała ta sytuacja uświadomiła mi, że ja naprawdę nie byłam taka zła. Potrafiłam się zorganizować, być zaradną, stanąć na nogi. A on przez tyle lat wmawiał mi, że siedzę w domu dla mojego własnego dobra, że chroni mnie przed tym groźnym światem. Byłam mu taka wdzięczna za to wszystko. A teraz widzę, jak wiele straciłam przez te dwadzieścia lat. Boże, dwadzieścia bezpowrotnie straconych lat! Czy rzucę się z rozpaczony na pierwszego lepszego faceta? Nie! Ale zawalczę o siebie jak nigdy dotąd. Całe dotychczasowe życie dbałam o zaspokajanie potrzeb bliskich, którzy wmawiali mi, że moje szczęście zależy właśnie od tego. Kiedy będę się czuć potrzebna, będę spełniona. No i dobrze! Ale teraz wszystko się zmieniło i chcę żyć własnym życiem. Wczuć się w siebie, zidentyfikować swoje potrzeby i działać. Niczym moi klienci, którzy co

prawda powierzają swój los w nasze ręce, ale wszystko ma początek w ich głowach. To oni czują pustkę i oni decydują się działać. A że przy pomocy innych osób? Cóż... Jak mi się w głowie rodzi myśl o zmianie fryzury, też idę do specjalisty.

I tak po podłym nastroju zostały w mojej głowie tylko zgliszcza i popiół. Może Andrzej zamknie Beatę w domu i sama wtedy będzie sobie winna? Muszę się ogarnąć i lecieć do pracy. Wezmę prysznic, zrobię makijaż, włożę eleganckę kieckę i ruszam. W końcu mam nowy dzień, nie?

Już chciałam podnieść się z kanapy, gdy mój telefon zawibrował. Jakiś nieznany numer dobijał się do mnie już po raz trzeci tego poranka. Kogo to ciśnie, by mnie niepokoić o tak nieprzyzwoitej porze? Przyłożyłam słuchawkę do ucha, kątem oka rejestrując przebiegającą przez korytarz postać. Kuba? Jego kumpel?

– Słucham.

– Czy pani Wanda Guzik? – zapytał uprzejmy męski głos.

A faceci twierdzą, że nie lubią rozmawiać przez telefon. Do mnie wciąż dzwonią sami faceci. Oprócz Magdy, oczywiście.

– Tak. Z kim mam przyjemność? – zapytałam.

Te uprzejmości z pracy zaczynają mi wchodzić w krew. Może to też jakaś fajna zmiana, która zaowocuje w przyszłości.

– Z tej strony Tomasz Welt, adwokat – zaczął mężczyzna.

– Cooo? – wrzasnęłam zaskoczona. – Chce mi pan powiedzieć, że mój mąż Andrzej i ta wywłoka już najęli adwokata? A czegoż oni ode mnie jeszcze chcą? Błogosławieństwa? Proszę im powiedzieć, że nie mam im nic do zaoferowania! I jeśli sprzedali panu bajkę, że ich zaatakowałam, to kłamstwo! Nie trzeba było się gzić w miejscu, gdzie poczciwi ludzie załatwiają swoje potrzeby! Myślałam, że to dzik w tych krzakach, jak słowo daję!

– Halo? – krzyknął mężczyzna i upewniwszy się, że już posłusznie słucham, odchrząknął i znów zaczął łagodnie: – Nie dzwonię w imieniu żadnego Andrzeja ani żadnej Beaty – wyjaśnił.

– To o co panu chodzi? – zdziwiłam się. – Chce mi pan sprzedać jakieś ubezpieczenie?

– Jestem adwokatem, nie akwizytorem. I prędeż proponowałbym jakieś zioła na uspokojenie. Ewentualnie ubezpieczenie dla pani najbliższych, bo jeśli z każdym pani tak rozmawia od samego rana, to założę się, że mają spore ubytki na zdrowiu – stwierdził cierpko.

– Pan jest chamem! Imbecylem! – rzuciłam i rozłączyłam się.

No co za kretyn!

Położyłam telefon na kanapie obok siebie i nasłuchiwałam, czy Kuba i jego kolega już na pewno wstali. Niby byłam u siebie, a jednak gdy po domu panoszył się ktoś obcy, to czułam się mało swobodnie. W dawnym domu nawet nie

zauważałam, gdy ktoś u nas był. Ale tam było pięć razy tyle przestrzeni. Telefon znów zaczął wibrować. Spojrzałam, znów ten sam numer. Nie dość, że kretyn, to jeszcze natręt.

– Jeszcze nie jestem gotowa z panem rozmawiać! – warknęłam.

Nie wiem nawet, po co odbierałam, trzeba było odrzucić, ale ciekawość była silniejsza.

– Bardzo mi przykro, że nie jest pani gotowa, ale musimy się spotkać, i to jak najszybciej. Najlepiej zaraz – powiedział już spokojnie.

– Nie znam pana, panie...

– Tomasz Welt, adwokat.

– Nie znam pana, panie Tomaszu Welt, adwokacie, i nie mam pojęcia, w jakim celu mielibyśmy się spotkać – powiedziałam stanowczo.

– Reprezentuję panią Sabinę Porąbek – wyjaśnił.

Nie, no chyba Andrzej i Beata nie posunęli się do tego, by podać biuro do sądu za nieprofesjonalną obsługę. Minęło zaledwie kilka godzin, to fizycznie niemożliwe.

– Ale ja nie mogę się z panem teraz spotkać, bo spieszę się do pracy – próbowałam się wymigać.

– Pani szefowa nie będzie miała nic przeciwko, jeśli się pani spóźni, to już załatwione. Czekam na panią w swoim biurze, w budynku Starostwa Powiatowego na Placu Słowiańskim. Pierwsze piętro, pokój sto dwa – poinformował.

– Dobra, biorę wszystko na klatę – jęknęłam.

– Słucham?

– Będę za czterdzieści pięć minut. Do widzenia.

Coś mi się wydaje, że nie dość, że zostanę zwolniona dyscyplinarnie, to jeszcze otrzymam zakaz wykonywania zawodu. O ile takowy można otrzymać w przypadku bycia swatką. Ta Sabina to mi wyglądała jednak na rozsądną osobę. Jak mogła podjąć działania, nie wysłuchawszy drugiej strony?! Bardzo się na niej zawiodłam.

Jestem sinusoidą. Mój *power* znów wylądował gdzieś w depresji, poniżej poziomu morza.

– Kuba, pożycz jakiś ręcznik. – Usłyszałam piskliwy głos dobiegający z łazienki.

Dziewczyna czy chłopak przed mutacją? O matko, a może jakiś zniewieściały?! Przełknęłam ciężko ślinę. Jest dopiero wpół do dziewiątej, a już tyle się dziś wydarzyło.

– Łap, Doti – krzyknął Kuba, wrzucając przez szparę w drzwiach czerwony ręcznik w kwiaty.

– No weź, nie podglądaj mnie! – Zniewieściała istota zachichotała.

Siedziałam jak zaczarowana. Zapomniałam przez chwilę, że miałam

szkować się na spotkanie z tym adwokatem. Chociaż łazienka była w sumie zajęta. Po chwili drzwi się otwarły i wyszła z nich szczuplutka, uroczą blondynka z długimi lśniącościami włosami i nogami wyrastającymi chyba z szyi.

– Dzień dobry. Zrobić pani śniadanie? – zaproponowała słodko.

Dobrze, że siedziałam, bo bym się chyba wywróciła. Co to ma być, do jasnej cholery?!

– Niece... – jęknęłam tylko.

– Zrobiliśmy z Kubusiem wczoraj sałatkę, jakby pani miała ochotę. Może na lunch do pracy? – ciągnęła dalej dziewczyna, a ja robiłam coraz to większe oczy.

– No i coś się tak rozdziawiła?! – Kuba wybuchnął śmiechem. Znów stał w samych bokserkach z odznaczającą się wypukłością w kroku. Na litość boską, co z tą młodzieżą? Zero krępacji?

– A to? – wskazał na dół. – Masz przynajmniej dowód, że wczoraj do niczego nie doszło. Inaczej jeszcze by odpoczywał. – Wzruszył ramionami i zarzucił na siebie szlafrok, nim dziewczyna zdążyła go zdemaskować.

Chowa go, bo ona go jeszcze nie widziała i mogłaby mieć obiekcje, czy o co tu chodzi, do cholery? Blondynka wyciągnęła kosmetyczkę z torebki i znów zamknęła się w łazience.

– Co to ma być? – warknęłam.

– Spokojnie, zaraz wyjdzie. Mówiłem jej, że spieszysz się do pracy.

– Nie to! Co ona tu robi? – zażądałam wyjaśnień.

No w kulki sobie leci, czy co?

– Przecież pytałem, czy może tu nocować – zdziwił się Kuba. – Zgodziłaś się i chyba jeszcze byłaś trzeźwa, chociaż teraz zaczynam mieć wątpliwości, ale to już nie moja wina, jeśli zgodziłaś się na coś pod wpływem.

– Pytałeś, pytałeś. O kolegę, nie o dziewczynę! – wrzasnęłam. – Byłam jak najbardziej trzeźwa, przytomna i w pełni władz umysłowych!

Usłyszeliśmy kaszel z łazienki. Daje nam znać, że słyszy. Świetnie. Co to za nowomodne wychowanie. Spojrzałam na Kubę i pociągnęłam go za ucho w najodleglejszy zakątek mieszkania, czyli za lodówkę.

– Przecież to dziewczyna, i w dodatku jej nie znam. Co na to jej rodzice? Powiedziała im, że jedzie do koleżanki? – zapytałam poirytowana.

Nie wiedziałam, co bardziej mnie wkurzało. Fakt, że obca nastolatka panoszyła się po moim mieszkaniu i proponowała mi zrobioną w mojej kuchni sałatkę, czy to, że teoretycznie mogłabym już zostać babcią?

– Napisałem jak byk: „Czy może u mnie spać kumpela jutro pójdziemy do szkoły” – powiedział konspiracyjnie Kuba i na dowód podstawiał swój telefon pod mój nos.

– Co? – wrzasnęłam zaskoczona.

Poleciałam do pokoju i złapałam swoją komórkę. Mam mniejszy

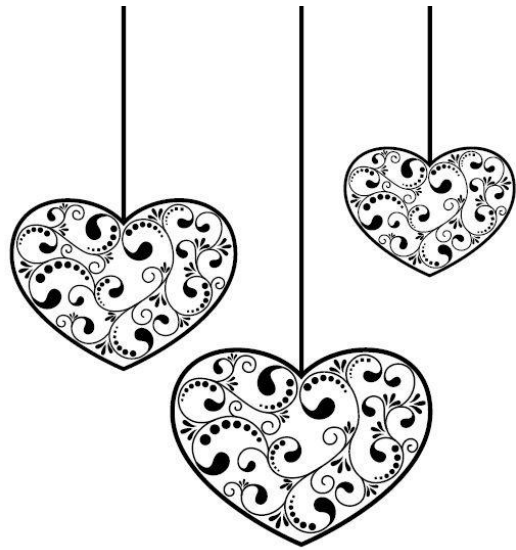
wyświetlaczy czy jak? U mnie słowa tak się rozwlekły, że „a” ze słowa „kumpela” przeskoczyło do następnej linijki i wyszło: „Czy może u mnie nocować kumpel a jutro pójdziemy do szkoły”. Już dawno mówiłam Andrzejowi, że ten telefon to zabytek. I masz babo placek. Nieświadomie dałam przyzwolenie na prokreację nieletnich pod swoim dachem.

– Daj słowo, że do niczego nie doszło! – Złapałam Kubę za szyję, gotowa go udusić.

– Łazienka już wolna. – Usłyszałam za plecami głos Doti.

– Pogadamy wieczorem – westchnęłam i podreptałam do łazienki, po drodze taksując wzrokiem niewinne dziewczę.

No to wstyd, że matka nie wie, z kim, zadaje się jej własny syn. Kiedyś to było nie do pomyślenia.



– Ale jak to umarła?! – Godzinę później moja furia przybrała postać czarnej rozpacz.

Normalnie zaczęłabym się obawiać, że dopada mnie menopauza, ale nie w taki dzień. To jakiś istny koszmar. Najpierw nie dopełniłam obowiązków wychowawczych, a teraz właśnie dowiedziałam się, że mój pracodawca umarł.

– Proszę pani, proszę się uspokoić. Płacz i histeria tu nic nie pomogą. – Adwokat od kwadransa bezskutecznie próbował mnie uspokoić.

– Jak może być pan tak nieczuły? – Spojrzałam na niego z odrazą. – Mówi pan do mnie takim tonem, jakby informował mnie pan, że skończył się cukier w cukiernicy i muszę wypić gorzką herbatę.

– Cóż... Nie znałam pani Porąbek za długo. Przyszła do mnie, bo spodziewała się najgorszego i chciała uregulować sprawy. Co ja mam pani powiedzieć? Przykro mi – tłumaczył się.

– Przecież to był tylko katar! – Rozbeczałam się na nowo. – Na katar się nie umiera.

– Wyjaśnijmy sobie coś. – Tomasz Welt podniósł się z kolan, na których klęczał przede mną, podając mi wciąż nowe chusteczki, wyprostował się i usiadł przy biurku. Otworzył jakieś akta i zaczął stukać w nie długopisem. – Nie jestem lekarzem, ale jakaś tajemnica mnie obowiązuje. Powiedzmy, że pani Porąbek miała

kłopoty zdrowotne od dłuższego czasu. Nie chcę się czepiać, ale najmłodsza już też nie była. W tej kwestii nic więcej nie musi pani wiedzieć.

– Była taka uśmiechnięta i radosna – zignorowałam go.

Było mi naprawdę bardzo przykro i to nie dlatego, że właśnie straciłam pracę. Przecież to był żywy człowiek! I w dodatku nie było jaki. Co ci biedni klienci teraz zrobią?

– To chyba dobrze, że mimo wszystko się nie załamala. – Tomasz Welt powoli miękł.

– Nawet nie zdążyliśmy się dobrze poznać. Nie opowiedziała mi jeszcze tych wszystkich magicznych historii o odnalezionej miłości, nie przekazała tajników pracy – klepałam żałośnie.

– Jeżeli już zahacza pani tematem o pracę, to może przejdźmy do meritum naszego spotkania – zaryzykował adwokat.

Rzuciłam mu niechętnie spojrzenie. Faceci naprawdę mają coś z głową. Człowiek umarł, a oni jakby przełączali odbiornik na inny kanał. Życie płynie dalej – a gdzie zaduma, refleksja, pożałowanie?

– Myślałam, że miał mi pan tylko przekazać informację o śmierci Sabinki. Jest coś jeszcze? – zdziwiłam się.

– Jak już wspomniałem, pani Porąbek przewidywała, że może nie wyjść z kłopotów zdrowotnych obronną ręką, że tak to ujmę, i przysłała do mnie, by zabezpieczyć swoje sprawy – chrząknął Welt.

– Ale co ja mam w tym wspólnego? Przecież ledwo ją znałam – powiedziałam zaskoczona.

– Najwyraźniej zdążyła pani wzbudzić w Sabinie zaufanie i sympatię przez ten krótki czas. No i nie ukrywam, że pani Porąbek nie miała nikogo oprócz pani.

– Nadal nie rozumiem – westchnęłam. – Ma pan wodę? Albo coś mocniejszego?

– Koniaczek? – zaproponował.

Akurat nie lubię, ale nie grymasiłam. Przytaknęłam. Na trzeźwo tego nie ogarnę. Tomasz Welt podszedł do barku, wyjął kieliszek i butelkę i – jakby czytając w moich myślach – postawił jedno i drugie na wyciągnięcie mojej ręki. Nalałam sobie od serca po same brzegi i wychyliłam do dna. Sapnęłam, bo paliło niemiłosiernie. Tak się chyba zaczyna choroba alkoholowa. Gdy człowiek sam sobie zaczyna polewać. Przedwczoraj wino, wczoraj piwo, dziś koniak. Życie do poprawki.

– Możemy? – zapytał niecierpliwie.

Przytaknęłam, czekając jak na ścięcie.

– A więc poproszę o pani dowód osobisty dla dopełnienia formalności.

– Ale po co? – zdziwiłam się.

– Musimy przepisać na panią „Kupidyna w spódnicy” – odpowiedział, jakby

było to dla mnie oczywiste. – Oczywiście to wszystko póki co bardzo wstępnie, ale taka była wola pani Sabiny Porąbek i musimy to zrobić – dodał.

– Słucham? – Wybałuszyłam oczy, po czym wychyliłam duszkiem kolejny kieliszek.

Tomasz Welt, mimo moich protestów, odsunął butelkę i podstawił mi pod nos akt własności biura matrymonialnego.

– Ostatnią wolą pani Porąbek było, aby stworzone przez nią biuro działało dalej. Trochę mi ułatwiła sprawę, bo po jej śmierci miałem osobiście zająć się poszukiwaniem zastępstwa. Pani Sabina przez wszystkie lata pracowała sama. Najwyraźniej jednak dokładnie czuła, że to jej ostatnie chwile, skoro zdecydowała się zatrudnić panią – odetchnął z ulgą.

– Ale jak to?

– Po prostu. – Uśmiechnął się. – Formalności muszą trochę potrwać, ale ostatecznie będzie pani właścicielką „Kupidyna w spódnicy”. Lokal jest wynajmowany, więc będzie pani wciąż płacić za wynajem, ale dostaje pani całe wyposażenie. Komputery, wyposażenie i, rzecz jasna, klientów i ich sprawy – wyjaśnił. – Wystarczy złożyć podpis tu i tu. – Wskazał długopisem puste rubryki na dokumencie.

– Ale ja nie mogę! Nie jestem gotowa! – zaprotestowałam.

– Da sobie pani świetnie radę – naciskał adwokat, widząc moje rozterki.

– Nie, nie podpiszę tego. – Wstałam i podeszłam do drzwi. – Muszę to przemyśleć, przepraszam. – Wyszłam z biura adwokata, pokonałam schody w kilku susach i wybiegłam w pośpiechu z budynku. Oparłam się o mur i zaczęłam płakać.

I co ja mam teraz zrobić? To się nie dzieje naprawdę! Dlaczego ona zrobiła to właśnie mnie? Skoro rzekomo czuła, że już umiera, dlaczego nie postanowiła połączyć się z jakimś innym biurem matrymonialnym? Przecież są jeszcze takie. I pracują tam profesjonaliści. A ja?

Zaczęłam iść przed siebie, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierzam. Gdzie mam się podziać? Do domu nie wrócę, bo jak zastanę tam Kubę z tą dziewczyną, to popełnię jakieś głupstwo. Do Magdy nie pójdę, bo ona ani mnie nie pocieszy, ani nie zrozumie. No i te jej dzieci... Nie, to nie jest godne towarzystwo dla kogoś pogrążonego w żałobie. Została jeszcze opcja rodziców, ale to już ostateczność. Zerknęłam na zegarek, dochodziła jedenasta. Może powinnam pojechać przynajmniej do biura i powiadomić klientów Sabiny o jej śmierci? Na pewno chcieliby wiedzieć, i to nie ze względu na łączące ich interesy. Przecież oni wszyscy się przed nią rozbierali. Ze swoich emocji, tęsknot, dziwactw. Ufali jej, darzyli szacunkiem, lubili. A teraz jej nie ma. Muszę im powiedzieć. Muszę dowiedzieć się, co z pogrzebem. Musimy ją godnie pożegnać. Skoro, jak twierdził adwokat, Sabina Porąbek nie miała nikogo, to oznaczało, że nikt nie odprowadzi jej w ostatniej drodze. Nikt nie zasługiwał na takie odejście. Adwokat mówił coś

o sąsiadce. W gabinecie Sabiny na pewno był do niej numer. Zadzwonię, wszystkiego się dowiem, a potem zorganizuję jej pożegnanie godne mistrzyni. Pełne miłości, jak na Kupidyna przystało. Tak postanowiłam i od razu wstąpiła we mnie jakaś nowa siła.

Pół godziny później byłam już biurze. Po drodze kupiłam kebab, dwie tabliczki czekolady i butelkę wina. Nie wyjdę z biura, póki wszystkiego nie ogarnę, a na trzeźwo wciąż będzie mi ciężko. Butelkę schowałam do szafki, na wypadek gdyby przyszedł jakiś nowy klient. Ten stary by zrozumiał, ale nowy niekoniecznie. Szybko okazało się, że wino będzie musiało poczekać do wieczora, bo Kuba wysłał mi wiadomość, że dziś jest zebranie w szkole. Jeszcze tego mi brakowało! Dobrze, że miałam jakieś jedzenie. Chwilowo nie byłam głodna, ale miało minąć sporo czasu, zanim wrócę do domu, gdzie w lodówce zapewne jest tylko światło i trochę sałatki zrobionej przez potencjalną synową.

Znalezienie numeru do sąsiadki, niejakiej Krystyny Bąk, zajęło mi zaskakująco mało czasu. Może dlatego, że wspomniany numer był zapisany na kartce, która leżała na biurku? Cholera, ona naprawdę czuła, że to koniec. Zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy Sabina Porąbek nie popełniła samobójstwa. To przecież jakieś niedorzeczne, żeby być jednocześnie umierającym – leżeć, ledwo dyszeć i czekać na tunel i światło – a z drugiej strony tak wszystko uporządkować przed swoim odejściem. Szkoda, że wszystko, nie wszystkich. Tylko dlaczego moja szefowa miałaby się zabić? Może jakieś kłopoty zawodowo-finansowe? Niezadowolony klient grożący jej procesem? Ten adwokat też jakoś tak szybko chciał załatwić tę sprawę przeniesienia firmy na mnie. Musiałam się temu przyjrzeć.

Rozmowa z Krystyną Bąk skierowała mnie na właściwe tory. Sąsiadka Sabiny była – jak się okazało – jej wieloletnią przyjaciółką i powierniczką sekretów. Zdradziła mi, że Sabina od dawna borykała się z problemami z sercem, ale była bardzo uparta i stroniła od lekarzy. Już wcześniej miewała ostrzegawcze ataki, ale zawsze bagatelizowała problem. Problemy z sercem, tak? Wspomniałam w myślach jej słowa: „szewc bez butów chodzi”. Leczyła złamane serca, a o swoje nie dbała.

Pogrzeb miał być w poniedziałek w południe. Obiecałam Krystynie, że powiadomię klientów i postaram się, by orszak pogrzebowy był liczny. To jedno mogłam przecież zrobić. Zaproponowałam również, że po pogrzebie możemy spotkać się w biurze na herbatę. Nigdy nie organizowałam prawdziwej stypy, ale miło byłoby jakoś uczcić pamięć zmarłej.

Korzystając z gotowych tekstów w Internecie, zredagowałam wiadomość do klientów:

„Z głębokim żalem zawiadamiam, że zupełnie nieoczekiwanie odeszła od nas nasza kochana bratnia dusza – Sabina Porąbek. Uroczystości pogrzebowe

odbędą się w dniu 12 września, tj. poniedziałek, o godzinie 12:00, na cmentarzu komunalnym w Legnicy. Będzie mi bardzo miło, jeśli poświęcą Państwo czas, by pożegnać naszą dobrodziejkę. Zamiast kwiatów i zniczy mile widziane czerwone balony w kształcie serca. Pograżona w rozpacz Wanda Guzik – pracownica »Kupidyna w spódnicy«”.

Nie wiem, czy tego by sobie życzyła, ale pomyślałam, że ktoś tak bardzo kochający ludzi, tak bardzo oddany pomaganiu, zasługiwał na wyjątkowe pożegnanie.

Włączyłam program pocztowy i wysłałam wiadomość do wszystkich klientów. Zapobiegliwie wysłałam również informację w formie SMS-ów. Nie każdy siedzi przy komputerze cały czas. W archiwach odnalazłam regał załatwionych spraw. Tych klientów również postanowiłam zawiadomić. Wrócę do biura po zebraniu i będę siedziała, ile trzeba. Wszyscy zainteresowani muszą wiedzieć o śmierci Sabiny. Tak postanowiłam.

Zadzwoiłam jeszcze do kwaciarni i zamówiłam wielki wieniec w kształcie serca. Florystka była nieco zaskoczona. Ani to Walentynki, zaręczyny tym bardziej, ale nie próbowała ze mną dyskutować.

Zrobiłam sobie herbatę, zjadłam kawałek zimnego już kebabu i zasiadłam do pracy. Nie minęło dziesięć minut, jak rozdzwonił się telefon. Najpierw jeden, potem drugi i trzeci. Po dwunastym przestałam liczyć. Dzwonili nasi klienci. Bardzo poruszeni śmiercią Sabiny. Chcieli znać szczegóły, ale tym, co ujęło mnie najbardziej, był fakt, że nikt nie dopytywał, co będzie dalej z biurem. Wszyscy byli autentycznie poruszeni nieobecnością Sabiny Porąbek. Dobrze zrobiłam, że do nich wszystkich napisałam, teraz to wiem.

Kiedy telefon ucichł na dłuższą chwilę, postanowiłam rozprostować kości. Odeszłam od biurka i przechadzałam się po korytarzyku, głaszcząc ściany. Kawał historii. Ile te ściany widziały i słyszały ludzkich pragnień, marzeń, czasem dramatów? Czy ten rozdział może zostać od tak zamknięty?

Weszłam do gabinetu Sabiny. Niby czułam jej nieobecność i pewnie było jej wszystko jedno, jednak chwilę się wahałam, czy powinnam. Zdarzało mi się wcześniej zaglądać tam w poszukiwaniu jakiegoś numeru telefonu czy zostawionej teczki z danymi klienta, ale tym razem było inaczej. Przechadzałam się po pomieszczeniu, przyglądając uważnie każdej półce, każdej szafce, wszystkim powieszonym na ścianach fotografiom. Ze wszystkiego emanowała radość, ciepło, dobroć, szczerłość. No i prawda. Może to dziwne, bo przecież piszę o rzeczach, przedmiotach materialnych. Ale to nie było pomieszczenie urządzone przez jakiegoś projektanta wewnątrz według aktualnej mody i trendów. To była cała Sabina. Mnóstwo bibelotów, z których każdy był dla niej niczym drogocenny skarb. Przy biurku natknęłam się na jej czerwone, lakierowane pantofle. Te same, w których przywitała mnie pierwszego dnia. Usiadłam przy biurku, chwyciłam jednego buta

i obracałam go powoli, przyglądając mu się, a łzy płynęły po moich policzkach.

Zaiste to dziwne. Kiedyś płakałam tylko podczas przedstawień w szkole Kuby, ewentualnie gdy leciała jakaś brazylijska telenowela. Gdy rozstałam się z Andrzejem, chciałam być twarda, mocna i niezłomna. Nie pozwalałam sobie na łzy, przecież to oznaka słabości. Teraz coś we mnie pękło. To chyba ta świadomość, że nic nie trwa wiecznie.

W korytarzu rozległy się kroki, ale nie chciało mi się wstawać. Niech mi dzisiaj wszyscy dadzą święty spokój. Odłożyłam but na podłogę i pogładziłam ręką blat biurka Sabiny. Ktoś nagle zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wsadził głowę do środka.

– Ach, to pan – westchnęłam, widząc Grzegorza.

Z tego wszystkiego zapomniałam, że był na dzisiaj umówiony. Rozejrzałam się po biurku i zobaczyłam kupkę dokładnie spiętych ze sobą skoroszytów opatrzonych kartką: „kandydatki dla Grzesia”. Łzy znów potoczyły się po moich policzkach.

– Przychodzę nie w porę? – zapytał Grzegorz.

– Już sama nie wiem...

– Wszystko w porządku?

– Właśnie o to chodzi, że nic nie jest w porządku! – jęknęłam i opowiedziałam Grzegorzowi o wszystkim. Okazało się, że nie zdążył jeszcze odebrać ode mnie wiadomości. Właściwie nie wiem, dlaczego akurat wobec niego zdobyłam się na taką szczerą, że oprócz faktu, że Sabiny już nie ma, wyłuszczyłam mu wszystko ze spotkania z adwokatem. Przy okazji zupełnie niepostrzeżenie przeszliśmy na „ty”, ale żadne z nas nie zwróciło na to większej uwagi. Powiedzmy, że były ważniejsze priorytety.

– No, ale Sabinka zapobiegliwie zostawiła dla ciebie kandydatki, więc zostawię cię tu z nimi – przesunęłam teczkę w jego stronę – i pójdę się uzalać nad sobą gdzieś indziej.

– To bez sensu. – Grzegorz popukał w teczkę, odsuwając je od siebie.

– Jak ci się któraś spodoba, udostępnię ci jej numer i umówisz się sam – dodałam, chcąc go trochę pocieszyć.

– Dziś już mi się chyba żadna nie spodoba – westchnął.

– Przepraszam, że zepsułam ci dzień.

– No co ty. Nie wygłupiaj się. To nie ty, tylko ta wstrętna kostucha. A ja nie umiem przejść nad śmiercią do porządku dziennego i bez pardonu przeglądać ofert matrymonialnych – wyznał.

No proszę, a Tomasz Welt to mógł...

– Ale to może być twoja ostatnia szansa, jeśli biuro przestanie istnieć...

– Dlaczego nie chcesz go dalej prowadzić? – zdziwił się. – Ja wiem, że to wszystko dziwnie wygląda. I spadło na ciebie tak nagle. Ale czuję, że byłabyś

w tym świetna. Może przemawia przeze mnie egoizm, bo boję się zostać na lodzie, ale chyba nie masz żadnej alternatywy...

– Ale jak się na tym nie znam, a to są poważne sprawy! – oburzyłam się. – Jestem podwójną rozwódką – dodałam konspiracyjnym szeptem.

Grzegorz spojrział na mnie, jakbym właśnie wyznała, że zabiłam człowieka.

– Współczuję – skwitował. – Ale inaczej podchodzi się do tematu, gdy buduje się swoje relacje z kimś, a inaczej, gdy jest się czyimś dyrygentem – przekonywał dalej.

– Poza tym biuro biurem, ale tu trzeba jeszcze księgowość prowadzić, jakieś rozliczenia, ZUS, PIT. Ja się kompletnie na tym nie znam! – broniłam się.

– Moja mama prowadzi biuro rachunkowe. Poproszę ją, pomoże ci.

– Dlaczego ty się tak upierasz? – zapytałam, zaskoczona jego determinacją.

– Dlaczego? Bo czuję się tu dobrze. Nie zrozum mnie źle. Ja wiem, czego chcę w życiu, ale po prostu potrzebuję kogoś, kto będzie stał za mną i kiedy będę się odwracał, chcąc uciekać, pokaże mi, żebym tego nie robił, że mogę iść spokojnie dalej. – Grzegorz zdobył się na szczerość.

– Faktycznie, chyba cię nie rozumiem. Przecież my tu świadczymy płatną usługę, nie tworzymy kółka wsparcia. Oszukujesz sam siebie. Płacisz nam, wymagasz, a my próbujemy sprostać. Tylko tyle. Nie doprawiaj tu społecznej ideologii.

– A ja właśnie czuję inaczej. Sabina potrafiła na jednym spotkaniu stworzyć taką atmosferę i otoczkę całej tej sytuacji, że czułem się jak bliski członek jej rodziny. Może jestem naiwny, może ukończyła jakieś kursy trenerów personalnych, na których wbijali jej do głowy, jak ma podejść do drugiego człowieka, by go omamić. Nieważne. Grunt, że to było skuteczne. Ja już po pierwszej wizycie czułem się jak nowo narodzony. Miałem siłę i nadzieję! – powiedział rozgoryczony. – Nie poradzę sobie sam. Inni klienci na pewno podzielą moje zdanie. Czy nie jest tak, że gdy ktoś bliski uczyni ci jakąś uprzejmość, kupujesz mu czekoladki czy kwiaty w dowód wdzięczności? No właśnie, a tutaj daje się pieniądze. I koniec.

Siedziałam jak zaklęta, analizując jego słowa. Było w nich sporo racji, chociaż moje próby obrony przemawiały raczej za tym, że jestem zupełnie inna od Sabiny. Może i ona tworzyła tę całą – jak to określił Grzegorz – atmosferę? Ale wciąż nie jestem Sabina. Może gdybym miała na koncie jakieś sukcesy w tych sprawach, to dodałoby mi animuszu? Zdecydowanie muszę sobie to wszystko przemyśleć na spokojnie. Jak na jeden dzień mam dość wrażeń. No i jeszcze tyle spraw do załatwienia przed pogrzebem!

– Posłuchaj, czy możemy wrócić do tematu w poniedziałek? Będiesz, jak rozumiem? – upewniłam się. – Nie gniewaj się, ale mam dziś jeszcze sporo pracy, a i tak muszę na chwilę wyskoczyć.

Grzegorz spojrział na zegar stojący na szafce i ożywił się:

– Kurczę, już ta godzina? Ja też muszę pędzić i wracać do pracy. Do zobaczenia w poniedziałek – pożegnał się szybko i ruszył w stronę drzwi. – Chyba że będziesz potrzebowała pomocy lub rozmowy. Masz w aktach mój numer, dzwoń – dodał i tyle go widzieli.

Chciałam jeszcze zawołać za nim, że jestem podwójną rozwódką i zdecydowanie nie szukam faceta, chociaż między nami nie było krzty chemii. Grzegorz był całkiem przystojny, na homoseksualistę zdecydowanie nie wyglądał, a jednak nie czułam do niego nic prócz zwykłej sympatii. Myślę, że mogliśmy się po prostu zaprzyjaźnić. Dalsze filozofowanie nie miało sensu, szczególnie że godzina wywiadówki zbliżała się nieubłaganie, a ja byłam w rozsypce.

Poprawiłam na szybko makijaż w łazience. Wychodząc, spojrzałam na flakon perfum stojący na półce. Wzięłam je do ręki i rozpyliłam trochę w powietrzu. Zaciągnęłam się upojnym zapachem i westchnęłam błogo. Tak pachniała Sabina. Tajemniczo i słodko. Nie, nie mogę się teraz rozpląkać, przecież jestem już gotowa do wyjścia.

Zadzwoiłam po taksówkę i wystukałam esemesa do Kuby. Napisałam, że pamiętam o zebraniu, ale wrócę później, bo muszę jeszcze dziś popracować. Odpisał zdawkowo: „Ok”. Dopisałam jeszcze, że o naszej rozmowie pamiętam i ta go nie ominie.

Kilkanaście minut później biegłam szkolnym korytarzem, poszukując sali, w której odbywało się zebranie pierwszej be – klasy z rozszerzonym angielskim i geografiami. Wpadłam spóźniona, gdy akurat nauczyciel stał przodem do tablicy i pisał swoje imię i nazwisko. Chciałam wsunąć się cicho do ostatniej ławki, ale zaczepiłam torebką o krzesło i cała zawartość niedomkniętej torby wysypała się z hałasem na podłogę. Czułam, że wszystkie oczy są zwrócone na mnie.

– Jak już mówiłem, nazywam się Grzegorz Pióro i zostałem mianowany wychowawcą klasy, do której uczęszczają państwa dzieci. – Usłyszałam głos nauczyciela i byłam pewna, że gdzieś go już słyszałam.

Podniosłam się powoli z podłogi i spojrzałam w kierunku tablicy, przed którą stał... Grzegorz!

– Wanda? A co ty tu robisz? – zapytał zaskoczony, nie zwracając uwagi na pozostałych rodziców.

– Przyszłam na zebranie do syna – wycedziłam oschle, już wiedząc, dlaczego Kuba powiedział, że jego wychowawca to gej.

– Co? – zdziwił się Grzegorz.

– Zebranie, rodzice, szkoła, klasa, liceum. Wanda Guzik, Kuba Guzik, mój syn – zaczęłam nerwowo wymieniać.

Grzegorz przełknął nerwowo ślinę, rozejrzał się po sali, po czym westchnął ciężko i próbował kontynuować, jak gdyby nigdy nic:

– Jestem absolwentem Uniwersytetu Wrocławskiego na kierunku turystyka i geografia. Mam drugi fakultet z pedagogiki. Pracuję w szkole od dziesięciu lat. To moje drugie wychowawstwo, więc mam już jakieś doświadczenie. Na tablicy zapisałem swój numer telefonu, gdyby ktoś z państwa miał jakieś pytania, proszę dzwonić, byle nie w trakcie lekcji. Postęp postępowem, ale jednak chcemy trzymać się tu jakichś zasad. Wymagamy od młodzieży, wymagajmy również od siebie.

Zebranie trwało dość krótko, chociaż nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że Grzegorz cały czas patrzy tylko na mnie. Jakbym miała wstać i publicznie zdradzić, skąd się znamy. Mówił sztywno i trochę się jąkał. W zasadzie same zbiórki, ubezpieczenia, planowane działania, nic szczególnego.

– Na koniec musimy jeszcze wybrać przedstawiciela rodziców do rady szkoły. Ktoś chętny? – Rozejrzał się po sali.

Zapadła konspiracyjna cisza – wszyscy solidarnie spuścili głowy, modląc się, żeby na chwilę stać się niewidocznym i nie zostać uwikłanym bardziej, niż było to konieczne.

– Nie ma chętnych? – westchnął bezradnie Grzegorz. – W takim razie proponuję panią Wandę Guzik. Kto jest za?

Las rąk wypełnił salę, a ja siedziałam i aż kipiałam ze złości, ale nie miałam odwagi się odezwać. Już ja mu się odwdzięczę.

– W takim razie sprawa załatwiona. Poproszę panią o pozostanie po zebraniu, a państwu już w sumie dziękuję, chyba że są pytania – powiedział łagodnie.

Znów nastąpiła uporczywa cisza, a zaraz za nią tłum ludzi powoli wylał się na korytarz. Zostaliśmy w sali sami.

– Rada rodziców? Rozum ci odjęło?! – warknęłam, upewniwszy się, że nikogo już nie ma.

– Sama widziałaś, że nie było chętnych. Nie znam tu nikogo, a poza tym muszę mieć na ciebie oko. Wiesz o mnie więcej niż powinnaś. Gdybym wiedział, że Kuba to twój syn, wcale nie przyszedłbym do biura – wycedził.

– Gdyby babcia miała wąsy, to by była dziadkiem. – skwitowałam cierpko. – Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa, ale uważaj, bo mogę ją złamać, jeśli zorientuję się, że mój syn jest traktowany inaczej niż reszta!

– U mnie wszyscy są równi! – oburzył się.

– To co z tą radą? – zapytałam zrezygnowana.

– Pójdziemy teraz na krótkie zebranie w sprawie inwestycji w szkole i jesteś wolna. Po każdym zebraniu klasowym jesteś zobowiązana poświęcić kwadrans na spotkanie rady. Nie musisz tam zabierać głosu ani się udzielać, wystarczy sama obecność. Tyle.

– Może jakoś to ścierpię... – westchnęłam zrezygnowana.

Poszliśmy do sali konferencyjnej, gdzie siedzieli już wszyscy nauczyciele

i przedstawiciele rodziców z innych klas. Dyrektor przywitał się i zaczął perorować o jakimś budżecie. Czułam się strasznie znużona. Ten dzień włókł się jak stado żółwi, a ja miałam jeszcze tyle pracy. Siedziałam i rozglądałam się po sali. Pełna różnorodność – grubas w garniturze po drugiej stronie stołu schował się za skórzaną teczką i klikał coś na telefonie, uśmiechając się raz po raz. Obok niego siedziała matka-hipiska, bezczelnie żując gumę. Przez moment złapałam z nią kontakt wzrokowy i przestała międlić gumą, wywalając oczami. Zerknęłam na Grzegorza, który siedział obok mnie, ale on patrzył w zupełnie innym kierunku i był jakiś... nieobecny? Podążyłam wzrokiem w kierunku, w którym patrzył, i nagle jakby piorun mnie strzelił. Kilka krzeseł dalej, po drugiej stronie stołu, siedziała młoda blondynka z cudownymi lokami. Ubrana była w beżowy sweterek ze skromnym dekoltem ozdobionym mieniącymi się w świetle koralikami. Słuchała w skupieniu dyrektora i raz po raz coś notowała. Zerknęłam jeszcze raz na Grzegorza – patrzył na nią tak intensywnie, że niemal zapominał mrugać. Coś mi chodziło po głowie, nie dając spokoju. Skupiłam się na poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie i nagle wystrzeliłam jak z armaty:

– To ona!

– Słucham? – zdziwił się dyrektor, przerywając swój wywód.

Wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę.

– Yyy – zająknęłam się. – Przepraszam, nic, nic...

Dyrektor kontynuował, a ja wpatrywałam się teraz w blondynkę równie intensywnie co Grzegorz. Parę minut później było już po zebraniu. Szliśmy z Grzegorzem przez korytarz. W końcu musiałam przerwać tę uporczywą ciszę:

– Kim ona jest?

– Kto? – zapytał zaskoczony.

– Ta blondynka z zebrania, do której robiłeś maślane oczy niczym zakochany kundel. – Zaśmiałam się.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedział, lekko się rumieniąc.

– Czytałam twoje akta w „Kupidynie”. Opis wymarzonej kandydatki zgadza się co do joty z wyglądem tej kobiety. Przypadek?

– Naprawdę nie wiem, co insynuujesz! – próbował się bronić.

– To dlatego nie możesz znaleźć kobiety. Zakochałeś się po uszy w tej laluni! – drażyłam dalej.

Grzegorz szedł w milczeniu ze zwieszoną głową.

– Ale o co chodzi? Jest zajęta? Dała ci kosza? – nie rezygnowałam.

– Nie – odburknął tylko.

– To o co chodzi?

– Spójrz na mnie. – Grzegorz stanął przede mną i patrzył zrezygnowany. – Ona jest niczym anioł. Ideał. A ja? Zwykły nauczyciel geografii.

– A ona potrzebuje jakiegoś superbohatera? – ironizowałam. – Powiedziała

ci to? Czy sam to wymyśliłeś?

– Ty nic nie rozumiesz.

– Może i nie rozumiem, ale widzę, co się święci. Jakiś goguś prędej czy później sprzątnie ci ten ideał sprzed nosa, a ty będziesz dalej siedział w kącie i płakał. Masz jaja? – krzyknęłam, aż idący korytarzem ludzie odwrócili się w naszym kierunku.

– Cicho! – syknął.

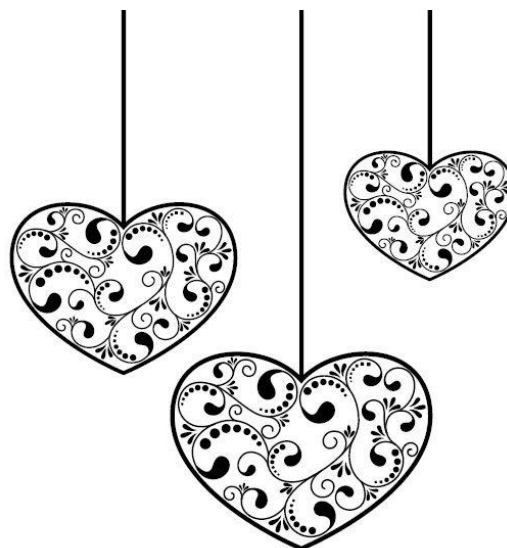
– Wybacz, ale nie mogę na to patrzeć. Co ty sobie myślisz? Że znajdę ci w biurze jej sobowtóra czy jak? Oryginał chyba by cię bardziej ucieszył.

– Ale nie umiem. Nie wiem jak. Nie poradzę sobie! – jęczał. – Pomożesz mi? Poprowadzisz dalej biuro?

– Nie wiem... Przecież ja się na tym kompletnie nie znam – przyznałam z żalem.

– A jednak mnie zdekonspirowałaś.

– Może...



O dziwo, weekend minął nadzwyczaj spokojnie. Kuba pojechał z Andrzejem na jakiś koncert do Poznania, a ja przesiedziałam dwa dni u Magdy. Tak, też jestem zaskoczona, że spędziłam z nią tyle czasu i nie zwariowałam. Byłam w kiepskim nastroju, a Roman okazał się na tyle dobroduszny, że zabrał dzieci do swojej mamy i miałyśmy z siostrą czas tylko dla siebie.

Najpierw opowiedziałam jej wszystkie zdarzenia z ostatnich dni. I tu kolejna niespodzianka – Magda potrafiła słuchać! I nawet pocieszyć, współczuć i nie zmieniać tematu na dziecięco-macierzyński. Naprawdę jestem jej winna przeprosiny, chyba źle ją oceniałam.

Po usłyszeniu całej historii z miejsca zaczęła mnie namawiać, żebym przejęła „Kupidyna w spódnicy”. Na początku niewinnie, używając nawet racjonalnych argumentów, a gdy pojechałyśmy ogarnąć biuro przed poniedziałkową stypą, gderała mi już po staremu:

- Nie czujesz, że to przeznaczenie?
- Serio? Jest coś takiego? – Popukałam się w czoło, robiąc herbatę.

Sprzątałyśmy w pocie czoła od dobrych dwóch godzin i przerwa zdecydowanie nam się należała.

– Właściwie to dotąd nie wierzyłam. W końcu u mnie wszystko idzie, powiedzmy, w miarę zgodnie z zamierzeniami, a nawet jeśli są odstępstwa, to nie

los czy przypadek, ale nasza lekkomyślność i głupota. – Magda zaśmiała się.

Wyczułam, że pewnie ma na myśli swoją Kalinkę, którą jak najbardziej planowali, ale raczej nie po trzech miesiącach znajomości.

– No i tej wersji się trzymaj. Przeznaczenie to wymysł tych, którym się nie chce – powiedziałam zdecydowanie.

– Nie rozumiem.

– Po prostu jak się komuś nie chce nic robić, to bierze, co daje mu los, i mówi, że to jego przeznaczenie – wyjaśniłam.

– W takim razie chcesz mi powiedzieć, że twoim przeznaczeniem było siedzenie dwadzieścia lat w domu pod kieratem Andrzeja? – zdziwiła się. – Jak nazwiesz to, co dzieje się teraz?

– Karma. – Parsknęłam głośno. – Taka kara, że mi się wcześniej nie chciało.

– Z całym szacunkiem, pomijając smutne okoliczności śmierci twojej szefowej, to chciałabym za karę dostać dobrze prosperującą, prestiżową, ekskluzywną firmę. – Magda wzięła się pod boki, mocno obruszona.

– Dobra, może darujmy sobie to filozoficzne nazewnictwo. Przeznaczenie, los, przypadek, karma. Było, minęło. – Machnęłam lekceważąco ręką.

– Nie wierzę, że chcesz ot tak po prostu z tego zrezygnować! Gdybyś chociaż miała inny wybór! Wtedy rozumiem. A tak? Co ci szkodzi spróbować? – drażyła dalej Magda.

Przysiadłam na chwilę przy biurku i rozglądnęłam się po pomieszczeniach, które wciąż były takie... Sabinowe. Zamyśliłam się na chwilę.

– Chyba nic – westchnęłam.

– No! To nie zmywamy i odkurzamy, tylko jedziemy do marketu budowlanego po farby i nowe zasłony. Trzeba to urządzić bardziej nowocześnie, w twoim stylu. – Magda zakasała rękawy, gotowa do pracy.

– Hola, hola! Jeszcze się nie zdecydowałam! – powstrzymałam jej zapał. – Zresztą mamy tu stypę w poniedziałek, chyba nie chcesz przyjmować gości na wiaderkach od farby i z folią malarską zamiast obrusu?

– W takim razie pojedziemy do marketu we wtorek. W sumie będziemy miały czas, by poprzeglądać w internecie trochę projektów, może wpadnie nam w oko coś fajnego! – Przyklasnęła Magda.

Nie wiem, co ona miała takiego w sobie i dlaczego aż tak jej zależało, żebym przejęła tę firmę, ale powoli zaczynałam mięknąć.

W życiu nie wyobrażałam sobie, że wolny weekend z siostrą spędzę na sprzątanii. Jestem bardzo wdzięczna Magdzie, serio. Każda inna po wyswobodzeniu się od dzieci i męża pewnie ruszyłaby w miasto na zakupy, a potem leżała do góry brzuchem. Ale moja Magda jest inna. Nigdy nie patrzyłam na to z tej strony, ale ona zwyczajnie nie umie usiedzieć na miejscu. Nosi ją i dostaje kręcka na samą myśl o odpoczywaniu.

Po powrocie do jej domu miałam ochotę zalegnąć z pilotem na kanapie, a ona postanowiła, że upiecze ciasta na stypę. Zanim zdążyłam jakkolwiek zareagować, uruchomiła już mikser i smarowała blaszki tłuszczem. No, co jej będę odmawiać tej przyjemności? Jest naprawdę niewiarygodna, biję się w piersi. U mnie pieczenie ciasta jest zwykle przedsięwzięciem planowanym tygodniami. Najpierw rozwlekły proces wyboru odpowiedniego przepisu, potem równie długie gromadzenie składników. Potem zwykle brakuje mi blaszki, łyżki albo akurat się odchudzam. Na końcu oddaję część składników Magdzie, bo ich termin ważności dobiega końca, a szkoda mi wyrzucić. A sama schodzę na dół do cukierni i kupuję eklerki lub inne kaloryczne, pełne konserwantów świństwo. Aż dziw, że jesteśmy siostrami. Chociaż ja akurat tę część mojej osobowości mam zdecydowanie po mamie. Magda jest bardziej po babci Broni ze strony ojca.

Przymknęłam na chwilę oczy, bo całe to sprzątanie naprawdę pozbawiło mnie sił. Zerwałam się na równe nogi w chwili, gdy Magda nakrywała mnie kocem.

– Śpij, śpij – szepnęła łagodnie.

Spojrzałam na zegarek – dochodziła pierwsza w nocy. Z kuchni dolatywał jeszcze zapach świeżego ciasta. Magda krzątała się już w piżamie. Pozbierała naczynia po naszej kolacji, zapakowała zmywarkę i zabrała się za prasowanie.

– Czy ty w ogóle sypiasz? – zapytałam pełna podziwu.

– W ogóle to tak, ale to jeszcze nie moja pora. – Zaśmiała się.

– Ale przecież wstajesz rano, by wyszykować Romka do pracy. A on zaczyna o szóstej rano.

– Przyzwyczaiałam się już do krótkiego snu. – Machnęła ręką. – W domu nic nie zrobi się samo.

Przyglądałam jej się jeszcze przez dłuższą chwilę i zastanawiałam się, jak ona mogła być tak szczęśliwa? Wiedziałam, że każdy człowiek miał inne potrzeby, inne priorytety i inne rzeczy sprawiały mu przyjemność, ale – do licha! – to jakiś kierat, obóz pracy, więzienie! Czy uśmiechy tych dzieci naprawdę wszystko jej wynagradzały? Wynagrodzić jak wynagrodzić, ale przecież trzeba jakoś funkcjonować! Spać, jeść, odpoczywać. A ona wciąż w biegu.

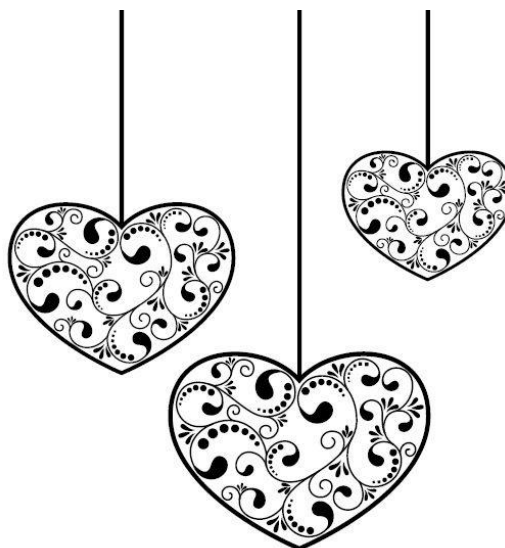
Obiecałam sobie w duchu, że jak już rozbujam na nowo „Kupidyna w spódnicy”, zaproszę Magdę do kina czy do spa, kupię coś tylko dla niej. A nawet zabiorę dzieci do siebie na cały dzień, by ona mogła spędzić czas tylko z Romanem. Tak, nie przesłyszeliście się, zamierzam przejąć tę firmę, ale póki co nie chcę jeszcze nikomu o tym mówić. Patrzę na moją siostrę i wiem, że ja też dam radę!

Niedziela była już na powrót szalona. Roman wrócił z dziećmi szybciej, bo bliźniaki miały gorączkę i trochę spanikował. Magda spokojnie podała im leki, a do tego chłodzące gryzaki. Jej opanowanie wpędzało mnie w osłupienie. Jednak co

matka to matka. Trochę marudzili na początku i miałam już ochotę od nich uciekać, ale pomyślałam, że to byłoby niemiłe z mojej strony. Magda poświęciła mi swój wolny czas, pomogła mi sprzątać, upiekła ciasta. W dodatku wysłuchała, pocieszyła i wyniańczyła niczym rasowa mamuśka, a ja teraz chciałam zawinąć kitę jak jakiś tchórz. O nie, życie trzeba brać ze wszystkimi plusami i minusami!

Pomogłam Magdzie przy obiedzie. Zrobiłam surówkę – o ile można tak nazwać starcie marchewki na tarce i wymieszanie jej z przyprawami. Oczywiście musiała po mnie poprawić, bo była mdła, ale liczą się chęci. Serio, to moja młodsza siostra? Czasami mam wrażenie, że jest odwrotnie. Naprawdę dotąd myślałam, że to ja jestem tą zaradną, życiową i w ogóle. W końcu chodziłam z Andrzejem na te wszystkie wystawne przyjęcia dla biznesmenów i godnie go reprezentowałam. W dodatku, chociaż na moich barkach spoczywał cały dom, nigdy nie zabrakło mi czasu na fryzjera czy manicure. Teraz widzę, jak naprawdę wyglądała opieka nad domem. Domem pełnym ludzi i z ograniczonym budżetem. Ubodło mnie, że tak się myliłam. Człowiek czasami potrzebuje kopa, by docenić to, co ma.

Kuba wrócił z wyjazdu jakiś milczący. Zaniepokoiłam się, ale nie naciskałam. Wiem, że na początku nie był przychylny do spotkań z ojcem przez wzgląd na druhnę i wymuszony koniec jego harcerskiej przygody. Zastanawiałam się przez moment, czy nie jedzie do tego Poznania bardziej ze względu na koncert. W końcu miała grać jedna z jego ulubionych kapel. Ale on miał już prawie szesnaście lat, nie był już przekupnym gówniarzem. Umiał odróżnić dobro od zła i chyba aż tak by się nie poświęcił. Nie pozostawało mi nic innego, jak czekać na rozwój wydarzeń. No bo z Andrzejem nie miałam ochoty rozmawiać na ten ani na żaden innych temat.



- Jak było na koncercie? – zagadnęłam rano.
- Serce mi się krajało, gdy patrzyłam na tę smętną minę.
- W porządku – odburknął.
- Tylko w porządku? Tak bardzo się cieszyłeś na ten wyjazd. Ej, co jest, Kajtek? – Poczochrałam go po głowie.
- Mamo, nie mów do mnie Kajtek! Mam już szesnaście lat! – zdenerwował się.
- Dobrze, Jakubie Andrzeju Guziku, w czym problem? – Spróbowałam go rozśmieszyć. Bez efektu.
- No bo mam urodziny za dwa tygodnie, tak? – wydukał w końcu.
- Ale to chyba jeszcze nie ten czas, gdy martwisz się starzeniem? – zdziwiłam się.
- Nie, ale zwykle obchodziliśmy je razem. A teraz, gdy ty i ojciec się rozeszliście, to jak będzie?
- A więc w tym rzecz – westchnęłam. – No jak to jak? Dwie imprezy, dwa prezenty i podwójne świętowanie. – Kuksnęłam go w bok.
- Spojrzał na mnie niepewnie.
- Tata chce mi kupić nowy rower.
- No tak, mogłam się spodziewać, że będzie jednak próbował przekupić syna

czymś, czego ja nie mogłam mu zaoferować. A nawet jakbym mogła, uważałam rower za przesadę. To w końcu szesnaste urodziny, a nie osiemnastka czy wesele, by aż tak się wykosztować. Zawsze starałam się wychowywać Kubę tak, by cieszył się z drobnych rzeczy i nie stał się materialistą jak Andrzej. Nie było łatwo, bo był jedynakiem, ale jakoś sobie do tej pory radziliśmy.

– Dobrze wiesz, że mnie nie stać na taki gest – zachnęłam się. – Ojciec też o tym dobrze wie. Będziesz musiał jakoś żyć z tym, że ode mnie dostaniesz skromniejszy prezent.

– Chyba że... – Kuba się rozpogodził.

– Chyba że? – zapytałam zaciekawiona.

– Pozwolisz mi zrobić tu domówkę? – wyrzucił z siebie szybko, patrząc na mnie jak kot ze Shreka.

Ot, dziadowskie nasienie! Tak to sobie umyślił?! Niby że smutny, pogrążony w rozpacz, zadumie, a to po prostu taka gra. Manipulant jeden!

Z drugiej strony... Andrzej nigdy nie zgodzi się na imprezę w swoim domu. Za bardzo kocha swoje drogocenne meble i antyczne dzieła sztuki, żeby tak je narażać. A tu? Co ta młodzież może tu zrobić? Co najwyżej nie dadzą spać sąsiadom i się potem nasłucham. A kolor ścian i tak mi się nie podoba, więc jak zapaskudzą, będą odmalowywać za swoje i już.

– Zgoda. – Uśmiechnęłam się.

Nawet najdroższy rower nie pokona odjazdowej prywatki dla młodzieży. I kto jest teraz na górze?

– Serio? – Kuba aż zakrztusił się herbatą.

– A dlaczego nie?

– Żadnych smętów, kazań, gróźb, szantaży?

– Na kazania przyjdzie pora za dwa tygodnie, a co do reszty... No cóż, szesnaste urodziny obchodzi się tylko raz w życiu. – Znów go poczochnęłam i zerknęłam na zegar. – Spóźnisz się do szkoły.

– Mamo... – zaczął niewinnie Kuba.

– No?

– Jesteś spoko.

– Ja też cię kocham, Kubuś.

I tak oto dość przygnębiający dzień pożegnania Sabiny zaczął się dość optymistycznie.

Nie, dzień wcale nie zapowiadał się przygnębiająco. Wręcz przeciwnie, pogoda była iście weselna. Ostatnie przebłyski lata zdecydowały się ujawnić właśnie dziś – czyż to nie przeznaczenie?

Dwie godziny później kroczyłam dumnie alejkami cmentarza z balonami w kształcie serca. Ludzie odwiedzający groby swoich bliskich patrzyli na mnie ze zdziwieniem, a ja uśmiechałam się szczerze i kłaniałam. Wcale nie cieszyła mnie

uroczystość, na jaką zmierzałam. Powiedzmy, że byłam po prostu pogodzona. Sabina odeszła. Wiedziała, że tak będzie. Skoro dopełniła wszystkich formalności, dopilnowała zapewne również tych emocjonalnych i duchowych aspektów swojego życia. Może pożegnała się z sąsiadką, z jakimiś dalszymi znajomymi, z ukochanym kotem, który chwilowo miał zamieszkać u Krystyny Bąk? Do ostatniej chwili widziałam ją uśmiechniętą. I wcale nie odczułam, że przykleiła sobie tę minę na siłę, by nikogo nie martwić. Owszem, może była trochę blada, trochę powolniejsza, ale była spokojna. Biła od niej łagodność. Pogodziła się z tym wszystkim. Być może życie, jakie prowadziła, było tym wymarzonym, spełnionym i szczęśliwym.

Kiedy dotarłam na miejsce, nogi się pode mną ugięły. Cały plac przed świątynią wypełniony był ludźmi z czerwonymi balonami w kształcie serca. Istne zatrzęsienie czerwonych balonów. Byłam w ogromnym szoku. Nie sądziłam, że moja wiadomość o śmierci i ostatnim pożegnaniu Sabiny dotrze do aż tylu osób i że ktokolwiek przyjdzie. To była istna magia, jeśli można mówić o takim zjawisku, stojąc pośrodku ponurego cmentarza. W tłumie dojrzałam Tamarę z Dawidem. Gdzieś dalej mignął mi Grzegorz i pan Gustaw, wspierający się na balkoniku, którego kojarzyłam tylko z fotografii. Byli też moi rodzice i Magda. Stali na uboczu, ale widząc mnie, skinęli pogodnie głowami. A ponadto wiele innych osób. Część z nich kojarzyłam z fotografii załączonych do akt, które sukcesywnie wprowadzałam do komputera. Inni, chociaż zmienieni upływem czasu, wciąż przypominali tych z galerii szczęśliwie zakończonych spraw. Stałam z tymi balonami i aż dławilo mnie w gardle ze wzruszenia. To takie strasznie głupie, bo znałam tę kobietę zaledwie kilka dni. Ani się z nią za bardzo nie zbratałam, ani też nie nauczyłam za wiele o jej fachu, ale czułam, że jestem na właściwym miejscu.

– Przeznaczenie, co? – szepnęła mi do ucha Magda, która obeszła tłum i stała teraz za moimi plecami.

– Nie mogę w to uwierzyć – westchnęłam.

– Witam panią, pani Wando. – Usłyszałam gdzieś z boku.

Odwróciłam się i zobaczyłam Tomasza Welta z wielkim bukietem kwiatów w jednej ręce i balonem w drugiej. Nie przypominałam sobie, że bym wysyłała mu zaproszenie ani tym bardziej wspominała o balonach.

– Dzień dobry. – Skinęłam zaskoczona.

– Znajdzie pani dla mnie chwilę po uroczystości? – zapytał grzecznie.

– Po pogrzebie organizuję małe przyjęcie pożegnalne w „Kupidynie”, proszę czuć się zaproszonym – odpowiedziałam.

– Mam nadzieję, że zegnamy tylko panią Sabinę – odpowiedział z przekąsem i ruszył w stronę wejścia do kaplicy.

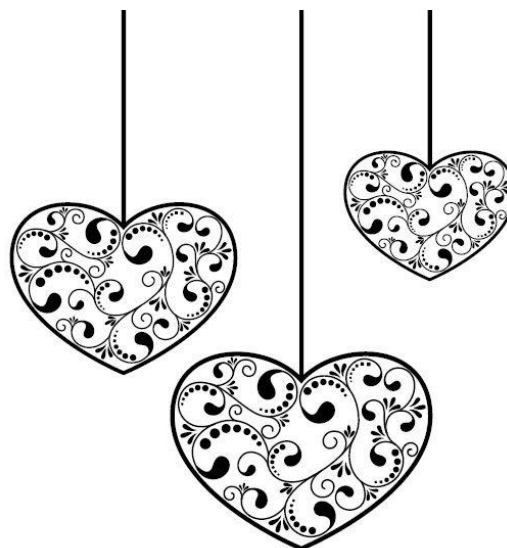
– Kto to był? – Magda szarpnęła mnie za łokieć.

– Adwokat.

– Całkiem niezły – skwitowała moja siostra, odprowadzając mężczyznę pożądanym wzrokiem.

– No wiesz! – warknęłam oburzona.

Nie dość, że zajęta, to jeszcze ślini się na innego podczas pogrzebu. Cała Magda. Nie było już czasu na dyskusje, bo ludzie zaczęli zwawo wchodzić do kaplicy, skąd słycać było pierwsze takty żałobnej melodii.



Uroczystość była wspaniała. Ksiądz przeczytał fragment „Hymnu o miłości” z „Listu do Koryntian”. Zwykle tekst ten czyta się na ślubach, ale do pożegnania Sabiny pasował jak ulał. Potem głos zabrał przedstawiciel klientów – niejaki Henryk Sawa, którego Sabina dwie dekady wcześniej skumała z obecną przy jego boku Bogusią. Później dowiedziałam się, że to Bogusia miała przemawiać, ale emocje sięgnęły zenitu i nie dała rady, więc mąż godnie ją zastąpił. Miał w rękach kartkę, ale szybko wcisnął ją do kieszeni i zamiast gotowej mowy powiedział po prostu kilka ciepłych słów od siebie. Wszyscy przytakiwali i uśmiechali się na wspomnienie cieplej, przyjaznej i trochę zadziornej Sabiny. Byli jak jedna wielka rodzina.

Po mszy kondukt pogrzebowy odprowadził zmarłą na miejsce spoczynku. Ksiądz odmówił modlitwę, a gdy grabarze spuszczaali trumnę, wszyscy jak na zawołanie unieśli głowy ku górze i wypuścili w powietrze swoje balony. Morze czerwonych serce uniosło się ku niebu wraz z duszą naszej kochanej Sabiny i chyba nie było na całym cmentarzu osoby, która w tym momencie nie uroniła choćby łezki.

Istnieją różne formy pożegnań. Milczenie, płacz, zaduma. My żegnaliśmy Sabinę symbolem miłości. W tej ważnej chwili daliśmy jej to, czym ona obdarzała nas przez całe swoje życie. Być może to naiwne, ale czułam jej obecność. Czułam,

jak patrzy na nas z góry, uśmiecha się, otacza ramieniem całą tę wysłaną gdzieś w przestrzeń miłość i jest dumna, szczęśliwa, spokojna.

– Zapraszam wszystkich państwa na mały poczęstunek do biura „Kupidyna”
– powiedziałam, gdy ksiądz powoli już odchodził i ludzie zaczęli się niecierpliwie rozglądać, nie wiedząc, co ze sobą począć.

– Wszystkich? – krzyknął jakiś pan.

– Nie spodziewałam się, że będzie nas tu aż tyle, ale... Tak, wszystkich państwa zapraszam. Zmieścimy się – zapewniłam łagodnie.

Chwilę później składałam z Magdą naprędce pożyczone z domu kultury stoły i organizowałam coś w rodzaju otwartego bufetu. W życiu nie zmieścilibyśmy się przy stole. A na stojąco, z talerzykami w rękach niczym na jakimś wytwornym bankiecie, było całkiem znośnie. Ludzie rozglądali się po biurze. Niektórzy nie byli tu od lat i tylko wysyłali Sabinie pamiątkowe kartki świąteczne z wyrazami pamięci i dozgonnej wdzięczności za wypełnienie pustki w ich sercach. Inni, ci nowi, zapoznawali się z biurem i słuchając tych szczęśliwie zakończonych historii, aż promienieli nadzieją. Magda uwijała się w zaimprovizowanej kuchni, wydając ciasta i napoje, a ja obserwowałam wszystko z boku.

– Tylko mi nie mów, że cała praca na marne – szepnęła do mnie, przeciskając się do szafki po kolejne talerzyki. – Spójrz tylko na nich!

Oddałam jej filiżankę po kawie i zaczęłam przeciskać się przez pomieszczenie.

– Co robisz? – krzyknęła za mną, ale nie zareagowałam.

Dotarłam do mojego przesuniętego pod samą ścianę biurka, wspierałam się na nie i krzyknęłam:

– Mogę prosić o chwilę uwagi? Halo!

W całym biurze zapanowała cisza. Wszystkie oczy były teraz zwrócone na mnie. W rogu dostrzegłam Tomasza Welta nerwowo przestępującego z nogi na nogę.

– Przepraszam, że w taki sposób. To wszystko miało wyglądać trochę inaczej... – Urwałam. – Nie ulega wątpliwości, że Sabina Porąbek była osobą wyjątkową. Obdarzoną niezwykłym darem, którym każdego dnia dzieliła się z wami wszystkimi. O jego wyjątkowości z pewnością mogą powiedzieć licznie tu zgromadzone, połączone przez Sabinę pary. Chociaż nowe osoby, które jeszcze nie spotkały swoich drugich połówek, też wracały do nas nie bez powodu. Wszyscy kochaliśmy Sabinę i wierzyliśmy w jej umiejętności. Śmierć Sabiny spadła na mnie tak nieoczekiwanie. – Głos mi się łamał, ale walczyłam dalej. – Zadzwoił do mnie obecny tu pan Tomasz Welt i powiedział mi o tym jakże przykrym zdarzeniu. Powiedział mi też, że życzeniem i ostatnią wolą Sabiny było, aby „Kupidyn w spódnicy” działał dalej. I to pod moim kierownictwem. Miałam wiele

wątpliwości i rozterek. I do końca nie wiem, co państwo o tym myślą, ale zdecydowałam, że przejmę „Kupidyna” i zrobię wszystko, aby działał jak najlepiej.
– Rozejrzałam się po sali – No... To tyle chciałam powie...

W jednej chwili pomieszczenie wypełniła burza oklasków, okrzyków radości i wiwatów. Zeszłam z biurka i na trzęsących się nogach próbowałam dojść do Magdy. Wszyscy po drodze przytulali mnie, ściskali i klepali po ramieniu.

– Jestem z ciebie taka dumna! – Magda rzuciła mi się na szyję.

– Bardzo się cieszę – dodał stojący obok Grzegorz. – I mam nadzieję, że ze znanych ci już powodów nie wykluczysz mnie z grona klientów. – Puścił do mnie oko.

– Nie – tylko tyle byłam w stanie z siebie wydusić.

Uścisnęłam najpierw Magdę, potem Grzegorza, a potem jeszcze kilka osób, których właściwie nie znałam, ale mających potrzebę uczcić ogłoszone przeze mnie nowiny.

– Ja jednak rezygnuję. – Usłyszałam po chwili za plecami.

Odwróciłam się i z rozczarowaniem spojrzałam na stojącego za mną Dawida. Zrobiło mi się przykro, a mój entuzjazm ostygł. Pewnie zaraz inni zgłoszą się do mnie z tym samym.

– Nie! – ocknął się nagle Dawid. – Nie bierz tego do siebie! Po prostu Tamara zapoznała mnie ze swoim kuzynem. No wiesz... Spotykamy się. Będziemy w kontakcie. – Pocałował mnie w policzek, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Ttttoooo ffffaaaanntaaassstyyczzznneee – wydukała stojąca obok Dawida Tamara.

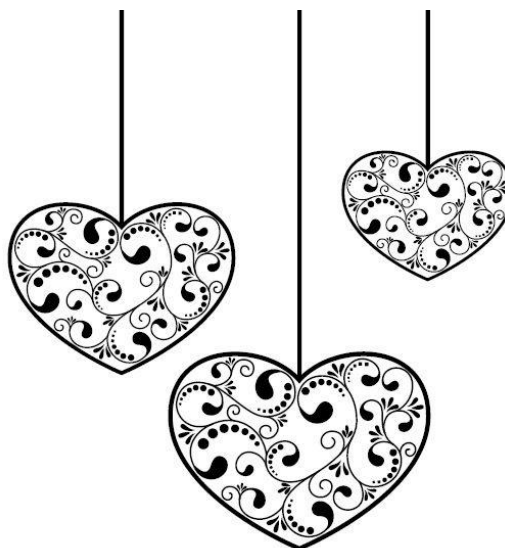
– Kochana, jak cię uczyłem? – Dawid rzucił jej groźne spojrzenie.

Tamara skrzywiła się w grymasie, ale po chwili wzięła trzy krótkie wdechy, zgięła się w pół, wyprostowała i z zaciśniętymi oczami niemal krzyknęła:

– Cudownieeee!

– Niech mnie kule biją! – Rozdziawiłam gębę w wielkim szoku. – Jestem z ciebie taka dumna! Szkoda, że Sabina tego nie widzi! – westchnęłam.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Grzegorz i mnie przytulił. – Wszystko będzie dobrze.



Kolejny tydzień był istnym szaleństwem. Biegałam od świtu do nocy pomiędzy marketami budowlanymi, w których wybierałam nowe barwy bojowe „Kupidyna”, a skarbówką, ZUS-em i biurem Tomasza Welta, który z ogromną ulgą pomagał mi załatwić formalności związane z przejęciem firmy.

Ubligany przez Magdę Roman wziął sobie trzy dni wolnego, by pomóc w remoncie. O dziwo z odsieczą przybył również mój ojciec. Prędzej bym się ducha spodziewała, a tu proszę! Kolejny raz ktoś bliski tak pozytywnie mnie zaskoczył. Panowie rozważali jeszcze zaangażowanie Andrzeja, ale pewnie nie zdecydowałby przyłożyć ręki do mojego sukcesu. No i jednak do remontów to on miał dwie lewe ręce. Ostatecznie postanowiłam zwrócić się do niego służbowo po zakończeniu remontu, z prośbą o zainstalowanie zamków i alarmów. Z tego co się zdołałam zorientować, to Sabina nie zbijała jakichś niebotycznych kokosów na świadczonych usługach, ale jednak całe wyposażenie i akta klientów musiały mieć godną ochronę. A ja nie będę aż taką świnią, by latać do konkurencji, skoro znam fachowca, który rabatu pewnie nie da, ale kitu też nie wciśnie.

Na pierwszy rzut oka biuro zmieniło się całkowicie. Kameralny bordowy kolor na korytarzu zastąpiła łagodna pistacja i białe drewniane lamperie. Zlikwidowałam wiszące kinkiety na rzecz pięknych kryształowych żyrandoli. Moje biurko też przemaalowałam na białe. Może wyglądało trochę sterylnie, jak

w lekarskim gabinecie, ale było przestronnie i czysto.

Gabinetu Sabiny początkowo nie chciałam wcale ruszać. Nie miałam sumienia czegokolwiek stamtąd wyrzucać, przynajmniej nie od razu po jej śmierci. Ale kiedy tato z Romanem odsunęli komody, by Magda mogła pozmywać, naszym oczom ukazał się ogromny grzyb. Nie dziwię się teraz, że Sabina tak kaszłała – toż to truciciel jakich mało! No i jak zaczęliśmy walkę z tym grzybem, to się okazało, że będzie trzeba malować.

Nie wiedziałam, jak ugryźć ten temat, bo naprawdę ciężko mi było ruszać rzeczy Sabiny, ale Magda przekonała mnie, że jej jest już wszystko jedno. To akurat prawda, ale może klientów przyciągał właśnie ten wyjątkowy nastrój, który ja – niby nieświadomie, ale jednak skutecznie – zepsuję? Na szczęście przypomniało mi się, że w markecie budowlanym widziałam przepiękną tapetę w kolorze soczystego burgundu ze złotymi, szlachetnymi wzorami. Była idealna, chociaż zbyt przytłaczająca jak na całe pomieszczenie. Podzieliłam się tą myślą z innymi i po naradzie ustaliliśmy, że całe pomieszczenie będzie w kolorze słomkowym wpadającym w złoto, a jedną ścianę okleimy tapetą ze złotym wzorem. Od razu zdecydowałam, że ściana ta będzie nosiła imię Sabiny i powieszę na niej coś w rodzaju drzewa genealogicznego, na którym w centrum przyczepię zdjęcie Sabiny, a dookoła jej klientów. Oczywiście tylko tych, którzy zgodzą się na ujawnienie wizerunku. Jednak sądząc po frekwencji na pogrzebie – nikt raczej nie wstydził się tej znajomości.

Zabraliśmy się ostro do pracy, bo chciałam, by przerwa w przyjmowaniu klientów trwała jak najkrócej. Może i byli wyrozumiali, ale też mieli oczekiwania, za spełnienie których płacili. A mój „Kupidyn” musiał działać z klasą.

Po lekcjach przyszedł Kuba z kolegami do pomocy. Zleciłam im mycie okien i ponowne ustawianie mebli. Miło z jego strony, że zmobilizował znajomych, by mi pomóc. Pewnie byli ciekawi, czy jestem normalna, skoro im nagadał bzdur, że zajmuję się magią miłosną.

– Mamo! Zobacz, co znalazłem. Było wciśnięte w siedzisko kanapy. – Kuba podszedł do mnie z plikiem kopert.

Było ich około dwudziestu, wszystkie związane sznurkiem. Rozsupłam węzeł i zaczęłam je przeglądać. Od razu poznałam charakter pisma Sabiny. Była leworęczna i przekrzywiała litery trochę w prawo, a w dodatku robiła ozdobny zawijas przy każdym „y”, „j” i „g”. Przysiadłam na chwilę, oglądając znalezisko. Niektóre koperty wyglądały na bardzo stare, były pożółkłe, gdzieś tam litery były rozmazane. Jakby ktoś nad nimi płakał. W dodatku wszystkie były zaadresowane do jednej osoby: Paweł Morawski, ulica Wilcza 4, Wrocław. Dziwne. Dlaczego Sabina schowała je w kanapie? Dlaczego ich nie wysłała? Odłożyłam koperty na biurko z myślą, że po całym tym remoncie sprawdzę ten temat. Już miałam zarządzić chwilę przerwy, gdy usłyszałam z korytarza głośne

przywitanie:

– Dzień dobry! Czy ja dobrze trafiłem? – żartował Grzegorz.

Wyskoczyłam niczym z procy i wypchnęłam go do kuchni.

– Co ty wyprawiasz? – oburzył się.

– Kuba tu jest. I chłopaki z klasy – szepnęłam konspiracyjnie, nasłuchując, czy wejście Grzegorza nie zaciekawilo jeszcze kogoś z obecnych.

– A co on tu robi?

– Postanowili pomóc, co miałam zrobić?

– To co? Mam przyjść kiedy indziej?

– O nie, musimy pogadać. Poczekaj, mam pomysł! – Uśmiechnęłam się do niego tajemniczo.

– No, chłopaki, może mała przerwa? – Wkroczyłam do gabinetu, pewna, że młodzież ucieszy taka wiadomość.

– Co ty, mam, chcesz Leserować, kiedy jeszcze tyle do zrobienia? – Mój syn pokręcił nosem.

Myślałby kto, że taki z niego pracuś! A może czuł się zobowiązany z powodu imprezy, na którą zgodziłam się bez mrugnięcia okiem?

– Ale może jesteście głodni? – próbowałam ich przekonać.

– Rudy skoczy po kebab. Prawda, Rudy? – Kuba spojrział na kolegę.

– A pewnie, że pójdę. Dla pani też coś wziąć? – zapytał grzecznie.

– Wiesz co? Weź dla każdego po zapiekance i sałatce, czy co tam uznasz za godnego zjedzenia. Tu masz pieniądze. – Wcisnęłam mu do ręki sto złotych.

– Załatwione. Zaraz będzie! – zsalutował i skierował się do wyjścia.

– To może zabierz kolegę, skoro aż tyle tego będzie? Pomoże ci nieść – zaproponowałam, chcąc pozbyć się ich jak najszybciej.

– Pójdę z nim – odezwał się drugi chłopak z kruczoczarnymi włosami.

– Tylko nie bierzcie z tej budki na dole! – zawołałam za nimi.

No przecież! Na dole jest budka z kebabem i wrócą, zanim się obejrzę, a potrzebowałam co najmniej pół godziny!

– Dlaczego? – Rudy wsadził głowę do gabinetu.

– Nie chcesz wiedzieć. – Wywaliłam teatralnie oczami, wkładając palec do ust i udając, że będę wymiotowała.

– Okej, przekonała mnie pani. – Spojrział na mnie przerażony.

– A ty nie zrobisz sobie przerwy, Kubusiu?

Naprawdę musiałam pozbyć się ich wszystkich z biura.

– Nie no, nie zostawię cię tu tak ze wszystkim. – Popukał się w głowę.

– Ale ja mam potrzebę! – warknęłam zniecierpliwiona.

– Słucham?

– Na pocztę trzeba pójść. Przypomniałam sobie. Te listy, co znalazłeś, trzeba koniecznie wysłać. – W ostatniej chwili przypomniałam sobie o listach Sabiny.

– No... Skoro trzeba – zawahał się Kuba.

Odłożył zmiotkę i szufelkę, wytarł ręce w koszulkę i skierował się do biura. Zapakowała mu wszystkie koperty w jedną dużą, zaadresowała i wręczyła. Załatwione.

– Poszli już – szepnęłam do siedzącego za lodówką Grzegorza. – Możesz wyjść.

– Boże, aż się cały spociłem. – Grzegorz wyciągnął chusteczkę i przetarł mokre czoło.

– Ze strachu, że cię tu spotkają? – zdziwiłam się.

– Nie, ta lodówka tak grzeje.

– Dobra, ty mi tu nie pitol, tylko mów, o co chodzi – skarciłam go, sadzając na kanapie w gabinecie – Wybacz, ale nie zaproponuję herbaty, bo Magda spaliła czajnik i jeszcze nie kupiłam nowego.

– Spoko. – Machnął ręką.

– No, ale mówże...

– W zasadzie to nie wiem co – westchnął przeciągle.

– O co chodzi z tą blondynką? – nakierowałam go na właściwe tory.

– No... Podoba mi się. Szalenie mi się podoba. Chodzę za nią jak jakiś głupek. A przecież nie jestem głupkiem, no nie?

– No, chyba nie. – Parsknęłam śmiechem.

– Ej, miałaś mi pomóc! – Pogroził żartobliwie palcem.

– Jeszcze się na nic nie zgodziłam, bo wciąż nie wiem, o co chodzi! – odgryzłam się.

– No przecież wiesz, że chodzi o Polę – zdenerwował się.

– No to wiem, ale na czym polega problem? Dlaczego nie możesz jej po prostu poderwać? Jest zajęta? Bo za zajętych to, wybacz, ja się nie biorę, nawet jako pośrednik.

– Wolna jest.

– No więc?

– No więc... wszystkie moje związki do tej pory rozpadały się prędzej czy później. Albo to ja przestawałem spełniać oczekiwania, albo kobiety były tak irytujące, że przestawałem spełniać oczekiwania, żeby mnie rzuciły. – Zaśmiał się pod nosem.

Typowy facet – tchórz jakich mało.

– Ale żeby tworzyć związek, najpierw trzeba coś zacząć. – Spojrzałam na niego wymownie.

– Tak, tylko to moja koleżanka z pracy. I jak nie wyjdzie, to będzie... trochę niezręcznie – wyjaśnił najprościej jak umiał.

– No dobra. Powiedzmy, że mnie przekonałeś, chociaż nie wiem, czy chcę się w to pakować. Tutaj kojarzy się pary na podstawie ich zeznań, że tak to ujmę.

A ja nic o niej nie wiem, nie mogę nawet określić, czy faktycznie do siebie pasujecie. Wiesz, czym jest miłość platoniczna?

– Kiedy ja naprawdę czuję, że to mogłoby być to! Spójrz na mnie. Nie jestem ani desperatem, ani zboczeńcem, ani psychopata. Normalny ze mnie człowiek z krwi i kości. Dwie ręce, dwie nogi – dywagował Grzegorz.

– Do rzeczy – ponagliłam.

– Przy niej czuję się inaczej. Lubię siebie. Może nie mamy zbyt wiele okazji, żeby rozmawiać o czymś innym jak sprawy zawodowe, ale nawet gdy mówimy o ocenach lub uczniach, to chcę się do niej uśmiechać, chcę jej słuchać. Zgadza się w wielu kwestiach, rozumiemy się!

Zaraz zwymiotuję...

– Wpadłeś po uszy, chłopie. Tylko nie wiem, po co ci „Kupidyn”, skoro już jesteś w sieci. – Pokręciłam z niedowierzaniem głową. – Dobra, czego ode mnie oczekujesz?

– Naucz mnie być z kobietą! – Wywalił kawę na ławę.

– Łooo! – oburzyłam się. – To nie ten lokal.

– Oj, nie w takim sensie! – Przewrócił oczami. – Powiedz mi, jak ją podejść, jak zainteresować, jak zdobyć jej serce.

– Ale wiesz, że nie możesz udawać kogoś innego, by się jej przypodobać? To nie ma sensu. Jeśli nie zaakceptuje cię takim, jakim jesteś, to nic z tego nie będzie. Chcesz całe życie udawać kogoś innego?

Ten pomysł mi się nie podobał. Ani trochę mi się nie podobał.

– To skupmy się na tym, co nas łączy lub co może nas połączyć. Oboje jesteśmy nauczycielami, to już coś. Z jakichś pobudek wybraliśmy tę profesję, oboje chcemy spełniać misję – próbował mnie przekabacić.

– Kumam, ale nie będę ukrywała, że mi się to nie podoba.

– Spróbujmy, proszę!

O, kolejny, który umie robić oczy kota ze Shreka. Ten świat schodzi na psy. To znaczy na koty.

– Dobra, Alvaro, niech ci będzie! – Uniosłam ręce do góry. – Poddaję się, jestem za miękka.

– Jesteś wspianiała! A teraz uciekam, zadzwonię.

Puch! I znikł. Grzegorz, nie problem. Czy ja dobrze robię, że się w to pakuję? Pewnie to pytanie już nie ma sensu, bo słowo się rzekło. Trochę ta misja odbiega od standardów „Kupidyna” i widzę, że facet już jest zakochany po uszy. Jeden niewłaściwy ruch i jak podczas operacji na otwartym sercu – operacja się nie udała, pacjent zmarł.

Tego wieczoru siedziałam na kanapie w już swoim gabinecie i rozglądałam się dookoła. Panowie odwalili kawał dobrej roboty. Magda upiekła tort i kupiła czerwoną wstążkę, którą trzymali z Romanem w drzwiach, a ja uroczyście ją

przecięłam, rozpoczynając tym samym nowy rozdział w życiu.

– Jestem z ciebie dumny, córeczko – szepnął mi wzruszony tata.

Zaskoczyła mnie jego obecność, wsparcie, a jego słowa wywołały potok łez.

– Przestań, bo mi się makijaż rozmaże! – mruknęłam, pociągając nosem. – Szkoda, że mama nie przyszła – dodałam z żalem.

– Mama musi dojrzeć. Przyjdzie, kiedy minie jej żałoba.

– Ale tato! Wszystko, co robię, robię po to, by być szczęśliwą – zaczęłam tłumaczyć.

– Ja to wiem, ty to wiesz, ona też to w końcu zrozumie. Martwi się o ciebie i tyle. Sama widziała Andrzeja z tą młodą na mieście, jeszcze zanim się rozstaliście.

– I nic mi nie powiedziała? – oburzyłam się.

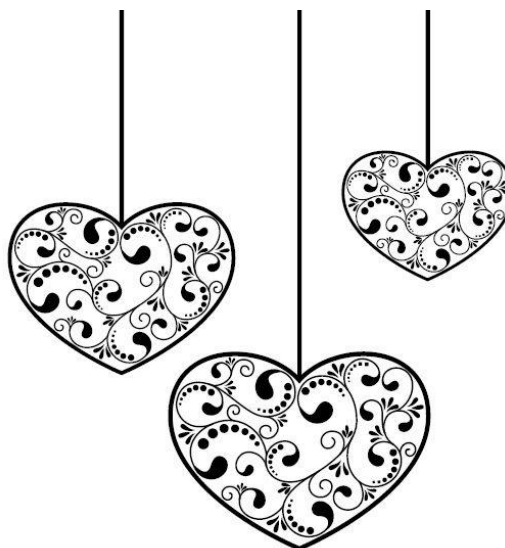
– Matka i jej zasady. Zamydlić, zamieść pod dywan, zapomnieć. Jeszcze się dogadacie – pocieszył mnie na pożegnanie.

No i zostałam sama. Roman pojechał po dzieci do mamy. Magda pognęła do domu, by zrobić kolację. Tata wrócił do mamy i pewnie właśnie zdawał jej całą relację z tego, co się tu działo. Kuba z kolei umówił się do kina z Doti. Chyba muszę przyjrzeć się bliżej tej dziewczynie, bo wygląda na to, że to coś poważnego. Chciałabym być zawsze najważniejszą kobietą w życiu mojego syna, ale spójrzmy prawdzie w oczy – już dawno nią nie jestem. To młody mężczyzna. Może jeszcze niepełnoletni, ale już logicznie myślący i samodzielny. A ja na pewno nie utrzymam z nim długich i dobrych relacji, jeśli będę mu co i rusz ciosać kołki na głowie. Chyba trzeba mu zaufać. Albo zaufać sobie, że się go wychowało na rozsądnego i odpowiedzialnego człowieka.

Nie to, żeby wcześniej nie było tu ładnie, ale teraz w „Kupidynie” było naprawdę tak przyjemnie, że miałam ochotę wręcz tu zamieszkać! I, kurde, cieszyłam się jak dziecko, że jednak namówili mnie, żebym przejęła interes. Może i miałam sporo obaw, może nie obrastałam w piórka... Ale chciałam. Chciałam!

Jakie to strasznie głupie. Człowiek całe życie siedzi w ciemności, a tu masz! Jedno wyjście z mroku i już się rękami i nogami broni, by tam nie wracać. Magda pewnie znów by mi powtórzyła, że to przeznaczenie. Jeżeli nawet, to dobrze, że nie upatrzyło sobie innej ofiary, tylko wybrało mnie.

Taka moja rzeczywistość.



– Biuro matrymonialne „Kupidyn w spódnicy”, w czym mogę pomóc? – kolejnego dnia firma ruszyła z kopyta.

Rozdzwoniły się telefony, skrzynka zapchała się od maili, a ja byłam w swoim żywiole.

– No, co ty się wygłupiasz? – Usłyszałam po drugiej stronie głos Andrzeja.

– A, to ty – westchnęłam. – Dzwonisz na służbowy, to i cię witam służbowo – dodałam twardo.

Nie ma już Wandy, Wandeczki, głupiutkiej, naiwnej, co ją Jedrus chronił przed rzekomym złem całego świata. Jest Wanda, niestety wciąż Guzik, bo zmiana wszystkich dokumentów była po prostu zbyt kosztowna i pracochłonna, ale za to nowa – zaradna, przedsiębiorcza, kreatywna i przebojowa. I jeszcze bardzo szczęśliwa.

– Dzwonię na służbowy, bo w służbowej sprawie – gderał mój eks. – Kiedy mogę przyjechać?

– Ty mówisz poważnie? – oburzyłam się. – Nie będę szukać ci nowej cizi.

– Ale alarmy to byś chciała mieć, nie? – odgryzł się gorzko.

– Zapłacę, stać mnie. Chyba nie myślisz, że w zamian za założenie głupiego alarmu zrujnuję życie jakiejś poczciwej kobiecie!

– Kobieto, ale mnie właśnie o to chodzi, że chcę przyjechać zamontować ten

głupi alarm. Dobra, nieważne. Przyślę pracownika jutro rano – stwierdził zrezygnowany.

– O nie, nie! Żadnych pracowników. Nie będzie mi tu odwalał popeliny jeden z drugim. Ty wiesz, że oni wykręcają najdroższe części i zamieniają na tańsze?

– Wiem. I co mam na to poradzić? Trudno w dzisiejszych czasach o dobrego pracownika. Ty się strasznie cwana zrobiłaś.

– Zawsze taka byłam, tylko w tych domowych pieleszach nie było jak się wykazać. Kręci cię to? – zaśmiałam się złośliwie.

– Gdybyś to nie była ty, to może dałbym się jeszcze nabrać. Będę jutro, na razie – mruknął i rozłączył się.

Chyba powoli zaczynaliśmy się dogadywać. Najwyższy czas. Nasz syn potrzebował obojga rodziców i dobrze byłoby jednak żyć w jakiejś komitywie. Jeśli Kuba był cwany po mnie i chciwy po Andrzeju, to mógł za bardzo wykorzystywać swoją ciężką sytuację dziecka z rozbitej rodziny. No dobra, przesadzam. Po prostu fajnie byłoby, gdyby jednak kolejne urodziny wyprawiał w formie jednej imprezy i mógł zaprosić oboje rodziców, bez wizji fochów, awantur i przepychanek.

Zapisałam sobie w kalendarzu wizytę Andrzeja. Zapomniałam, że akurat jutro rano ma przyjść Grzegorz, ale cóż – nie obiecywałam Andrzejowi, że będę go zabawiać w trakcie, gdy tak właściwie będzie w pracy. Więc wszystko jasne. Było tylko się z Kubą potem nie zgadał, że nakrył mnie z jego wychowawcą ze szkoły. Chociaż wątpię. Jak znam życie, Andrzej nawet nie wie, gdzie znajduje się liceum naszego syna.

Dzień był dość intensywny. Odwiedził mnie pan Gustaw. Dzięki Bogu, że miałam zieloną herbatę, jak to określił: „plujkę”, czyli z fusami. Aż głupio mi było, bo trochę wypytywałam go o Sabinę – w końcu znał ją najdłużej ze wszystkich. Także i ja – mimo wielu zmian – chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o kobiecie, która ofiarowała mi nowe życie. Musiałam też trochę wyczuć samego pana Gustawa w kwestii pożądanej partnerki. A wcale nie było to łatwe! Myślałam, że analiza wcześniejszych związków coś mi wyjaśni, ale każda jego kolejna żona była inna od poprzedniej.

– Moje dziecko, serce nie sługa. Być może wy, młodzi, macie jakieś tam aspiracje, że ma być blondyn czy brunet, ale ja? Przecież w tym wieku już się seksów nie uprawia... – Stuknął głośno laską w podłogę, aż podskoczyłam na fotelu.

– Ale oko chyba miło pocieszyć. Miło? – zapytałam.

– Mi to się oko cieszy z samego faktu, że jeszcze ten świat oglądam. Nie szukam ani pięknej, ani gospodarnej, gderającej tym bardziej. Chcę mieć kompana w te ostatnie chwile. Wolnego jak ja. Kompana w spódnicy oczywiście. Bo ja,

moje dziecko, oczu mam tylko parę, a kobiety zupełnie inaczej widzą świat i zawsze coś ci jeszcze o nim ciekawego opowiedzą – rozmarzył się, a ja z nim. – Nie musisz się spieszyć, ja poczekam. – Poklepał mnie po dłoni.

– Przeznaczenie – westchnęłam.

– O tak, to!

Jak słowo daję! Wszyscy mówią mi o tym przeznaczeniu, jakby chcieli mnie zapisać do jakiejś sekty!

Ale w wykonaniu dziewięćdziesięcioletniego Gustawa to było tak zacne i wzruszające, że już prawie się nabrałam. I ten jego tekst, by się nie spieszyć, wypowiedany z szelmowskim uśmiechem. Jakby chciał utrzyć losowi nosa i tym razem umrzeć pierwszy, ale dopiero po poznaniu kolejnej miłości swojego życia.

Tfu, co ja bredzę! No, ale wzruszył mnie. Powoli uświadamiałam sobie, jak wyjątkowa jest ta praca. Każdy był inny, niósł ze sobą jakiś bagaż. Tu nie chodziło o zestawienia cech, jakieś matematyczne triki czy rzucanie do tarczy. Chodziło o życie.

I znów wpadałam w zachwyty nad geniuszem profesji, której miałam się dopiero nauczyć. A robota czekała. Zadzwoiłam do Tamary, ale chyba nie mogła rozmawiać, bo znów zaczęła się nerwowo jąkać. Napisała mi tylko esemesa, że spotkanie aktualne. Dobrze, że dalej szuka, ale szkoda, że jeszcze nie znalazła. Póki co wszystko się układało. Dziś był Gustaw, jutro przyjdzie Grzegorz, a pojutrze Tamara. Małymi kroczkami i do przodu. Muszę jeszcze pomyśleć o jakiejś imprezie integracyjnej. Być może stypa nie była dobrą okazją, ale towarzystwo zdało egzamin. Rozmawiali, wymieniali się informacjami, radzili, pocieszali. Można by spróbować przenieść to na płaszczyznę czysto towarzyską. Zrobić jakiś bal na Andrzejki. Wiem, bal singla!

Na sam koniec zadzwonił jeszcze jeden nowy klient i niemal od razu wiedziałam, którą kandydatkę przedstawię mu jako pierwszą. Na razie nic wam nie powiem. No, może tyle, że umówiłam się z nim na pojutrze i czułam, że będzie dobrze.

Dyżur w biurze dobiegł końca, ale ja wcale nie wybierałam się do domu. Miałam ambitny plan, by nadgonić trochę wpisywanie danych do komputera. Na tej tonie papierysk wiecznie gromadziła się tona kurzu, a i znaleźć coś czasem trudno. A tak wszystko wklepię, a Kuba obiecał mi zrobić kopię zapasową w jakiejś chmurze. Ponoć bezpieczne – czymkolwiek była ta chmura.

Właśnie szukałam czegoś w szafce, gdy moje spojrzenie padło na pięknie zawinięte kanapki. Dzień minął mi tak intensywnie, że nie zdążyłam nic zjeść. Myślałby kto, że ruch u mnie jak na dworcu!

Zaparzyłam sobie herbaty i już miałam z rozkoszą wgryźć się z pyszną kanapeczkę, gdy zadzwonił telefon. Zawahałam się, widząc na wyświetlaczu numer Magdy. Pewnie tak się rozgada, że moja herbata wystygnie, a kanapki

szcerstwieją. Z drugiej strony... Wiele jej ostatnio zawdzięczałam.

– No co tam, siostra?

– Ciociu? To ja. – Usłyszałam po drugiej stronie szept mojej siostrzenicy.

– Kalina? Mama wie, że do mnie dzwonisz? – zapytałam kontrolnie.

Kalinka często podbierała Magdzie telefon, by się pobawić, a potem ta miała horrendalne rachunki do zapłacenia.

– Nie wie, ale to właśnie o mamę chodzi – odpowiedziała konspiracyjnie Kalina.

– Znów mam ją przekonać, by pozwoliła ci nocować u jakiejś koleżanki? – zapytałam ze śmiechem. – Ona w końcu zorientuje się, że spiskujemy, i obie dostaniemy po uszach!

– Mama nie wie, że do ciebie dzwonię, i lepiej, żeby nie wiedziała, ale potrzebujemy twojej pomocy, ciociu. – Kalina zdawała się nie mieć tak dobrego humoru jak ja.

– O co chodzi, kochanie? Zaczynam się martwić.

– Mama z tatą pokłócili się rano. Tata powiedział, że po pracy jedzie do babci i będzie tam spał. A mama od rana chodzi i płacze po kątach. Udaje przed nami, że wszystko w porządku, ale przecież widzę, że płacze! – pożałowała się Kalinka.

– Ojej, brzmi poważnie. A gdzie jest teraz mama? – zaniepokoiłam się.

– Zamknęła się w łazience. Powiedziała, że będzie robić pranie, ale słyszę przez drzwi, że szłocha.

– Zamknęła się w łazience i zostawiła was samych? – zapytałam zaskoczona. To było zupełnie nie w stylu Magdy.

– Chłopcy śpią, a ja mam ją zawołać, gdy się obudzą. Ciociu, przyjedziesz? – poprosiła.

– Oczywiście, kochanie, zaraz będę.

– Tylko proszę, nie mów mamie, że do ciebie dzwoniłam.

– Jasne, możesz być spokojna. Dobrze, że zadzwoniłaś, Kalinko. Wszystko będzie dobrze – próbowałam ją pocieszyć.

Wyłączyłam w pośpiechu komputer, zgarnęłam cały bałagan do szuflady, złapałam płaszcz i już mnie nie było. Biegnąc po schodach, zadzwoniłam po taksówkę. Nie minęły dwie minuty, jak instruowałam kierowcę gdzie i jak szybko ma jechać.

– Może trzeba było po straż dzwonić? Spieszy się pani jak do pożaru – próbował żartować taksjusz.

To jakiś taksówkowy żargon? Ostatnio taksówkarz kpł podobnie. Tylko tamten to był jakiś gbur, a ten ciepło, serdecznie i z żartem.

Mnie jednak nie było do śmiechu. Co tam się porobiło u nich? Magda od zawsze była nad wyraz gadatliwa. Wiedziałam, że często spiera się z Romanem.

Takie z nich dwa choleryki. Kilka razy zagadywałam ją, czy wszystko w porządku, ale machała tylko lekceważąco ręką i komentowała ze śmiechem:

– On to mnie musi od rana czymś wkurzyć, żeby wieczorem miał więcej werwy przy przeprosinach.

No tak, wszystko wokół seksu. Swoją drogą... Przy ich trybie życia i ilości pracy to aż dziw, że jeszcze mieli siłę na cokolwiek.

Dziesięć minut później Kalinka wpuszczała mnie po cichu do mieszkania. Jeszcze z taksówki zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że zapukam cicho pięć razy, żeby miała pewność, że to ja, i nie wpuściła do domu jakiegoś zbira. Magda wychowywała dzieci z odrobiną luzu i fantazji, ale w takich sprawach była bezwzględnie surowa.

– Dalej pierze? – zapytałam konspiracyjnie na wypadek gdyby ktoś miał nas usłyszeć.

Dziewczynka skinęła głową.

– Zrobić cioci herbaty? – zapytała uprzejmie.

– Dziękuję, kochanie, świetnie się spisałaś. Może pójdziesz teraz do swojego pokoju się pobawić?

– Będiesz z nią rozmawiać i nie chcesz, żebym słyszała? – zapytała zawiedziona Kalinka.

– Nie gniewaj się, kochanie. Po prostu nie wiem, o co poszło, a mama przy tobie może nie chce gadać. Obie chcemy jej pomóc, prawda? – tłumaczyłam.

– Tata powiedział, że poznał u ciebie jakieś inne panie i że już nie chce być z mamą – powiedziała zawiedziona dziesięciolatka.

– Co?! – Wybałuszyłam oczy. – U mnie?

– Kalinko, z kim ty tam rozmawiasz? – Usłyszałam z wnętrza mieszkania łamiący się głos mojej siostry.

– No, zmykaj. Zostaw to mnie. – Pchnęłam małą do pokoju i upewniwszy się, że zamknęła za sobą drzwi, ściągnęłam buty i skierowałam się do łazienki.

– Co ty tu robisz? – zapytała obrażona Magda

Wcale nie wydawała się zaskoczona moją wizytą. Czyżby Kalinka jednak jej powiedziała, że poprosiła mnie o pomoc?

– A wiesz, przejeżdżałam niedaleko i pomyślałam, że cię odwiedzę – zagaiłam niepewnie.

– Serio? – Popatrzyła na mnie wymownie. – Nie wierzę! Roman u ciebie był? – Pokręciła z niezadowoleniem głową.

– Po co? – zdziwiłam się.

– Już nie udawaj! Mówił mi, że poznał u ciebie jakąś laskę.

– Słucham?! –

Albo oboje mnie wkręcali, albo ostatnimi czasy piłam zdecydowanie za dużo.

– A ja ci tak doradzałam wzięcie tej firmy. – Magda rozplakała się rzewnie.

– Nie mam pojęcia, o czym ty w ogóle mówisz! – Patrzyłam na nią, jakby zwracała się do mnie w zupełnie obcym języku. – Chodź, nie będziemy tak stać w drzwiach łazienki. Zrobimy sobie herbaty i wszystko mi opowiesz. – Zdecydowałam pociągnąć oporną siostrę w stronę kuchni.

Kilka minut później chodziłam po ich salonie w tę i z powrotem, wyklinając mojego szwagra i ziemię, po której stapał.

– Co za idiota! Imbecyl! Kretyn! Co on sobie wyobraża?!

– Spokojnie, siostra. Wiesz... Może on ma trochę racji? – zmartwiła się Magda.

– On nie ma za grosz racji! – wrzasnęłam. – I myśmy obie go pchnęły w paszczę tego lwa. – Pokiwałam głową zrezygnowana.

– Skąd mogłyśmy wiedzieć, że zamiast malować biuro, będzie przeglądał akta twoich klientek? – Nie mogłam uwierzyć, że Magda próbowała tak spokojnie tłumaczyć swojego męża. – Może mu czegoś brakuje, skoro szukał.

– Tak, brakuje mu. Piątej klepki! – perorowałam zajadle. – Jaki facet psuje coś, co jest tak idealne?

– Może nie jest...

– Magda! Sorry, że to mówię, ale nie dla psa kiełbasa! – Popukałam się w głowę. – Moje klientki to porządne kobiety!

– A ja nie jestem porządna? – zapytała zaskoczona.

– Ty jesteś właśnie bardzo porządna. Tak porządna, że on nie ma powodu, by cię zostawić! Przepraszam cię na chwilę, bo aż mi się zachciało siku z tego wszystkiego. – Odwróciłam się na pięcie i po chwili zamknęłam w łazience, puszcżając strumień wody dla zagłuszenia tego, co planowałam zrobić.

– Słucham. – Usłyszałam przeciągłe pytanie po drugiej stronie telefonu.

– A słuchaj, słuchaj! Bo nie będę się powtarzać! – warknęłam Romanowi do słuchawki. – Zbierzesz tę swoją owłosioną dupę od mamusi, po drodze kupisz kwiaty oraz wino i widzę cię tu za pół godziny, jak błagasz Magdę o wybaczenie. Na kolanach! – cedziłam przez zęby.

– Ale o co ci chodzi? – oburzył się.

– O co mi chodzi? O ten tramwaj, co nie chodzi! Czy ty kompletnie zwariowałaś, człowieku?! Masz cudowną kobietę, wspaniałą rodzinę, piękny dom. Czego ty chcesz? Odmiany ci się zachciało? Jak ci się zachciało odmiany, to się ogól na łyso!

Może to nie było profesjonalne podejście do klienta – nawet tego niespodziewanego – ale są sytuacje, kiedy inaczej po prostu się nie da.

Magda i Roman od zawsze byli dla mnie wzorową parą. Różnie się układało, bo i kłopotów trochę było, ale zawsze się wspierali i wpatrzeni byli w siebie niczym nastolatki. A tu nagle ciekawość Romana ogarnęła, jakby to było z kimś

innym. O nie!

– No dobra, może trochę przesadziłem. – Szwagier wyraźnie się przestraszył.

– Jak nie zrobisz tego, co każe, jutro rano zgłaszam na policji, że bezprawnie grzebałeś w aktach moich klientów – dodałam srogo.

– Okej, okej! Już jadę!

– Kwiaty, wino i na kolana! – wydałam dyspozycję. – W sobotę zostanę z dziećmi, a wy możecie sobie do kina pójść czy do restauracji – dodałam nieco łagodniej.

Chyba dotarło do mnie, że Magda i Roman mieli prawo czuć się czasem po prostu trochę przytłoczeni. Oni w ogóle nie mieli czasu tylko dla siebie! Tak żeby posiedzieć bez myślenia, że dzieci będą zaraz głodne, czy że trzeba ubrania na zimę im kupić. Matka Romana jest jeszcze aktywna zawodowo, więc za dużo im nie pomoże. Nasza twierdzi, że dzieci miała swoje i jakby chciała mieć jeszcze, to by jakieś adoptowała, a skoro tego nie zrobiła, to znaczy, że ma już dość. Oczywiście spotykają się na urodzinach, świętach i czasem na niedzielnym obiedzie, ale o stałym piastowaniu wnuków po prostu nie ma mowy. No i ja też trochę dałam plamę. W końcu rękami i nogami broniłam się przed tą hałaśliwą gromadką. A dla dobra sprawy powinnam czasem trochę wyluzować.

– Gdzie ja ci znajdę kwiaty o tej porze? – Z rozmyślań wyrwał mnie głos szwagra.

– Nie wiem i nie interesuje mnie to. Możesz iść na cmentarz i ukraść jakiś wiecheć. Masz tu być za pół godziny, bo inaczej...

– Dobra, dobra. Będę – mruknął i rozłączył się.

Wzięłam głęboki oddech i wyszłam z łazienki. Jedna sprawa załatwiona, teraz czas na drugą.

– Uważam, że powinnaś wyjść z domu – zwróciłam się do Magdy, która przewijała Olka na kanapie.

– Teraz? A jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytała zaskoczona.

– Nie teraz, tylko w ogóle – wyjaśniłam.

– A w ogóle jak ty to sobie wyobrażasz? – poprawiła się Magda.

– Maluchy już mają skończone siedem miesięcy. Poszukaj im niani albo popytaj o miejsca w żłobku.

– Przecież mnie na to nie stać! – Magda popukała się w głowę.

– Nie stać cię, bo nie pracujesz. A jak będziesz miała dla nich opiekę, będziesz mogła podjąć pracę. Choćby na pół etatu, bylebyś wyszła z domu. Do świata, do ludzi. Zmienić klimat, nauczyć się czegoś, odpocząć od pieluch. – Staralam się być jak najbardziej przekonująca.

Dotarło do mnie, że mnie właśnie to wyjście na wolność pokazało, jaki świat jest fajny. Zaczęłam oddychać swobodniej. Mieć swoje sprawy, swoje życie. Patrzyć na swoje potrzeby, spełniać swoje zachcianki. Może mi było łatwiej. Kuba

był już odchowany, ale Magdzie pomogę. Muszę jej pomóc. Ona nie może tkwić w tym domowym marazmie.

– Ja? Do pracy? – Magda się zaśmiała. – A kto mnie zatrudni? Napiszesz mi referencje? – zażartowała, wspominając pisanie referencji dla mnie.

– To niegłupi pomysł, ale mam lepszy. Powiedzmy, że przydałaby mi się pomoc w „Kupidynie”. No co jak co, ale to ty namawiałaś mnie do przejęcia tej firmy. Teraz pij ze mną to rozlane mleko. – Popatrzyłam na nią znacząco.

– Ale co z domem? Gotowanie? Sprzątanie? Pranie? – Magda nie dawała się przekonać.

Znałam takie jak ona aż za dobrze. Zasiedziała się w domu i po prostu bała się zmian. Kiedyś tam pracowała, ale dawno i raczej dorywczo. Potem trochę sprzątała w biurze u Andrzeja, ale co to było? Dwa razy w tygodniu po trzy godziny? I to bardziej by dorobić niż pracować, bo aspiracje to Magda miała zdecydowanie większe. A tak Andrzej ją zatrudnił, składki płacił i potem, gdy zaszła w ciążę z bliźniakami, to nawet jej się jakieś świadczenia należały przez jakiś czas. Prawda jest jednak taka, że wszystko poszło do przodu, a Magda stała w miejscu. Czyli się cofała.

– Sprzątać codziennie nie musisz. Wybacz szczerowość, ale i tak nie widać, że sprzątasz, bo dzieci co chwilę coś wyleją, wysypią i od nowa jest brudno. Zresztą czytałam, że chowanie potomstwa w sterylnych warunkach jest niebezpieczne. Gotować będziesz w sobotę i niedzielę z lekkim zapasem, by na tydzień coś zostało, a raz w tygodniu możecie na przykład jeść na mieście. Roman je w pracy, Kalina w szkole. Ile ty potrzebujesz dla siebie i bliźniaków? Pranie robi pralka, a jak je wywieszisz starannie, to prasować nie będzie trzeba – przekonywałam ją.

– I naprawdę kogoś potrzebujesz? – zdziwiła się.

– Naprawdę! – Położyłam rękę na sercu jakbym miała przysięgać. – Tylko będziesz musiała być dyskretna. – Pogroziłam jej palcem.

– Obiecuję! – Magda rozpogodziła się i rzuciła mi się na szyję. – Dziękuję!

W tej chwili usłyszałam brzdęk kluczy w zamku i zaczęłam pospiesznie zbierać swoje rzeczy.

– Muszę już lecieć, zrobiło się strasznie późno.

Złapałam swój płaszcz i zmierzyłam wzrokiem Romana, który stał w przedpokoju z wielkim kaktusem.

– Jezu, innych nie było? – Wywaliłam oczami.

– Ukradłem z parapetu w szpitalu. Zatrzymałem się specjalnie po drodze, bo z cmentarza było mi głupio – szepnął Roman.

Zaśmiałam się pod nosem. Miejmy nadzieję, że Magda doceni ten gest. A jak nie to przynajmniej rzuci w męża kaktusem i będzie miał za swoje.

– Pamiętaj o sobocie. Mówiłam serio – rzuciłam na odchodne. – Powodzenia.

I już mnie nie było. Niech się dzieje wola nieba, jak to mówią. No, nie mogłam zostać i negocjować między nimi. Oni za długo są razem, żeby potrzebowali mediatora. A ze mnie to jeszcze żaden specjalista. Dogadają się, jestem tego pewna. Może umiejętności mi jeszcze brakuje, ale intuicja dotąd mnie nie zawiodła.

Wróciłam do domu i opadłam zmęczona na kanapę. To był dzień pełen wrażeń. Przydałby mi się jakiś facet, co by mi kaptcie przyniósł i herbatę, kolację oraz ciepłą kąpiel przygotował. A z drugiej strony z tymi facetami to wciąż jakieś problemy. Czasem więcej szkody niż pożytku. Jak na zawołanie z pokoju wynurzył się mój syn.

– Mamo, czego pragną kobiety? – zapytał, siadając koło mnie na kanapie.

– No nie, ty też? – jęknęłam z zawodem.

– Ale że co? – zdziwił się.

– Ach, nic. Miałam po prostu ciężki dzień. I pragnę gorącej kąpieli i chwili odpoczynku.

– Da się zrobić, ale odpowiedz mi na pytanie – poprosił.

Z jednej strony to fajnie, że przychodzi do mnie z takimi tematami, ale dlaczego akurat dziś? Teraz?

– Pokłóciłeś się z Doti? – zaciekałam się.

– Powiedzmy – zmarkotniał. – Powiedziała, że jest gruba, a ja powiedziałem, że jeśli jej to przeszkadza, to niech coś z tym zrobi, i była chryja. Wie, że podoba mi się taka, jaka jest. Co więcej, wcale nie uważam, że jest gruba, też jej to mówiłem. Ale skoro ma być nieszczęśliwa... – Wzruszył ramionami.

– Typowy błąd nowicjusza – westchnęłam ciężko.

– W sensie?

– Nieważne. Odpowiadając na twoje pytanie: kobiety mają taką naturę, że same walczą i zdobywają to, czego pragną. Nie zawsze własną pracą, czasem przebiegłością, ale jednak.

– Nie rozumiem.

– Doti pragnie akceptacji z twojej strony i ma ją, bo zapewniasz ją, że wygląda okej. Ale chce mieć też szczerego faceta i to też ma, bo powiedziałaś, co powiedziałaś. Jak to mówią: uważaj, o czym marzysz, bo to może się spełnić.

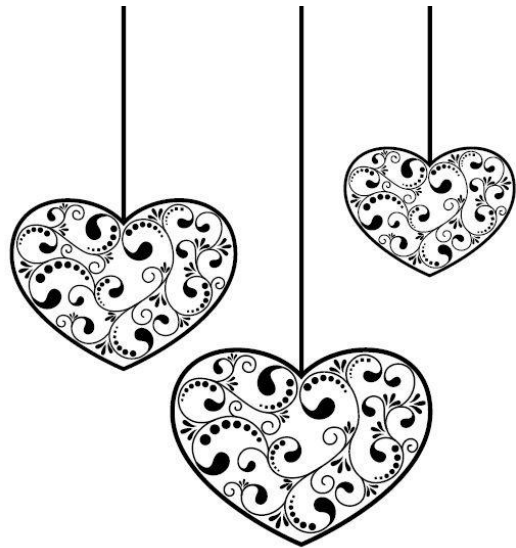
– To co ja mam teraz zrobić?

– Bądź sobą, synu. Kobiety nie lubią ciamajd, które przytakują w ich takt. – Poczochrałam go po głowie.

– Ale z tego wychodzi, że faceci to pantoflarze. Bo albo kobieta sama działa, by coś mieć, albo manipuluje nami, by nasze zachowanie dało jej to, co chce otrzymać. Tak czy siak ona ma co chce...

– Szybko się uczysz! – Zaśmiałam się. – I szybko dorastasz. Nawet za szybko...

- To co? Zrobić ci tę kąpiel? – zapytał.
- Zgodnie z tym, co wypłynęło w rozmowie, poproszę. – Parsknęłam.



– Hola, hola, hola. Grzesiu, stop! – Następnego dnia już od otwarcia walczyłam z Grzegorzem. – Wszystko co mówisz o Poli strasznie mnie rozczuła, ale nie zbudujemy planu podbicia jej serca na tych smętnych opowieściach. Już wiem, że jest słodka, ma miły głos i miękną ci przy niej nogi. Co innego ci pewnie twardnieje, przyznaj się – zażartowałam.

– Nie będę z tobą o tym rozmawiał! – oburzył się zawstydzony.

– A właśnie powinieneś! – odbiłam piłeczkę. – Jeżeli mam sprawdzić, czy do siebie pasujecie, muszę znać wszystkie aspekty życiowe. Choćbyście byli pokrewnymi duszami emocjonalnie, zawodowo, umysłowo, to bez chemii nie będzie miłości – wyjaśniłam.

– Zostawmy to może na później, co? – jęknął.

– Dobra, ale marnie widzę twoje uwodzicielskie zaloty w praktyce, skoro nawet nie chcesz omówić teorii – drążyłam.

– Wiesz, myślę, że ona ma bardziej konserwatywne podejście do życia i taka wiedza nie będzie mi potrzebna. Przynajmniej nie przez pięć pierwszych randek – upierał się.

– Dobra, poddaję się. Ustalmy więc jakieś fakty i zacznijmy działać. Powiedz mi o niej coś, co będę mogła jakoś wykorzystać. Co lubi? Jak spędza wolny czas? Z kim się przyjaźni? – Wyciągnęłam notes i przygotowałam się do

robienia notatek.

– Czy to konieczne? – Wskazał zaniepokojony na mój zeszyt.

– Zaczynam żałować, że się na to zdecydowałam – burknęłam obrażona i wrzuciłam rzeczy do szuflady. – Zabawmy się inaczej. To nie jest biuro matrymonialne, a ja nie jestem żadnym pieprzonym Kupidynem. Jestem twoją koleżanką, siostrą, kuzynką, sąsiadką, a ty po prostu mi się zwierzasz i prosisz o radę, okej?

Przytaknął lekko uspokojony, poprawił się na krześle i westchnął głośno.

– Ale to głupie.

– Na Boga, powiedz cokolwiek! – warknęłam.

– Mieszka sama. To znaczy... ma psa – wydusił w końcu, czując, że już się nie wymiga.

– Okej. Czyli jednak coś wiesz! – Przyklasnęłam z uznaniem. – Mam nadzieję, że nie widziała, jak ją śledziłeś.

– Żartujesz?! Wojtek, nasz szkolny informatyk, pomagał jej w przeprowadzce, bo mieszkają w tym samym bloku – wyjaśnił spokojnie.

– A ten Wojtek to kto? Wolny, przystojny?

– Szukamy kogoś dla mnie czy dla ciebie? – poirytował się.

– Hej, on może też cholewki smalić do tej twojej Poli! – skarciłam go.

– Wojtek to Wojtek. Nic, co nie z bitów, bajtów czy pikseli, go nie rusza. – Zaśmiał się pod nosem.

– Informatyk, tak? – upewniłam się.

– Rasowy, z powołaniem – przytaknął.

– Przekonałeś mnie. Co z tą Polą? – zmieniłam temat, bo wszystko zaczynało się znów niebezpiecznie rozwlekać.

– Bardzo lubi kino. Nigdy tego nie poruszaliśmy, ale kiedy rozmawiamy o czymkolwiek innym, często odpowiada mi cytatami z różnych filmów. – Grzegorz w końcu załapał, o co mi chodzi, i zaczął wyrzucać z siebie informacje na temat obiektu westchnień. – Jest uczulona na orzeszki ziemne. To akurat mi mówiła. O, i bardzo lubi bransoletki. Ma ich chyba kilkaset, bo każdego dnia nosi inną. Ma takie drobne, piękne dłonie – rozmarzył się.

– Tylko nie zaczynaj! – Pogroziłam mu palcem. – Okej, dobra robota. Mamy jakiś początek. Kino, orzeszki i bransoletki. Teraz trzeba pomyśleć, co z tym zrobić. – Podrapałam się po głowie.

Najprościej byłoby zaprosić ją do kina, zamiast orzeszków kupić popcorn, a na dobranoc obdarować bransoletką. To takie banalne.

– Słuchaj, a może poprosiłbyś ją o pomoc? Tak, to świetny plan!

– Ja? Facet z krwi i kości ma udawać niedołęznego i bezradnego i prosić o pomoc? I to jeszcze ma jej zaimponować? – Grzegorz nie dowierzał.

– Od razu tam bezradnego... Po prostu zagubionego w babskich sprawach.

Uwierz mi, kobiety uwielbiają, gdy mogą popisać się w tej kwestii. Zrobimy tak. Najpierw poprosisz ją o pomoc w kwestii bransoletki. Wymyśl coś, nie wiem. Że siostra, mama czy kuzynka ma urodziny, chcesz koniecznie kupić bransoletkę i poproś, by pomogła ci wybrać.

– A jeśli się nie zgodzi? – zawahał się.

– Zgodzi się – przekonywałam. – Jak będzie się wykręcać, powiesz, że osoba, którą chcesz obdarować tą biżuterią, ma tak samo delikatne dłonie i koniecznie musisz mieć ze sobą kogoś, kto przymierzy bransoletkę przed zakupem. Nie będzie miała wyjścia.

– Niezła jesteś! – ucieszył się Grzegorz.

– A potem w ramach podziękowań zaprosisz ją do kina. Proszę, tu są dwa bilety – oznajmiłam uradowana i wyciągnęłam z torby bilety, które zakupiłam rano dla Magdy i Romana.

Wracając z pracy jeszcze raz pojedę do kina i kupię nowe, te były mi teraz niezbędne w pracy.

– I przygotowana na każdą ewentualność. – Grzegorz cmoknął z podziwem.

– To profesjonalne biuro, a nie jakaś podrzędna buda! – Zaśmiałam się.

Po chwili oboje usłyszeliśmy w korytarzu jakiś hałas.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał zdziwiony.

– Nie. I tak po prawdzie wydawało mi się, że zamknęłam drzwi na klucz od środka – szepnęłam, rozglądając się za czymś ciężkim, czym będę mogła bronić się przed oprawcą, który wtargnął do biura. Grzegorz zrozumiał moją intencję, chwycił wielki wazon stojący w rogu pokoju i zaczął się za drzwiami. Nagle drzwi się otworzyły i weszła jakaś zakapturzona postać. Grzegorz zamachnął się i rąbnął gościa w głowę. Ten upadł jak długi na ziemię. Chwyciłam za telefon, by wezwać policję, gdy usłyszałam przerażony głos Grzegorza:

– Czy to czasem nie jest twój mąż?

Podeszłam do zbira i ściągnęłam mu kaptur.

– O matko, zabiłeś Andrzeja! – jęknęłam, osuwając się na podłogę.

– Jeszcze żyje. – Grzegorz przysunął głowę do ust mojego byłego i z ulgą poczuł jego oddech na swoim uchu. – Dzwoń po pogotowie!

– Ale co im powiemy? – histeryzowałam.

– Nie wiem, prawdę. Dzwoń, nie ma czasu. Nie wiadomo, ile ten biedak wytrzyma.

– Czekaj, mam pomysł! – Skrzywiłam się na myśl, która właśnie zaświtała mi w głowie, by po chwili zrozumieć, że nie mam innego wyjścia. Chwyciłam telefon, wybrałam numer i nerwowo oczekiwałam połączenia. – Halo, Beata? Tak, wiem, że nie chcesz mnie znać. Później to sobie wyjaśnimy. Bardzo potrzebuję twojej pomocy. Błagam, przyjedź do „Kupidyna”. Chyba zabiłam Andrzeja! – krzyknęłam i rozłączyłam się, nim Beata zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Kilkanaście minut później wbiegła do biura zasapana i rozczochrana, dzierżąc w dłoni opasłą lekarską torbę.

– Byłaś na zakupach? – próbowałam żartować.

– Nie, na dyżurze w szpitalu. Nie dość, że musiałam skłamać, że w domu pękła rura, to jeszcze ukradkiem pakować wszystko, co mogłoby się tu przydać. Chociaż może powinnam ograniczyć się do wielkiego, czarnego, foliowego worka – zachnęła się, podsuwając Andrzejowi pod nos sole trzeźwiące.

– Co?! – Obudził się nagle. – Co się dzieje? Chryste, moja głowa... – jęknął.

– Nic ci nie będzie, to tylko mały guz – warknęła Beata, przyczepiając Andrzejowi plaster na skroni.

– Beatka, kochanie... Co ty tu robisz, wybawicielko moja? – ożywił się Andrzej. Bóle i niedogodności nagle jakby zniknęły.

– Wanda do mnie zadzwoniła. Co wyście tu nawyprawiali?

– No właśnie, ty jełopie jeden! Po jaką cholere żes się włamał do mojego biura, co? Ciesz się, że tylko tak się skończyło! – Widząc, że Andrzejowi kompletnie nic nie jest, mogłam spokojnie się wkurzyć.

– Przecież ci mówiłem, że przyjadę zakładać ten alarm! – powiedział oburzony.

– Zakładać alarm to jedno, a włamywać się to drugie! – krzyknęłam. – Gdyby nie Grzegorz, chyba bym ze strachu wyskoczyła przez okno. Tak się nie robi!

– A bo chciałem ci nosa utrzyć, że te twoje zamki w drzwiach to pikuś dla fachowca...

– No to utarłeś. Masz za swoje – skwitowałam.

– A pan co tu właściwie robi? – zdziwił się Andrzej, patrząc na Grzegorza. – Czy pan czasem nie jest wychowawcą Kuby?

No i proszę, jak ja nie doceniałam Andrzeja! Jeszcze wczoraj gotowa byłam dać sobie odciąć rękę, że nie wie, do której szkoły chodzi nasz syn. Los bywa okrutny. Grzegorz spojrział na mnie spod byka, Andrzej też obrócił się w moją stronę. No jasne, i jeszcze ja mam nas wszystkich z tego gówna wyciągać.

Po prostu świetnie.

– Pan Grzegorz... – zaczęłam niewinnie. – Eee... Pan Pióro chciał porozmawiać właśnie o Kubie, a że ja nie bardzo miałam jak wyrwać się z pracy...

– A ja miałem po drodze, to pozwoliłem sobie zajrzeć – uzupełnił Grzegorz.

Zapadła grobowa cisza. Andrzej analizował w głowie informacje. Chyba jeszcze od tego uderzenia nie wszystko do niego od razu trafiało. Patrzyliśmy na niego w skupieniu, zastanawiając się, czy łyknie to kłamstwo.

– Aha – mruknął po chwili. – To miłe, że pomyślałaś również o mnie – ironizował.

– No właśnie. Bo wiedziałam, że przyjdiesz z tym alarmem i będziemy

wszyscy w komplecie. A wyszło nawet w nadkomplecie. – Spojrzałam na pakującą rzeczy do torby Beatę.

– Już wychodzę – powiedziała oschle. – Niby dwa na dwa, a jednak trochę tłoczno się zrobiło – dodała cierpko.

– Beatko, skarbie, jeśli poczekaś chwilkę, chętnie cię odwiozę – zaszczębiotał Andrzej.

– Robisz teraz za taksówkę? – zachnęła się. – W poniedziałek odwoziłeś tę pielęgniarkę z interny, dzisiaj chcesz podwyższyć progi?

– Ależ Beatko! Tłumaczyłem ci, że podwoziłem tę panią zupełnie przypadkiem. – Andrzej korzył się jak potulny kotek.

– I mam uwierzyć, że przypadkiem włożyłeś jej język do ust na do widzenia? – Zaśmiała się kpiąco. – Dziwię się, że tak długo z nim wytrzymałaś – powiedziała do mnie.

Przełknęłam ciężko ślinę i posłałam jej bezradne spojrzenie. Cóż, prawda była taka, że przez ostatnie dwadzieścia lat Andrzej wydawał się normalny. Dopiero od czasu druhny drużynowej Kasi coś w niego wstąpiło, ale co ja będę Beacie opowiadać. Chyba już sama wie aż za dobrze.

– A co z naszym wyjazdem na Kanary? – nie rezygnował Andrzej.

– Syna zabierz. Cześć. – Beata wstała i wyszła, nawet się nie żegnając.

– Dziękuję! – zawołałam za nią, bo uzmysłowiłam sobie, że właśnie uratowałam życie nie tylko Andrzejowi, którego pewnie wolałaby dobić, ale też Grzegorzowi – który zgniłby w więzieniu – i mnie. A raczej mojej karierze zawodowej. Odwróciłam się do panów, właściwie nie wiedząc, co teraz powinnam zrobić. Andrzej wpatrywał się we mnie niczym zbity pies.

– Nie, nie i jeszcze raz nie – powstrzymałam go, zanim cokolwiek powiedział.

Już ja go za dobrze znam, by nie wiedzieć, że wymyślił sobie, że „Kupidyn” pomoże mu odzyskać Beatę lub poznać jakąś inną „Beatę”. Miałam swoje zasady. Byłym mężom i dziwacom nie pomagam, a Andrzej zaliczał się do obu grup.

– To co z tym Kubą? – zapytał z rezygnacją.

Spojrzałam na Grzegorza, który pocił się właśnie nad wybrnięciem z sytuacji.

– Bo chodzi o... o bal – wydukał w końcu. – Tak, o bal. Bo pani Wanda jest w radzie rodziców, a organizujemy bal integracyjny, zapoznawczy, i trzeba ustalić szczegóły...

– Ale mówił pan, że chodzi o Kubę – zdziwił się Andrzej.

– No, o Kubę i jego klasę, tak dokładnie.

– To wy sobie tu ustalajcie, a ja zamontuję ten alarm i spadam stąd. Mam dużo roboty – westchnął niemrawo Andrzej i wyszedł.

Po chwili usłyszeliśmy stukot na korytarzu. Chyba jednak to uderzenie nie

było tak mocne, skoro zabrał się do pracy. Posiedzieliśmy jeszcze w milczeniu kilka chwil, żeby stworzyć pozory ustaleń balowych, po czym Grzegorz pożegnał się i z ulgą wyszedł z biura, obiecując przed wyjściem, że poinformuje mnie o postępach w sprawie Poli.

Co za dzień, jak Boga kocham! W całym moim życiu nie działo się tyle dziwnych rzeczy, jak odkąd zaczęłam pracować w „Kupidynie”. Magda powiedziała, że to przeznaczenie. O właśnie, zaraz muszę się zbierać do kina po nowe bilety dla Magdy i Romana. Obiecałam i obietnicy dotrzymam. Niby to nie początek nowego roku, żeby jakieś postanowienia składać, ale w sumie każdy dzień jest dobry, by zacząć coś nowego. To pomyślawszy zaczęłam zbierać swoje graty do torebki. Już miałam wychodzić, gdy w drzwiach stanął...

ON.

Jeżeli kiedykolwiek zastanawialiście się, jak wygląda anioł, to uprzejmie donoszę – jest wysoki, tak na metr dziewięćdziesiąt, szeroki w barkach, co podkreśla znakomicie skrojony i chyba dość drogi płaszcz, ma zabójcze, orzechowe oczy, brzoskwiniową cerę, lekki zarost i brązowe pukle lekko opadające na czoło. W dodatku pachnie tak zmysłowo, że rozpływam się, chociaż stoi tu od co najwyżej kilku sekund. O mamusiu, jeśli to sen, daj mi jeszcze chwilę się pocieszyć.

– A pani wychodzi? – zapytał lekko rozczarowany.

Ja wiem, że to nieprofesjonalne, ale jest w nim coś takiego, że przyciągnął mnie jak magnes od pierwszego spojrzenia. W dodatku ten jego głos... Taki męski, a jednocześnie łagodny.

– Dla pana mogę tu zostać całą wieczność – wyrzuciłam z siebie, gryząc się po chwili boleśnie w język.

Przecież takiej profesjonalistce jak ja nie przystoi napastować klientów od progu!

– Tyle to postaram się pani nie zająć. Piotr Stańko. – Wyciągnął dłoń w moją stronę.

– A szkoda – westchnęłam z żalem. – Wanda Guzik, „Kupidyn w spódnicy” – przedstawiłam się i uścisnęłam jego gładką, silną i wypiełgnowaną dłoń. – Zapraszam. Napije się pan herbaty?

Nogi miałam miękkie jak z waty. I właśnie zaczynałam żałować, że Magda nie przyszła do pracy już dziś. Wyjdę na kretynkę, jeśli będę się do niego tak łąsić, a z drugiej strony nie mogłam się oprzeć jego urokowi – jest jak facet z moich snów. Teraz to zdecydowanie zaczynała mi się menopauza – napalałam się na faceta jak jakaś nastolatka! Dopiero co brzydziłam się Andrzejem, który panicznie szukał jakiejś kandydatki, by zamoczyć. A ja? Wcale nie byłam od niego lepsza. Siedzi przede mną istne bóstwo, które rozbieram pożądlivym wzrokiem, wcale się z tym nie kryjąc. Czy to normalne?

– To w czym mogę panu pomóc? – zagadnęłam, gdy siedzieliśmy już na wygodnej sofie w gabinecie. Ten kącik zapoznawczy to był strzał w dziesiątkę. Od początku uważałam, że biurko buduje jakiś dystans. Przy biurku to można umowę podpisywać, ale rozmawiać? Tylko i wyłącznie w uroczym, kameralnym kąciku.

– Właściwie to jestem lekko zakłopotany. A może po prostu onieśmielony. Trochę inaczej sobie panią wyobrażałem. – Mężczyzna, najwyraźniej lekko zawstydzony, spuścił wzrok.

Czyli zorientował się, że go kokietuję i nie wie, jak wybrnąć. Przecież z góry wiadomo, że będę mu odradzała wszystkie kandydatki, a cały proces swatania przeciągała w nieskończoność, aż doprowadzę do tego, że biedny, zagubiony, ze złamanym sercem, spocznie na mym łonie.

– Chciałby się pan zapisać? – zapytałam drżącym głosem.

– Taki pomysł chodził mi po głowie. ale kiedy tu wszedłem... – zaczął niewinnie.

– Zapewniam pana, że nie mógł pan trafić lepiej. Mam dziś trochę zawadiacki dzień, ale obiecuję, że nie odczuje pan tego w żaden sposób. Zaraz dam panu ankietę do wypełnienia, a potem porozmawiamy o pana oczekiwaniach – rozgadałam się jak najęta, nie mogąc przestać się do niego zalotnie uśmiechać.

– Źle mnie pani zrozumiała. Owszem, nabrałem trochę wątpliwości co do pomysłu zapisania się do „Kupidyna”, ale to wyłącznie z pani powodu. To znaczy... że... – jęknął. – Czy jest pani wolna? – walnął z grubej rury.

I wolna, i chętna, i zakochana po uszy jestem!

– Z odzysku – szepnęłam przez zaschnięte z wrażenia usta.

– To raczej nie problem, chyba że pani ma jakieś uprzedzenia. – Zaśmiał się.

– Nie bardzo rozumiem?

– No, chyba był jakiś powód rozpadu, że tak powiem, pani związku. Może nie powinienem wypytywać. Co za dziwna sytuacja, nieprawdaż? – Piotr Stańko całkowicie się zakłopotał.

– Oj tak.

– To może zacznijmy od nowa. Piotr Stańko, dla przyjaciół Piotr. – Wyciągnął rękę w moją stronę.

– Wanda Guzik. Po prostu Wanda. – Zaśmiałam się nerwowo i ponownie uścisnęłam jego dłoń.

Gdytrzymał moją rękę, poczułam, jak przepływa przeze mnie jakiś magiczny prąd.

– Dobrze więc, Wando. Czy pozwolisz się zaprosić na kawę? – Spojrzał na mnie przeciągle.

– Na kawę – powtórzyłam, wciąż będąc pod wielkim wrażeniem mojego rozmówcy.

– Na kawę, herbatę, wino. Do kina, na kręgle. Co ty na to?

– Chętnie.

– To co? W sobotę? – Facet był zdecydowany, a ja zaczęłam się szczytać w rękę, chcąc sprawdzić, czy aby na pewno nie śnię.

– Oj – westchnęłam. – W sobotę jestem zajęta.

Spojrzał na mnie rozczarowany.

– Obiecałam siostrze, że popilnuję jej dzieci, by mogła wyjść z mężem do kina – wyjaśniłam.

– Znakomicie! – Przyklasnął. – Uwielbiam dzieci! Pozwolisz, że będę ci towarzyszył? – zaproponował.

Nie, to chyba jednak jakiś sen. Chociaż ręka aż mi zdrętwiała od tego szczypania. Przychodzi tu nie wiadomo skąd, idealny jak odrysowany od szablonu, i jeszcze nie zraża się gromadą piskliwych dzieci Magdy? Jestem w ukrytej kamerze czy jak? A z drugiej strony... Właściwie to co mam do stracenia? Kuba robi w sobotę domówkę, po której pewnie będę sprzątała przez miesiąc. Ja, zamiast wylegiwać się w jakimś spa, będę użerać się z trójką rozwrzeszczanych dzieciaków. Kurde, też mi się coś od życia należy, a skoro on sam to zaproponował?

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się.

– No, to skoro to już ustaliliśmy, to może pozwolisz się odwieźć do domu? Bo chyba szykowałaś się do wyjścia, gdy wtargnąłem do biura. – Zaśmiał się. – Po drodze może trochę się poznamy? Żeby nie było, że przyprawiasz do domu siostry obcego faceta! – Puścił do mnie oko.

O mój Boże! Ideał i jeszcze jaki zapobiegliwy, myśli o wszystkim. Ja chyba kompletnie oszalałam. Muszę zapisać się na badania kontrolne, bo to chyba nie jest normalne, żeby tak się omamić i zgadzać na wszystko. Dopiero co rozstałam się z Andrzejem i zarzekałam, że mam dość testosteronu do końca moich dni. Ale jednak biologia się chyba domaga.

Tak czy siak Piotr odwiózł mnie pod sam blok. Nawet mi nie przyszło do głowy, by ściemniać, że mieszkam gdzieś indziej, a przecież mógł wejść za mną i mnie zaciukać w ciemnym zaułku. Ten jego urok i zapach naprawdę pozbawiły mnie wszystkich innych zmysłów. Ale rozmowa była miła. Dowiedziałam się, że zajmuje się nieruchomościami. Kupuje stare, odnawia i sprzedaje drożej. Jest kawalerem. Czterdziestoletnim? Dwa lata ode mnie młodszym i jeszcze nigdy nie żonatym, to chyba jakiś żart! Twierdzi, że nie spotkał jeszcze właściwej kobiety, a flirtował ze mną, jakby to był jego chleb powszedni. Chociaż może przy bliższym poznaniu obnaży w końcu jakieś swoje wady, bo coś musi być na rzeczy.

Mieszka we Wrocławiu. Zaskakujące, że przyjechał zapisać się do biura matrymonialnego aż do Legnicy – na prowincję. Tłumaczył, że nie chce, by ktoś z jego licznych znajomych go zdemaskował, a poza tym nasze lokalne klientki pewnie są normalniejsze od tych diw z wielkiego miasta, co tylko patrzą na stan

konta. Nie żebym się czepiała, ale jechaliśmy pachnącą, połyskującą limuzyną. Tak naprawdę to Audi a8, ale bardzo wytworne i bogato wyposażone. W związku z tym chyba nie kłamie. Tylko mnie jakoś mina zrzęda – bo i co ja mam do zaoferowania takiemu mężczyźnie? Klitkę w blokowisku? Dorastającego syna? Byłego męża, który zawsze się gdzieś napatoczy? Legnica to naprawdę małe miasto. Niedługo mój książę może się przekonać, że nie jestem Kopciuszką, który zamienia się w księżniczkę. To ja, Wanda. Czy powinnam się w to pakować?

Kiedy przekroczyłam próg domu, dotarło do mnie, że nie zapytałam Magdy o to, czy mogę przyjść z kimś. W końcu to jej dom i jej dzieci. Natychmiast oprzytomniałam i do niej zadzwoniłam. Od razu wpadła w panikę, że się rozmyśliłam, słysząc jednak o tej drobnej zmianie, zaśmiała się tylko:

– Czy ty na pewno wiesz, co robisz, zaczynając znajomość z facetem idealnym od zapoznania go z rodziną?

– Ale sam to zaproponował. A ja głupia po prostu się bałam, że jeśli teraz odmówię, to się rozmyśli. Nie widziałas go. – Wyraźnie podkreśliłam ostatnie zdanie.

– Dobra, tylko mi proszę nie barszkować przy dzieciach. Bliźniakom może to jeszcze wszystko jedno, ale jak Kalina nakryła nas z Romanem, to potem całe osiedle, cała szkoła i cały wszechświat wiedziały o tym, że tata ma TAM włosy, a mama dostaje czkawki na finiszu – powiedziała zażenowana Magda.

– Dostajesz czkawki? Czemu ja o tym nie słyszałam? – Zaczęłam pokładać się ze śmiechu na kanapie.

– Najwyraźniej nie rozmawialiśmy nigdy o osiągnięciu orgazmu. I pewnie istnieje jeszcze kilka tematów, których nie poruszałyśmy. A teraz nie odwracaj kota ogonem, bo ustalam jakieś zasady – powiedziała ostro.

– Będziemy układać puzzle i oglądać bajki – obiecałam.

– Facet będzie zachwycony. – Magda parsknęła śmiechem.

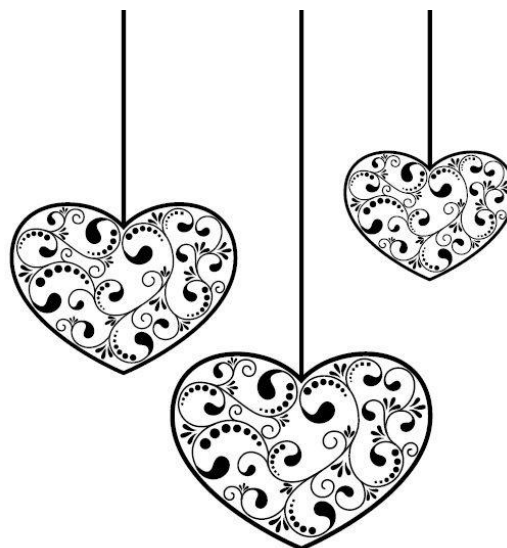
Kiedy wyszłam z łazienki po kąpiel, odebrałam jeszcze wiadomość od niej: „Przyjedź w sobotę godzinę wcześniej. Pomaluję ci paznokcie i zakręcę włosy. Może chociaż ty zrobisz dobre pierwsze wrażenie”. Dlaczego wcześniej nie byliśmy dla siebie takim wsparciem? Przecież to takie proste i przyjemne.

Ten dzień zaliczyłam do zdecydowanie udanych, gdyby nie otrzymany email od Grzegorza, w którym rozgoryczony opisywał swoją porażkę.

Zgodnie z planem poprosił Polę o pomoc w kupnie bransoletki. Powiedział, że to dla mamy, bo chciał wyjść na rodzinnego, jednocześnie nie kłamiąc, że ma siostrę. Ja bym jednak została przy siostrze. Dorosły facet kupujący mamie bransoletkę na urodziny? Tak czy siak poszli na te zakupy i gdy wychodzili już z galerii, natknęli się na nikogo innego, jak na mamę Grzegorza, której Pola z miejsca złożyła urodzinowe życzenia i wyskoczyła z propozycją, że skoro już tak się złożyło, to może Grzegorz od razu da mamie prezent. Oczywiście mama

Grzesia była lekko zdezorientowana i wcale nie pomogły znaki, jakie próbował jej dawać, sugerując, żeby go nie zdradziła z tym całym planem. W dodatku okazało się, że mama ma rękę jak jakiś rzeźnik czy drwal i bransoletki są zwyczajnie za małe, co zasmuciło i mamę, i Polę. W efekcie końcowym Grześ, chcąc wybrnąć z sytuacji, dał Poli bilety do kina. Dziewczyna się bardzo ucieszyła, bo – jak się okazało – jej siostra marzyła, by zobaczyć ten film, i chętnie się z nią wybierze.

Istna katastrofa...



Wstałam rano z tak wielkim bólem głowy, jakbym dzień wcześniej wypila beczkę alkoholu. Jak słowo daję, nie tknęłam ani kropelki! Przesiedziałam pół nocy na szukaniu w sieci jakiegoś sposobu na Grzegorza i Polę. Wiem, że to słabe, ale wcale nie biorę od niego kasy za to, że szukam w internecie czegoś, co sam mógłby spokojnie znaleźć. I nie, nie mam zamiaru swatać tandetnymi patentami z sieci. Kto nabiera się na tekst: „Bolało, jak spadałaś z nieba?”. Wpadłam po prostu na genialny plan, tylko musiałam trochę się wspomóc, bo nie jestem tak biegła w filmach. Tak, dobrze się domyślicie. Skoro Pola lubi kino, uderzymy do niej filmowo. To będzie strzał w dziesiątkę. Wczoraj po przeczytaniu maila od Grzegorza strasznie się zdenerwowałam. Naprawdę chcę mu pomóc, a tu taka kłapa. W dodatku nie jestem jakąś tam znajomą, tylko fachowcem. Ponoć. Wiecie, jak mnie ta porażka ubodła? Sabina tam pewnie się w grobie przewraca.

Od dziś żadnych porażek!

Zastanawiacie się, jak można szukać informacji w internecie przez pół nocy? Przyznaję się, szukałam pół godziny, a pozostały czas poświęciłam na googlowanie Piotra Stańko. Ten gość naprawdę mnie jarał. I pewnie nikt mi nie uwierzy, gdy napiszę, że jest bardzo skromny. Tak, luksusowe auto to objaw skromności. Nie o to chodzi. Dla tych zapatrzonych w banknoty to może byłoby przeurocze, ale nie dla mnie. Ja znalazłam prawdziwego człowieka. Owszem, powiedział mi, że

zajmuje się nieruchomościami, ale że regularnie wspomaga Przylądek Nadziei we Wrocławiu to już nawet nie pisała. I żeby to jeszcze same wpłaty były! Osobiście uruchamiała znajomości, by zwrócić uwagę gwiazd z pierwszych stron gazet na problem tych ciężko chorych dzieci. Anioł. Mówiłam, że anioł? Aż dziwne, że nigdy wcześniej o nim nie słyszałam. Chociaż to dobrze o nim świadczyło, że pomagał, by pomagać, a nie by brylować na czerwonych dywanach i ściankach. Dokopałam się też do informacji, że wykupił kiedyś starą kamienicę z zamiarem remontu i sprzedaży, a gdy dowiedział się, że mieszkają tam sami schorowani ludzie, pozwolił im tam zostać, a remont rozpoczął dopiero, gdy ostatni lokator odszedł. Niewiarygodne. Andrzej zawsze mi wpierał, że w biznesie trzeba być groźnym i bezwzględny, bo inaczej inni cię zjedzą. Proszę, jak się mylił. Można być człowiekiem. Mieć kasę i żyć ze sobą w zgodzie.

Teraz się zastanawiam, co będzie, jeśli dzieci Magdy zrobią w sobotę taki Meksyk, że przegonią Piotra na cztery wiatry. Naprawdę mam szczerą chęć, by poznać tego faceta bliżej. Wczoraj zaczął mnie swoim wdziękiem i nie powiem, gorąco mi się robiło tu i ówdzie, ale kiedy przeczytałam te wszystkie wiadomości, mój światopogląd się nieco rozszerzył. Może i faktycznie pasuję do niego jak wół do karocy? Lubię otaczać się dobrymi ludźmi – wtedy i ja mam motywację bycia dobrą. No i teraz już wiecie, skąd mój poranny ból głowy. Takie życiowe przemyślenia bywają czasem bolesne. Dosłownie.

– Nie idziesz do pracy? – Rozczochrany Kuba wtargnął do kuchni.

Tym razem w szlafroku, chyba zaczął się uczyć. Albo miał coś do ukrycia?!

– A ty do szkoły? – zapytałam zaskoczona. – Czy wy macie chociaż raz w tygodniu na ósmą rano?

– Mamo, ta szkoła ma atest przyjaznej. – Zaśmiał się.

– Chyba mi nie powiesz, że możecie przychodzić, kiedy się wyśpicie?

– No, bez przesady. Po prostu lekcje zaczynają się o dziewiątej trzydzieści.

Byłaś na zebraniu i nie wiesz?

Mało pamiętałam z zebrania. Szok, jaki przeżyłam, uświadamiając sobie, że mój najnowszy klient jest wychowawcą mojego syna, pozbawił mnie zdolności rejestrowania rzeczywistości. Inaczej się tego nie da wytłumaczyć. I ta cała rada rodzicielska. Zaraz się okaże, że będę w szkole częściej niż za czasów własnej edukacji.

– A tak, faktycznie – westchnęłam.

– A właśnie, ojciec dzwonił, że nakrył cię z moim wychowawcą. Mamo, bez takich numerów. Tylko nie z tym gejem! – Pogroził mi palcem. – Ja się nie mam zamiaru wtrącać. Masz prawo układać sobie życie, ale proszę, nie on...

– Czy wyście już wszyscy powariowali?! – oburzyłam się. – A ojciec to już kompletnie zdziwaczał. Ty wiesz, że on się włamał do mojego biura?

- Co?! – Kuba parsknął śmiechem.
- No właśnie. I tak, zastał mnie tam z panem Pióro. Uprzedzając twoje następne pytanie, oboje byliśmy ubrani, chociaż zaskoczeni.
- Mamo, oszczędź mi...
- Pan Pióro był na tyle uprzejmy, że nie fatygował mnie do szkoły w sprawie ustaleń związanych z balem integracyjnym, tylko zajrzał do mnie w drodze do pracy, ciołku. A coś ty myślał? – Popukałam się w głowę.
- To z kim wybierasz się do ciotki Magdy pilnować dzieci? – zdziwił się.
- Jezu, o tym też już wiesz? Co za plotkarska rodzina!
- Ciotka Magda dzwoniła i zaproponowała, że upiecze mi tort i zrobi sałatki na urodziny, żebyś nie musiała wydawać pieniędzy – wyjaśnił Kuba. – I wyszło przy okazji.
- To nikt ważny. – Machnęłam ręką.
- Ej, zaczerwieniłaś się. O co chodzi? – Kuksnął mnie w bok.
- Daj spokój, nie mam czasu. Spieszę się do pracy. Poza tym na pewno nie będę z tobą o tym rozmawiać.
- Spoko, chcę po prostu, żebyś wiedziała, że się cieszę. Jesteś fajna babka, nie zasługujesz na samotność.

Ja nie wiem po kim on taki rezolutny wyrósł.

Wychodząc z domu, byłam cholernie pozytywnie naładowana. Jednak żadna kawa, żadna kąpiel ani nawet ciepła drożdżówka z rana nie dadzą ci takiego kopa, jak wiara twoich dzieci w ciebie. Kuba naprawdę ostatnio zmienił się nie do poznania. A może po prostu w starym życiu miałam tyle zajęć i tyle przestrzeni, że nie miałam okazji mu się dobrze przyjrzeć. Smutne, co? Przecież to teraz jestem bardziej zapracowana niż wtedy. A jednak.

Są na tym świecie sprawy ważne i ważniejsze. Zaiste dziwne, że to wszystko wychodzi na jaw, gdy tak właściwie ta najważniejsza wartość, czyli rodzina, rozpadła się niczym domek z kart. Ktoś mógłby mnie posądzić o nadmierną nadopiekuńczość, by przekabacić Kubę na swoją stronę. Ale nie było takiej potrzeby. Nigdy wcześniej nie dogadywałam się z Andrzejem lepiej, a Kuba po prostu stał się kompanem do dorosłych rozmów. Cieszę się, że nie szukał wsparcia u kolegów czy w sieci, ale przychodził ze wszystkim do mnie lub do Andrzeja. To wielka ulga dla rodziców, że nie zostają odsunięci w cień.

Z tym optymizmem ruszałam na podbój nowego dnia. Doszłam do windy i czekając na nią, zauważyłam, że przez szparkę w drzwiach naprzeciw ktoś bacznie mnie obserwuje. Poczulałam się trochę nieswojo, ale wyprostowałam się pewnie i stukałam niecierpliwie obcasem, słuchając stukotu nadjeżdżającej windy.

– Przepraszam panią sąsiadkę, czy mogłaby mi pani pomóc? – zapytał ktoś, kiedy już miałam wchodzić do windy.

Byłam trochę zdezorientowana, ale dobre wychowanie nakazało mi nie

ignorować prośby.

– Słucham? – Podeszłam bliżej drzwi, które otwały się szerzej i w progu ujrzałam starą, siwą i zgarbioną babcię. – Co się stało? – zachęciłam ją.

– Nie chciałabym pani zatrzymywać... – zawahała się. – Ale od wczoraj próbuję zawiesić te cholerne firanki i jednak już nie te lata.

– Ach, firanki! Nie ma problemu. – Uśmiechnęłam się. – Zaraz pani pomogę, proszę prowadzić.

Chwila mnie przecież nie zbawi, a człowieka w potrzebie się nie zostawia. Może dla mnie okno mogłoby być gołe przez cały rok, ale skoro ta kobieta przełamała swoją nieśmiałość i mnie zaczepiła, to jednak dla niej to coś ważnego.

Weszłam w głąb jej mieszkania i przepadałam bez reszty. To jakby zamknąć oczy i udać się w magiczną podróż w czasie. Pełno starych bibelotów: obrazków, figurek, dzierganych serwetek. Na starym, chociaż wyjątkowo dobrze zachowanym stole, przepiękny zdobiony samowar, a przy nim dwie filiżanki od kompletu, jakby czekające na przybycie gości. Obok komoda, a na niej lampowe radio w drewnianej obudowie. Pamiętam, że takie samo stało u dziadków w salonie. Słuchaliśmy na nim słuchowisk dla dzieci: „Kolorowe listy”, „Czarodziejskie słowa”, „Baśnie braci Grimm” z udziałem Zosi Rysiównej. Na kanapie wełniana narzuta, chyba zrobiona przez samą właścicielkę. Ciepła i kolorowa.

– Przepraszam na chwilkę, muszę wyjąć ciasto z prodiża – oznajmiła gospodyni.

– Gdzie te firanki? – zapytałam.

Podawała mi dokładnie wyprasowane i złożone koronkowe tkaniny, po czym wyszła do kuchni. Po chwili poczułam intensywny zapach ciasta. Aż mnie ścisnęło w brzuchu. Dawno nie jadłam domowej szarlotki. A przecież tak kochałam cynamon i jabłka!

Odłożyłam torbę na fotel, zdjęłam płaszcz i zabrałam się do pracy. W zasadzie nigdy nie lubiłam wieszać firanek. W naszym rodzinnym domu zawsze robiła to mama, a nawet gdy zleciła to mnie, to i tak potem poprawiała. Dlatego gdy tylko pojawiła się opcja budowy domu z Andrzejem, z góry zastrzegłam, że chcę wszędzie rolety. W mieszkaniu – na moje nieszczęście – były firanki. Początkowo chciałam je zdjąć, ale gdy ujrzałam przedpotopowe, metalowe i pordzewiałe żaluzje, uznałam, że jednak trzeba je czymś zasłonić. Teraz stałam na chwiejącym się stołku i zabierałam się do tego jak przysłowiowy pies do jeża. Niby taka prosta sprawa, a jednak trzeba było ugryźć to tak, by sąsiadka była zadowolona.

– Nie zastanawia się, tylko wiesz. Na pewno będzie dobrze! – Usłyszałam za plecami. – Tutaj taki młody chłopak naprzeciwko z lornetkami siedzi wieczorem, co on chce tu zobaczyć, nie wiem. Ani ja ładna, ani kosztowności nie mam. Z firankami będę czuła się bezpieczniej.

Jej słowa dodały mi trochę otuchy i nie zważając na mankiety, ułożenia wzoru i regularność przymarszczenia, przypinałam żabki jedna po drugiej. Po chwili zesłam z krzeselka, by ocenić efekt.

– Nie jest źle – mruknęłam i chwyciłam za płaszcz i torbę.

– Nie zostaniesz na herbatę i kawałek ciasta, moje dziecko? – zapytała rozczarowana sąsiadka.

Odwróciłam się do niej i dopiero po jej minie zrozumiałam, że te firanki były tylko pretekstem – ona potrzebowała z kimś porozmawiać. Spojrzałam na zegarek: do pierwszego klienta miałam jeszcze godzinę. W sumie planowałam przez ten czas przygotować jakieś instrukcje dla Magdy, która miała zacząć u mnie pracę po weekendzie, ale mogę to zrobić wieczorem. Ta szarlotka pachniała tak obłędnie, że nawet gdybym miała wysłuchiwać narzekań starszej pani, to powinna być tego warta.

– Nie chciałam pani przeszkadzać – powiedziałam, niewinnie się uśmiechając.

– Moje dziecko, to ja przeszkodziłam tobie i nie wypada, żebym się jakoś nie odwdzięczyła. – Uspokoila mnie, zapraszając gestem do stołu.

Nalała mi herbatę i nałożyła na talerz słuszny kawałek ciepłego ciasta. Poczulałam się jak u babci. Och, ile bym dała, by babcia jeszcze żyła. Brakowało mi tych spotkań i jej opowieści.

A potem sobie porozmawiałyśmy.

Pani Czesia, bo tak miała na imię sąsiadka, mieszkała w tym bloku od czterdziestu lat, a ma lat osiemdziesiąt dwa. Tę kawalerkę kupił jej syn. Po śmierci ojca stwierdził, że dom na wsi jest za duży dla niej samej. Co lepsze, wysiedlił matkę do tej klitki, a sam wprowadził się z rodziną do rodzinnego domu. Byłam trochę zniesmaczona, chociaż pani Czesia opowiadała wszystko z taką troską, zrozumieniem i miłością, że czulałam, jakby uważała ten stan za normalną kolej rzeczy. Jej syn – biznesmen – rozbijał się po świecie z żoną, otwierając kolejne filie swojej firmy kosmetycznej. Jego dzieci studiowały rozsiane po całej Polsce, a babci nawet nie miał kto zawiesić firanek.

– Młodzi muszą rządzić po swojemu. Na co im starzy, niedołążni, kłopotliwi? – próbowała tłumaczyć nieobecność bliskich w jej życiu.

– Ale ci młodzi też kiedyś będą starzy. I chyba nie chcieliby, aby ktoś ich tak odstawił jak przechodzoną parę butów – skomentowałam rozgoryczona.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale jestem szczęśliwa. Świadomość, że robią coś wbrew sobie, na siłę utrzymując ze mną kontakt... To byłoby bolesne. A tak zadzwonią raz w tygodniu, kilka razy w roku przyślą jakąś paczkę. Czego mi więcej potrzeba do szczęścia? – Pogłaskała mnie po dłoni.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że jest taka spokojna i pogodzona z losem. Przecież to wszystko zdawało się być tak okrutne! Pomyślałam o mojej mamie

i o moich relacjach z nią. Jak wiele czasu uciekało nam przez te głupie niesnaski. Jakbyśmy nie mogły sobie powiedzieć prawdy prosto w oczy, poboczyć się chwilę, a potem już byłoby jak dawniej.

– I syty głodnego nie zrozumie – mruknęłam pod nosem.

– Dokładnie. Oni żyją w innym świecie. To, co dla mnie jest poważnym problemem, dla nich jest błahostką. To, co dla nich jest przeszkodą, dla mnie jest kosmosem. Szkoda, że mojego Ziotka już nie ma tyle lat. – Kobieta wyciągnęła z fartuszka pomietą, starą fotografię i podała mi ją trzęsącymi się rękami. – Nie ma dnia, żebym nie myślała, że on to rozumiał mnie bez słów. Brakuje mi go... – westchnęła.

Wzięłam od niej zdjęcie. Stała na nim z wysokim, postawnym mężczyzną, który otulał ją ramieniem. Biło od nich szczęście. I wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl:

– Pani Czesiu, czy w ramach rewizyty da się pani zaprosić kiedyś na herbatę? Daleko pani nie ma, więc nie przyjmuję odmowy. Poza tym mogłaby mi pani dać przepis na tę cudowną szarlotkę.

– Skoro tak stawiasz sprawę, moje dziecko, chętnie cię kiedyś odwiedzę. – Kobieta aż pojaśniała na twarzy, a ja już miałam w głowie pewien plan.

Być może „Kupidyn” nie jest w stanie znaleźć lekarstwa na każdą samotność, ale są sytuacje, kiedy można uprzyjemnić dwójce starszych ludzi czas oczekiwania na spotkanie z ich ukochanymi, którzy już odeszli do wieczności, prawda?

Pożegnałam się z sąsiadką, która zapakowała mi jeszcze cztery kawałki ciasta, i pognałam do pracy. Chwilę po wejściu do biura usłyszałam kroki pierwszego klienta. Od razu stanęłam w gotowości. Mój plan był przemyślany aż za bardzo i byłam bardziej niż pewna powodzenia całej akcji. Zagubieni kochankowie musieli mi po prostu zaufać.

– Dzdzieennn dooobbrryy – wysilił się mężczyzna.

– Dzień dobry, jestem Wanda Guzik. A pan to pewnie Błażej Szot. – Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam dłoń na przywitanie. – Przejdę od razu do rzeczy. Zwykle inaczej wygląda cała procedura rejestracji klienta i szukania mu kandydatek, ale pewnie oczekiwałby pan jakiejś procedury uproszczonej, by nie musieć się za długo uzewnętrzniać.

Mężczyzna uśmiechnął się zakłopotany. Byłam mistrzem dyplomacji. Umiałam ubrać to, co kłopotliwe, w słowa tak profesjonalne, że nie mógł mi się oprzeć.

– Mam propozycję. Zaproszę pana teraz do pokoju obok. Usiądzie pan sobie wygodnie na kanapie, napije herbaty i zrelaksuje, a ja za chwilę przyjdę. Proszę mi zaufać, wszystko będzie dobrze. – Puściłam do niego oko.

Mężczyzna przytaknął, lekko onieśmielony. Zaprowadziłam go do gabinetu,

postawiłam przed nim kubek gorącej herbaty, ciastka i położyłam też dwa notesy i długopisy.

– Zaraz będziemy wypisywać swoje mocne i słabe strony – zełgałam, wychodząc i zostawiając gościa samego.

Nie minęło pięć minut, jak znów usłyszałam kroki na klatce schodowej. Głośne stukanie obcasów zwiastowało nadejście drugiej ofiary.

– Witaj, Tamaro. Posłuchaj, mam małe urwanie głowy. Poczekasz chwilę w gabinecie? – zaatakowałam od progu.

Odpowiedziała mi również tylko uśmiechem. Już wiecie, co mam na myśli? Wręczyłam Tamarze kubek z herbatą i wepchnęłam ją do gabinetu, szepcząc jej w ostatniej chwili do ucha:

– To jest Błażej. Też się jąka. Pogadajcie sobie.

Tamara odwróciła się, patrząc na mnie zaskoczona, by po chwili wyprostować się dumnie i podejść do mężczyzny. No, dam im ze dwa kwadransy, a potem do nich zajrzę.

Mówi się, że ludzie przyciągają się na zasadzie przeciwieństw, ale najważniejsze, by starali się siebie wzajemnie rozumieć. Z ankiet Tamary i Błażeja faktycznie wynikało, że ich pasje są trochę odmienne. Bo jeśli chodzi o kolumny dotyczące wymarzonego partnera, to miałam wrażenie, że już się gdzieś spotkali i opisywali siebie nawzajem. Ludzie czasami, mówiąc o tym, czego oczekują, mają też na względzie to, co sami chcą dać od siebie. Działa to na zasadzie: nie zadaję pytań, na które sam nie chciałbym odpowiadać. Oczywiście są wersje damskie i męskie tych oczekiwań i pewnie milion innych odstępstw od reguł, jednak w sprawie Tamary i Błażeja zadział prawdziwy Kupidyn, którego intuicję i śmiałość właśnie zaczynałam w sobie odkrywać.

Po jakichś piętnastu minutach uchyliłam cicho drzwi, by sprawdzić, jak się mają moi goście. Siedzieli bardzo blisko siebie, z notesami na kolanach, i coś do siebie pisali, śmiejąc się raz po raz. Nie miałam na dziś więcej zaplanowanych spotkań, więc postanowiłam dać im tyle czasu, ile będą potrzebowali. W końcu to dziewiczy eksperyment i wymagał bardzo delikatnej oprawy. A ja mogłam w międzyczasie zabrać się za instrukcje dla Magdy.

– Co robisz? – Usłyszałam nagle szept za plecami. Przymknęłam oczy, bo po zapachu już wiedziałam, do kogo należał głos.

Boże, jeśli istniejesz, spraw, żebym wyglądałam teraz najatrakcyjniej jak tylko można. Odwróciłam się powoli i tonąc w orzechowych oczach, położyłam palec na ustach, prosząc o milczenie.

Zaprowadziłam niespodziewanego gościa do kuchni i dopiero tam się rozluźniłam.

– Powiedzmy, że taki mały eksperyment – powiedziałam tajemniczo.

– Nie możesz... czy nie chcesz mi powiedzieć? – zapytał Piotr.

– Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. – Zaśmiałam się cicho. – A właściwie... Co tu robisz? – zapytałam lekko złęczniona, bo przeszło mi przez myśl, że rozmyślił się w sprawie wspólnego pilnowania dzieci Magdy i osobiście przyjechał wystawić mnie do wiatru.

– To głupie, ale od wczoraj nie mogę przestać o tobie myśleć – wyznał zawstydzony. – Kiedy czytałem o „Kupidynie w spódnicy”, myślałem, że to jakiś tani chwyt marketingowy, a tymczasem ty od progu potraktowałaś mnie swoją strzałą. Mam nadzieję, że nie robisz tak z każdym. – Popatrzył na mnie zalotnie, przesuając dłonią po blacie stołu, aż nie dotknął mojej.

Zadrzałam. I on mi tu mówił o miłosnych sztuczkach? Tak na mnie działał, że najchętniej wyprosiłabym klientów, zaryglowała biuro na wszystkie zamki i dopadła go. Gdziekolwiek – na biurku, na kanapie, na stole w kuchni, na podłodze w korytarzu. Wszędzie po kolei.

– Mój drogi, prawdziwy Kupidyn ma zwykle dwie strzały. Jedną dla niej, drugą dla niego. Kiedy tu wszedłeś pierwszy raz, stałeś plecami do lustra. Może gdy mierzyłam do ciebie, to strzała się odbiła i ugodziła we mnie? Jestem nowicjuszem! – próbowałam się tłumaczyć.

– Och, porzućmy już te teorie. Doprawdy, są urocze, ale jakoś nie mam ochoty na rozmowy. – Zbliżył się do mnie, przyciągnął do siebie, zanurzył swoją dłoń w moich włosach i poczęstował mnie namiętym pocałunkiem.

Ziemia się pode mną ugięła, a zastępy wszystkich świętych dźwięcznie oznajmiły, że cud się zdarzył. Wiem, banalnie, ale tak bardzo mnie intrygował i jednocześnie pociągał, że po prostu nie mogłam mu się oprzeć. Trwaliśmy tak w pocałunku dłuższą chwilę, a temperatura między nami wzrastała.

– Jestem w pracy – westchnęłam między jednym pocałunkiem a drugim.

– Mała przerwa jeszcze nikomu nie zaszkodziła – uwodził mnie dalej.

Nagle usłyszeliśmy z korytarza jakieś głosy. Oderwaliśmy się od siebie z szybko bijącymi sercami. Poprawiłam bluzkę, którą podwinął mi do góry, błędząc dłońmi po moim ciele, przeczesalam włosy i wyszłam z kuchni, czując, jak odprowadza mnie pożądanym spojrzeniem.

– Tttttoo bbbbyyyylłłoooo rrrryyyzzzyyykooowwnneee – powiedział surowo Błażej.

Cała namiętność mnie opuściła i w jednej chwili wróciłam na ziemię. Cóż, z eksperymentami bywa tak, że niektóre dobrze rokują, ale efekt końcowy jest totalną klapą. Dobrze, że nie jestem saperem.

– Aaaa tttteerrrraaaazzz iiiidzzziieemmyyy doooo kiiinnnaaa. – Tamara wybuchła śmiechem, a Błażej objął ją ramieniem i puścił do mnie oko, wielce uradowany, że udało im się mnie nabrać.

Ha! Mamy to. Udało się! Kupidyn zadziałał.

Znów przypomniało mi się, że mam w szufladzie bilety do kina dla Magdy

i Romana. Pierwsze oddałam Grzegorzowi, ale kupiłam następne. Wyjęłam je teraz bez wahania, uścisnęłam Tamarę, przybiłam piątkę Błażejowi i wręczyłam im kopertę z biletami:

– Od firmy. Bawcie się dobrze!

Podziękowali i za chwilę nasłuchiwałam ich kroków, aż ucichły całkowicie, co oznaczało, że opuścili kamienicę. Zamknęłam drzwi na klucz i wróciłam do Piotra, który nie wiadomo skąd wyciągnął wino i dwa kieliszki. Jeden z nich podał mi od progu. Ten facet nie przestawał mnie zaskakiwać.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał, stukając swoim kieliszkiem o mój.

– Chyba właśnie udało mi się skojarzyć moją pierwszą parę – powiedziałam z pełną powagą, dumnie unosząc głowę do góry.

– Zdecydowanie musimy to uczcić. – Zabrał mi kieliszek i przysunął się bliżej, znów namiętnie mnie całując.

Normalnie bym się opierała, ale nie dziś.

Pewnie jesteście ciekawi, co było dalej. Dalej była kuchnia, biurko, kanapa w gabinecie. Podłogę w korytarzu sobie darowaliśmy. Kafle były nieprzyjemnie zimne. Było wspaniale. Dziko, namiętnie, rozkosznie. Czy kiedykolwiek tak się czułam? No cóż, z Michałem może mieliśmy za młodu taką kondycję, ale nie umieliśmy mówić otwarcie o naszych pragnieniach i potrzebach. Co się dziwić – mieliśmy po szesnaście lat, kiedy pierwszy raz poszliśmy ze sobą do łóżka. Tyle co Kuba teraz. Andrzej miał wybujałą fantazję, tylko nie wiem dlaczego najczęściej on leżał, a ja te fantazje spełniałam. Nie powiem, że nie było mi dobrze, ale po prostu nie wiedziałam, że może być inaczej. A teraz? Teraz jestem łatwą kobietą, która uprawiała seks z facetem, którego prawie nie zna. Nie brzmiało to za dobrze, ale biorąc pod uwagę, jak ten prawie obcy facet się o mnie troszczył, chyba nie myślał o mnie źle.

– Zwykle tak się nie zachowuję – powiedziałam, gdy leżeliśmy po wszystkim na dywanie w gabinecie.

– Serio? To szkoda, bo było fantastycznie! – zażartował Piotr.

– Hej! Wiesz, co mam na myśli – skarciłam go.

– Musisz wracać do domu? – zapytał rozczarowany. – Chyba mam jeszcze trochę sił. – Mrugnął do mnie.

– To zostaw je na jutro. Opieka nad trójką dzieci bywa bardzo wyczerpująca!

– Zaśmiałam się zbierając z podłogi swoje rzeczy. – No, chyba że się rozmyśliłeś.

– A dostanę nagrodę za pomoc w opiece? – drażył dalej, przejeżdżając palcem po moich plecach.

– Być może, ale miejsce pozostaje to samo. Mój syn robi jutro domówkę i mam zakaz powrotu do niedzieli wieczorem. – Wzruszyłam ramionami.

– W takim razie zapraszam do siebie! – ucieszył się.

Piotr odwiózł mnie do domu. Nie mogłam wysiąść z jego auta, to było

silniejsze ode mnie. Zachowywaliśmy się jak jakieś nastolatki. Ani razu przez głowę mi nie przeszło, że jeszcze kogoś spotkam. A tu proszę, życie bywa pełne niespodzianek.

– Gdzie ty się podziewasz? – Kuba przywitał mnie w nie najlepszym humorze. – Jest prawie północ, martwiłem się. Nie odbierałaś telefonu.

Faktycznie – kilka razy słyszałam dzwonek mojego telefonu, ale jakoś nie było możliwości odebrać. Teraz patrzyłam na swojego syna pełna wyrzutów sumienia. Czy to nie powinno być odwrotnie? Że to ja się martwię o niego?

– Przepraszam, synku, miałam urwanie głowy w pracy. Idź spać, porozmawiamy jutro rano, co? – Przytuliłam go i pocałowałam w czoło.

– Mamo, wysiadłaś z wypasionego auta i masz bluzkę założoną tył na przód. Coś kręcisz – powiedział zirytowany.

– No dobra, byłam na randce. – Usiadłam zmęczona na kanapie, próbując nie pokazać po sobie, jak bardzo jestem zawstydzona zdemaskowaniem.

– Kim on jest? Opowiadaj! – Kuba ochoczo usiadł koło mnie i patrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Ma na imię Piotr. Biznesmen z Wrocławia. Przyszedł do mnie do biura chyba się zapisać, ale... jakoś nie wyszło – zaczęłam opowiadać.

Właściwie sama nie wiedziałam, jak mam to wszystko nazwać. To było istne wariactwo. Ja, jeszcze całkiem niedawno kura domowa, wdzięczna Andrzejowi niemal do szpiku kości za taki żywot – kim byłam teraz?

– Widzę, że cię ostro wzięło. – Kuba zarechotał.

– Kuba, nie brnij! – skarciłam go.

– Nie no, nic nie mówię. Cieszę się tylko. – Wstał i poszedł do swojego pokoju.

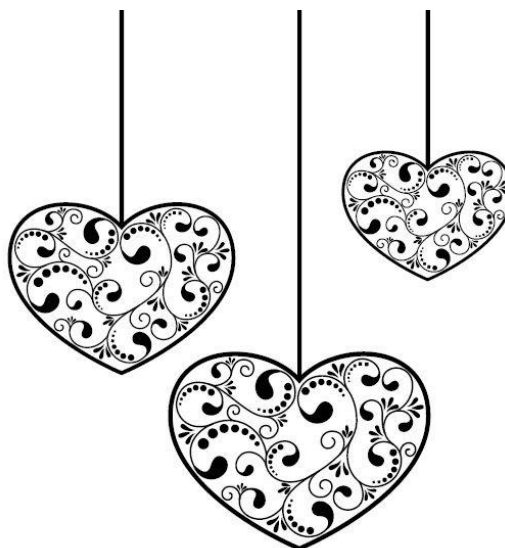
– Kuba? – zawołałam za nim.

– No?

– Jutro rano, gdy będziesz szykować imprezę, weź trochę ciasta i sałatki i zanieś do sąsiadki z naprzeciwka. Uprzedź ją, że będziecie hałasować – zawołałam do niego.

– Po co? – zdziwił się.

– Bo to miła, starsza pani. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko, że balujecie, ale ucieszy się, że o niej pomyślałeś.



– Jedzenie masz? Picie masz? Listę telefonów alarmowych?

– Mamo, na Boga, to impreza urodzinowa. – Kuba przestępował nerwowo z nogi na nogę, czekając, aż w końcu sobie pójdę.

Co prawda dobiegało dopiero południe, ale umówił się z Doti, że pomoże mu w kuchennych przygotowaniach i nie chciał, żebyśmy trącały się łokciami przy kuchence. Ponoć byłoby niezręcznie. Serio? Roman, który przywiózł tort i sałatkę, od razu miał zabrać mnie do Magdy. Ona od rana robiła się na bóstwo, by przed wyjściem wyszykować również mnie.

– No dobra, a dobry humor masz? – zażartowałam.

– Mam wszystkiego aż w nadmiarze, prócz wolnej chaty – ponaglał mnie Kuba.

– No, już dobrze, dobrze. – Podniosłam ręce w geście poddania. – Kubusiu, mój synku kochany, prezent jest schowany w szafie za moimi swetrami. Możesz otworzyć jak tylko wyjdę. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Musiałam trochę poradzić się taty w tej sprawie. Baw się dobrze. – Pocałowałam go w czoło i skierowałam się do drzwi.

– Dzięki, mamo. – Pomachał mi na do widzenia.

I założyłam się, że zamiast sprzątać i szykować imprezę, poleciał zaraz do szafy. W sumie też bym tak zrobiła. Długo nie wiedziałam, co mu kupić, ale

postanowiłam, że skoro Andrzej kupuje mu rower, ja dołożę akcesoria. Z pomocą byłego męża i kilku uprzejmych panów w sklepie rowerowym nabyłam profesjonalne rękawiczki, licznik rowerowy, bidon i spodenki.

Nie doszliśmy jeszcze do auta, gdy już miałam w telefonie wiadomość od Kuby: „Dziękuję! Prezenty są super!”. Chciałam mu jeszcze odpisać, by zrobił z nich dobry użytek, ale nie chciałam wyjść na gderającą żonę.

Dwie godziny później, z podobną troską i wzruszeniem, Magda żegnała mnie i swoje dzieci. Teraz rozumiem, dlaczego Kuba tak się niecierpliwił.

– Jedzenie masz? Picie masz? Listę telefonów alarmowych? – wyliczała moja siostra.

Zaśmiałam się tylko, przytakując, a Roman, gotowy już do wyjścia, kręcił tylko nosem:

– Obie jesteście tak samo pieprzniete...

– Romek, ty się wyrażaj przy dzieciach! – skarciła go Magda.

– One spędzają z tobą tyle czasu, że słyszą wiele ciekawszych rzeczy. – Zaśmiał się mój szwagier.

– Dobra, dobra. Nie chcę was wyganiać, ale spóźniecie się na seans – zaczęłam wypychać ich w stronę drzwi.

– Ej, nie poczekamy na twojego znajomego, by go poznać? – powiedziała zawiedziona Magda.

– Nie – odpowiedziałam. – Na to też przyjdzie odpowiednia pora – zapewniłam.

– To co? My lecimy. – Roman przejął inicjatywę.

Jeszcze chwila czułych pożegnań z dziećmi i odetchnęłam, zamykając za nimi drzwi. Myślałby kto, że naprawdę chciałam tak szybko się ich pozbyć. W końcu im dłużej byłiby w domu, tym krócej poza domem, a ja sama z dziećmi, na które miałam co prawda chytry plan, ale zawsze pozostawało jakieś ryzyko.

– No to co? Siusiu, paciorek i spać! – Klasnęłam uradowana w dłoń.

– Ciociu, ale jest pora obiadowa. – Kalina zrobiła wielkie oczy.

– No tak, ale nie śpicie w południe? Jakaś drzemka czy coś? – zapytałam zaskoczona.

– Jesteś taka zabawna, ciociu. – Kalina wybuchnęła śmiechem. – Poproszę na obiadek naleśniki, a dla chłopców musisz odgrzać zupkę, jest w małym garnku.

No, to by było na tyle z moich chytrych planów. Magda za bardzo wzięła sobie do serca moje gadanie o relaksie i po prostu zostawiła wszystko na mojej głowie. A ja miałam plan leżeć i pachnieć, wyczekując Piotra...

Po piętnastu minutach przy patelni z naleśnikami i kolejnych dziesięciu walki z karmieniem zupą Olka i Antka nie było śladu po mojej pięknej fryzurze, makijażu i chęci wyciągnięcia Magdy z domowego marazmu. W dodatku Olek opluł mnie zupą, a jedyne co znalazłam w szafie, to stara bluza Romana. Może Magda

zaniósła rzeczy do pralni? Albo ma jakąś ukrytą garderobę, o której nie wiem? Kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi, jęknęłam z rozpaczy. Nie zdążyłam nawet wytrzeć potu z czoła, gdy w progu kuchni stanął on.

– Kalinko, czy mama nie mówiła ci, żeby nie otwierać obcym? – pouczyłam siostrzenicę.

– Mówiła, ale on nie jest obcy. Mama mówiła, że skoro już ze sobą śpicie, to jesteś prawie jak rodzina – zwróciła się do Piotra, który najwyraźniej dobrze się bawił całą sytuacją.

– Kalinko, natychmiast przeproś pana Piotra! – skarciłam ją.

– Naprawdę nic się nie stało. Czy mama mówiła jeszcze coś? – zaciekawiał się Piotr, a ja posłałam im obu karcące spojrzenie.

– Że jest pan naszym bohaterem, bo przecież wszyscy wiedzą, że ciocia jest nieudolna życiowo. I jeszcze... ojej! – zmartwiła się Kalina.

– Co się stało, kochanie? – Piotr przykucnął koło niej.

– I jeszcze mówiła, że jak będę niemiała, to zrobią nam z tatusiem kolejną siostrę lub brata i będziemy musieli dzielić się z nim zabawkami. Nie powie pan mamie, że byłam niegrzeczna? – zapytała z oczami niczym kot ze Shreka.

Doprawdy? Czy wszyscy muszą używać tego chwytu?

– Nie powiem, i ciocia Wanda też nie powie. Pod warunkiem, że pójdziesz teraz grzecznie bawić się do swojego pokoju – zapewnił ją Piotr.

No proszę – ja miałam ambitne plany poskromienia tej gromady, a on jednym zdaniem zakasował wszystko. Kalina uścisnęła go w podzięcie i grzecznie pobiegła do swojego pokoju.

– Widzę, że przyszedłem w porę. – Piotr się roześmiał. – Mam coś, ale poczekamy, aż dzieci zasną. – Puścił do mnie oko, wyciągając z prezentowej torby butelkę wina. – Ciekawy styl – dodał, gładząc mnie po bluzie.

– Ten wcześniejszy też na pewno przypadłby ci do gustu. Zwłaszcza marchewkowa broszka na środku. – Zaśmiałam się.

Cały stres jakoś mnie opuścił. To nie była tylko chemia, pożądanie, namiętność. Ja po prostu czułam się przy nim dobrze. Swobodnie, swojsko, naturalnie. Czasami tu i ówdzie zalewała mnie fala gorąca, gdy nasze oczy spotykały się na dłuższą chwilę, ale czułam, jakbyśmy znali się od zawsze.

– Przyniosłem płytę z bajkami. Może włączymy dzieciom w drugim pokoju, a sami obejrzymy jakąś komedię romantyczną? – zaproponował.

Facet, który lubi komedie romantyczne? Boże, żartujesz?!

– Jest tylko jeden problem. W tym domu jest tylko jeden telewizor.

– I na to jestem przygotowany. – Piotr sięgnął do teczki, którą zostawił przy wejściu, i wyciągnął z niej laptopa. – Tadaaam!

– Mówiłeś, że nie masz dzieci. – Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Ale mówiłem też, że świetnie sobie z nimi radzę. Chyba nie sądziłaś, że to

tani chwyt na podryw?

– Tak, a moje zaproszenie ciebie dziś tutaj to test na partnera. – Persknęłam, pukając się w głowę.

– Testy to moja specjalność. Jestem tygrysem rywalizacji, a jeszcze jak nagroda taka zacna...

No i znów mnie uwodził!

Patent z bajką puszczoną na laptopie może nie był zbyt pedagogiczny, ale sprawdził się rewelacyjnie. W końcu skoro Magda i Roman mają dziś swój mały Dzień Dziecka, ja z Piotrem w sumie też, że o Kubie nie wspomnę, dlaczego dzieci miałyby być gorsze? Kiedy one chichotały w pokoju obok, oglądając „Przygody świnki Peppy”, my mieliśmy czas dla siebie. Piotr – jak się okazało – zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Czyżby ten diament miał jednak ryskę i nie potrafił być ani trochę spontaniczny? Jeszcze wczoraj zdawało mi się, że jego niby niezapowiedziana wizyta i namiętny seks był właśnie takim spontanem, ale teraz zaczynałam wątpić. Zwłaszcza że wczoraj miał na sobie nową bieliznę, od której zapomniał oderwać metki. Przypadek? W każdym razie liczyłam na spokojne popołudnie przy winie i filmie, a zamiast tego zostałam postawiona przy garach. No, skoro, jak twierdziłam, on został poddany próbie, to dlaczego nie miałby sprawdzić mnie? Mistrzem kuchni nie jestem i planowałam zamówić coś z dowozem, żeby było romantycznie, ale widząc opasłe torby wypełnione różnymi produktami i niemal skamlące spojrzenie Piotra, nie miałam wyboru.

Początkowo szło nam dość topornie, żeby nie powiedzieć: drętwo. Ale gdy nasze krewetki dusiły się na patelni okraszone czosnkiem, pietruszką i wiórkami masła, a my mieliśmy chwilę, by zająć się sobą, wszystkie stresy zniknęły. W czasie kolacji dołączyła do nas Kalina, której chciałam przygotować kanapki, ale uparła się, że nigdy nie jadła takich robaków i chętnie spróbuje. Tak się rozsmakowała, że pochłonęła połowę! Mam nadzieję, że się nie pochoruje. Najedzona przebrała się w piżamę i grzecznie poszła spać. Bliźniakom też według rozporządzeń Magdy miałam zrobić dzień brudasas, ale Piotr uparł się, by ich wykąpać. Trochę poczułam się nieswojo, gdy tak nalegał. Chyba nie odczuwał satysfakcji z patrzenia na nagich małych chłopców? Widząc jednak moje zdezorientowanie, wyciągnął szybko kolejny gadżet ze swojej najwyraźniej niemającej dna torby – wytwornicę do robienia baniek.

Tyle śmiechu, radości i pisków to nie widziałam chyba od czasu, gdy zabraliśmy Kubę do Disneylandu dziesięć lat temu. Cała łazienka była mokra, ale nikt nic sobie z tego nie robił. Piotr wydawał z siebie odgłosy zwierząt, dzieci piszczały, a ja czułam, że zaczynam się w nim zakochiwać. Czy to możliwe po tak krótkim czasie? Zapomniałam nawet, że miałam zadzwonić do Kuby i zapytać, jak im idzie impreza, ale może to i lepiej? Niech ma te swoje urodziny z odrobiną zaufania.

Chłopcy tak się wymęczyli zabawą, że zasnęli bez kolacji. Przez chwilę miałam dylemat, czy mogę ich tak zostawić, ale Piotr stwierdził, że jak będą głodni, to na pewno nas o tym poinformują. Co racja, to racja.

– Byłbyś świetnym ojcem. Wybacz moją szczerość, ale dlaczego jesteś sam?
– zapytałam, gdy zostaliśmy już całkiem sami. Wyłączyliśmy światło w salonie, by nie budzić dzieci. Zapaliliśmy za to świece, włączyliśmy cicho radio i siedzieliśmy przy winie.

– Chyba nie trafiłem do tej pory na swój ideał. – Roześmiał się.

– Czyli?

– Wysoka, cycata blondyna... – rozmarzył się.

– No to ja nie pasuję do opisu. Jesteś zdesperowany? Obniżyłeś loty? – Parsknęłam.

– Widzisz... Człowiek niby wykształcony, światowy, a głupi. Całe życie wmawiałem sobie, że właśnie takie kobiety mnie pociągają. Na siłę szukałem tych cycatych, wysokich blondynek. Szkoda, że co jedna to głupsza była lub leciała tylko na moją kasę. Przepraszam za bezpośredniość, ale tak to mniej więcej było. Dopiero gdy zobaczyłem ciebie, pierwszy raz zrozumiałem, że w ogóle nie czułem chemii do tych blondyn. To było wybitnie głupie, bo przecież nie jestem nastolatkiem z burzą hormonów – tłumaczył.

– A jak to się stało, że trafiłeś do „Kupidyna”?

– Kolega dał mi namiar. – Piotr spoważniał. – A ty? Dlaczego jesteś sama?

– No cóż. Może wykorzystałam mój przydział już w nadmiarze? – zażartowałam.

– Oby nie – westchnął i położył mi głowę na ramieniu.

– Słuchaj, w sprawie twojego dzisiejszego zaproszenia... Nie gniewaj się, ale mieszkasz we Wrocławiu, a to godzinę stąd. Wolałabym jednak być bliżej domu. Mój syn wyprawia dziś szesnaste urodziny, bez obecności dorosłych.

– Rozumiem. Możemy pójść potem do „Kupidyna”? Tam jest naprawdę przytulnie. No i miejsce bardzo przyjemnie mi się kojarzy... – Spojrzał na mnie przeciągle, aż po plecach przebiegły mi ciarki.

Do „Kupidyna” jednak nie dotarliśmy. Nawet nie wiem, kiedy w butelce ukazało się dno, a zaraz potem zasnęliśmy przytuleni do siebie na kanapie. I o dziwo nikt nie budził nas przez długie godziny. Kiedy usłyszałam brzęk kluczy i otwarłam oczy, za oknem była już poranna szarówka.

– Jezu, szósta rano. – Ziewnęłam, skradając się do korytarza, gdzie Magda z Romanem próbowali po cichu ściągnąć buty i kurtki. – Dobrze się bawiliście?

– Jak nigdy w życiu! – Magda wyściskała mnie, jeszcze raz dziękując za pomoc przy dzieciach. – Musimy koniecznie to powtórzyć. A jak twoja randka?

– Jeszcze śpi...

– Dzieciaki dały wam popalić? – zmartwiła się moja siostra.

– Nie, było okej. Ale wy to raczej nie odeśpicie, bo pewnie zaraz wstaną.
– Umówiłam się z mamą. Zaraz przyjedzie z nimi posiedzieć, żebyśmy mogli się zdrzemnąć.

– Nasza mama? Tu? Zaraz?! – ożywiłam się.

O nie, ona nie może nas tu spotkać! Nie może zobaczyć Piotra. Jeszcze nie wybaczyła mi, że rozstałam się z Andrzejem, a teraz ma mnie przyłapać z nowym facetem?! I jeszcze będzie mu się przyglądać, oceniać, krytykować, wścibiać nos w nie swoje sprawy. Ewakuacja – zdecydowałam szybko. Obudziłam Piotra pocałunkiem w szyję i na migi pokazałam, że czas już wychodzić. Na korytarzu wymieniliśmy jeszcze uprzejmości z Magdą i Romanem. Magdzie aż oko błysnęło na widok Piotra, chociaż po tej nocy na kanapie był trochę wygnieciony i rozczochrany. Zdałam jej szybką relację i wyleciałam jak z procy, ciągnąc za sobą Piotra i rozglądając się, czy mama nie nadchodzi:

– Wanda? – Usłyszałam jej głos już przy aucie Piotra, gdy myślałam że sytuacja jest opanowana.

– Kto to? – szepnął Piotr, otwierając mi drzwi od strony pasażera.

– Moja matka – wycedziłam cierpko.

Piotr – już wtajemniczony w moje stosunki z rodzicielką – stanął bezradnie, nie wiedząc, co robić.

– Wanda? Nie przywitasz się? – Mama podbiegła do mnie i wycalowała, jak gdyby nigdy nic.

Najwyraźniej widok wypasionej fury i atrakcyjnego, zamożnego mężczyzny działał na nią tak samo, jak na te wszystkie cyncate, wysokie blondynki.

– Witaj, mamó. Poznajcie się. To jest Piotr, mój przyjaciel. Moja mama, Elżbieta. – Piotr chwycił dłoń mamy i szarmancko ją ucałował, na co ona westchnęła głęboko.

– Och, jaki pan uprzejmy! Przyjaciel powiadasz, Wandziu?

– Tak, poznaliśmy się w pracy. – Przełknęłam nerwowo ślinę, błagając cały wszechświat, by mama nie drążyła tematu.

– No tak, ty jesteś teraz taka zapracowana, że nie masz czasu odwiedzić starej matki. – Mama zaczęła odstawiać szopkę. – Może przyjdiesz do nas na obiad w piątek? Pan jest oczywiście też zaproszony. – Uśmiechnęła się słodko do Piotra, który zezował na mnie, zastanawiając się, jak potraktować zaproszenie.

– Zadzwoń, mamó. – Ucałowałam ją w policzek i wsiałam do auta.

– Oczywiście, koniecznie! – zaświergotała, po czym podstawiła dłoń Piotrowi pod nos do ucałowania i odeszła.

– Nic nie mów! – warknęłam, gdy tylko zajął miejsce kierowcy.

– Jest dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem po twoich opowieściach. – Zachichotał.

Przed powrotem do domu postanowiliśmy jeszcze zjeść śniadanie gdzieś na

mieście. Niestety jedynym otwartym o tej porze miejscem okazał się McDonald. Romantyzmu za grosz, ale z braku laku... Nie mogłam przecież zrobić Kubie nalotu z samego rana. Umierałam co prawda z ciekawości, czy mieszkanie jest jeszcze całe i z kompletnym umeblowaniem. Przejrzałam nawet kilka razy lokalne media, ale nie było żadnych doniesień o jakichś nocnych akcjach i katastrofach. Pozostało mi dać im odrobinę czasu na posprzątanie i sen, a potem zadzwonić i uprzejmie zapytać o możliwość powrotu. Czy ja nie jestem za postępowa?

Piotr od rana był jakiś milczący. Nie wiem, czy się nie wyspał, czy moja matka tak na niego zadziałała. Może był zawiedziony, że do niczego nie doszło? Ale zasnęliśmy równo po połowie, to znaczy razem. Wtuleni w siebie jak stare dobre małżeństwo. Chciałam być wyrozumiałą i troskliwą kandydatką na partnerkę i zagaić rozmowę, ale odpowiedzi i wnioski mogłyby być dla mnie niewygodne. Poświęcę się, by po chwili usłyszeć: „Zostańmy przyjaciółmi”. Czy to życie będzie kiedyś mniej skomplikowane?

– Jakie masz plany na dziś? – zapytałam, gdy dojechaliśmy już pod blok.

W zasadzie w pewnym momencie w lokalu zrobiło się niezręcznie. Na szczęście z opresji wyzwolił nas Kuba, informując, że mam zielone światło. Zaskoczył mnie tym niesamowicie. Myślałam, że będę koczować w „Kupidynie” do wieczora. Piotr odwiózł mnie pod sam blok. Był niepokojąco nieobecny. Cały czas kokietował mnie, że musi zdać test na mojego faceta, a tymczasem odniosłam wrażenie, że to ja oblałam.

– Przepraszam cię, ale odebrałem maila z firmy, gdy byłaś w łazience. Małe kłopoty, ale nie mogę przestać o tym myśleć – wytłumaczył.

Powiedzmy, że chciałam mu wierzyć. Właściwie od strony zawodowej go nie znam. Może faktycznie coś w tym było...

– Mogę ci jakoś pomóc? – zatroskałam się.

– Nie, jakoś to ogarnę. Po prostu mój nastrój złapał kapcia. – Pogłaskał mnie po dłoni. – Nie gniewaj się.

– W porządku. Po prostu się martwię.

– Niepotrzebnie. Zadzwonię do ciebie, jak tylko to ogarnę. – Pocałował mnie w policzek i zaraz patrzyłam, jak odjeżdżał.

Chyba właśnie dostałam kosza. I to od tchórza, który wymówił się rzekomymi kłopotami w pracy! Już dawno nie umawiałam się na randki, więc pewności nie miałam, ale mail z firmy? W niedzielę? Było zbyt idealnie. Mam nadzieję, że Kuba będzie w lepszym nastroju.

Weszłam po cichu do domu i usłyszałam jakieś głosy z pokoju syna. Chyba ktoś z nim był, bo wyraźnie słyszałam rozmowę, ale w przedpokoju nie zauważyłam żadnych butów czy obcej kurtki na wieszaku. Zaglądnęłam przez szparkę w drzwiach i usłyszałam głośnie: „Dzień dobry” wypowiedane z monitora komputera. Byłam zaskoczona, ale skinęłam grzecznie i uciekłam.

– Mamo, to tylko Skype. On nie gryzie. – Zaśmiał się Kuba, wchodząc do kuchni, w której nastawiałam już wodę na herbatę.

Wszystko wyglądało idealnie. Za idealnie. Znacie to? Spodziewałam się dywanu zalanego winem, chociaż zezwoliłam tylko na symboliczny toast. Albo zarzyganej kanapy – patrz punkt pierwszy. Potłuczonych szklanek, rozsypanych chipsów. Pałętających się po domu kolegów na kacu. Nic? Kompletnie nic?

– Myślałam, że to Doti – powiedziałam zaskoczona, gdy dotarło do mnie, co powiedział przed chwilą Kuba. – A nie jakiś Skype...

– Bo to była Doti, tylko ten program komputerowy, dzięki któremu można rozmawiać ze sobą i się widzieć, nazywa się Skype.

– O, interesujące. Może mogłabym mieć coś takiego w firmie. Uniknęłabym paru niezręcznych sytuacji z klientami. – Zaśmiałam się. – Nieważne, jak tam impreza? Udała się?

– Mamo, było fantastycznie! – Kuba rzucił się na kanapę w salonie. – Najlepsza impreza *ever*! I pewnie zapunktuję w szkole! – cieszył się jak dziecko.

– I tak wszystko posprzątaście od rana? Żadnych wpadek nie było? – dopytywałam zdziwiona. – Powinnam o czymś wiedzieć?

– Przecież wszystko było podane jak na tacy. Oj mamo, ty się nie znasz. Najpierw był toast, tort i wspólne foto na Instagrama. Potem zrobiliśmy konkurs na najśmieszniejszego snapa. A zwycięzca, w tym wypadku Doti, mógł wybrać smaki pizzy, którą zamówiliśmy, gdy zrobiliśmy się głodni. Ciotka co prawda zrobiła sałatkę, ale ta komunistyczna breja nadaje się pod wódkę, a nie świeżo wyciskane soki owocowe.

– Yyy? – jęknęłam, patrząc na niego jak na ufoludka.

– No, potem Paweł... Wiesz, ten rudy, wpadł na pomysł, żeby założyć wydarzenie na FB i zobaczyć, ile osób przyjdzie. Ale gdy o adres poprosiło kółko emo, to stwierdziliśmy, że zaraz będzie jakiś przypał i nie podaliśmy im adresu. Ale i tak była kupa śmiechu!

– Chcesz mi powiedzieć, że cała impreza opierała się na grupowym grzebaniu w telefonach komórkowych?

No nie wierzę!

– Mamo, wiesz ile mam pozytywnych komentarzy i lajków od wczoraj? – Kuba wpadał w coraz większy zachwyty, wybiegając w podskokach do swojego pokoju.

A ja kazałam się Piotrowi zatrzymać po drodze przy aptecce i wykupiłam cały zapas alcazelcer na kaca. Koń by się uśmieiał.

– Czeka, a jak twoja randka? – Kuba znów wskoczył do kuchni.

Nawet nie pytałam, o której ta jego świetna impreza się skończyła, że zdążył się już wyspać. Ale skoro serwowali sobie świeżo wyciskane soki, bo mają fiola na punkcie zdrowego trybu życia, to i pewnie spać poszli na tyle wcześniej, by

zaoszczędzić sobie jakiegokolwiek uszczerbku na zdrowiu.

– A wiesz, było całkiem miło. – Uśmiechnęłam się.

– I facet ci nie zwał? – upewnił się mój syn. – No wiesz, dzieci ciotki...

– Nie, nawet w piątek idziemy na obiad do babci Eli. Ty też jesteś zaproszony – powiedziałam z satysfakcją.

W zasadzie to jeszcze nie wiedziałam, czy pójdziemy, i wcale nie cieszyłam się z tego zaproszenia, ale skoro mój syn uważał, że fajna ze mnie babka, to trzeba było wszystko obracać w sukces, o!

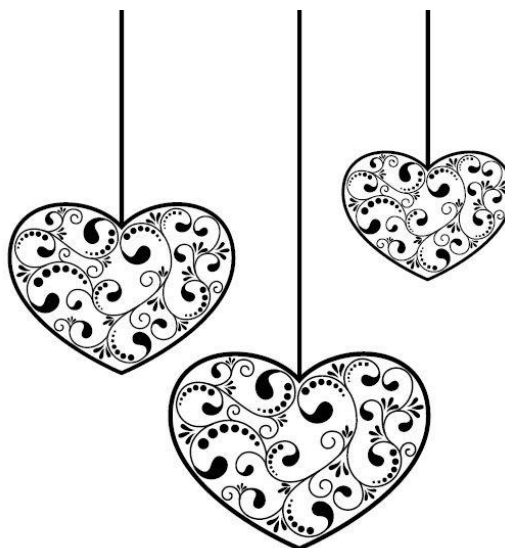
– Serio? Muszę iść? – Skwasił się. – Chociaż... Wiesz co? Chętnie pójdę. Poznam twojego faceta i może babcia mi da parę stówek na urodziny. Upatrzyłem sobie taki profesjonalny kijek do selfie, a już nie chcę cię naciągać.

– Co sobie upatrzyłeś?

Nie było mnie zaledwie jeden dzień i jedną noc, a mój syn nie dość, że chodził, jakby połknął wiadro baterii, to jeszcze gadał w zupełnie nieznanym mi języku.

– Później ci pokażę, Skype czeka. – Machnął ręką i zamknął się w swoim pokoju.

– Skype czy Doti? – westchnęłam.



Jak ja nie lubię poniedziałków! Też tak macie, że jaki poniedziałek, taki cały tydzień? Chyba mnie szlag jasny trafi jak choćby wtorek będzie podobny do dzisiejszego dnia. A gdyby czasem przeszło i na środę, kupuję bilet na Antypody. W jedną stronę!

Zaczęło się od tego, że Kuba przypomniał mi rano o zebraniu rady rodziców w sprawie balu integracyjnego. Kto wymyśla jakieś dziwne bale? Kiedyś była studniówka i koniec. A teraz bal absolwenta podstawówki, bal gimnazjalisty, półmetek i na końcu studniówka. A w tym jakże elitarnym liceum również bal integracyjny. Czy ci nauczyciele nie widzą, że dzieci interesują tylko snapy, Skype i fotki na Instagrama? Tak, odrobiłam lekcję. Lubię wiedzieć, gdzie uzewnętrznia się moje dziecko. Wy nie? I pewnie zaraz na tym zebraniu będzie ustalanie menu i pojawi się sałatka jarzynowa. Ha! To bal dla nauczycieli, nie dla uczniów.

Magda od rana też działała mi na nerwy. A to dopiero jej pierwszy dzień w pracy. Ja rozumiem – stres spowodowany rozstaniem z dziećmi, chociaż dziś na próbę została z nimi moja mama. Ekscytację w związku z wyjściem z domu też rozumiałam, ale ile można?! Od rana latała jak opętana i tylko: „Kochana szefowo, może zrobić herbatę?”, „Kochana szefowo, może przerwa na lunch?”, „Kochana szefowo, dzwonił klient!”. A ja myślałam, że jesteśmy siostrami, a ona mi takie cyrki wyprawia. Nie mówiąc już, że przygotowałam jej te nędzne instrukcje, żeby

miała łatwiej w pracy, ale nie wzięłam pod uwagę, że przydałyby się jeszcze instrukcje do instrukcji.

Tak, marudzę głównie dlatego, że Piotr od wczoraj nie dawał znaków życia. Odchodziłam od zmysłów, ale oczywiście дума nie pozwalała mi się napraszać. Myślałby kto! Pewnie właśnie moja szansa na prawdziwą miłość uciekała mi sprzed nosa.

Zadzwoiłam do pana Gustawa, by poprosić, żeby nasze środowowe spotkanie odbyło się u mnie w domu. Nie, nie oszalałam. Na ten dzień zaprosiłam do mnie również naszą sąsiadkę – panią Czesię. Ona nie wiedziała, czym się zajmowałam, i Gustawa też poprosiłam, by mnie nie zdradził. Wcale nie miałam zamiaru ich swatać. Zauważyłam tylko, że są w podobnym wieku, mają podobne spojrzenie na świat i oboje tęsknią za swoimi ukochanymi, którzy odeszli. I znów reguła, że przeciwieństwa się przyciągają, traciła na zastosowaniu. Oni mogą naprawdę umilić sobie towarzystwem te być może ostatnie chwile. To nie będzie miłosny strzał w dziesiątkę, tylko dobry uczynek.

– Szefowo, Grzegorz Pióro na linii – zawołała z korytarza Magda.

Podniosłam słuchawkę, zaskoczona jego telefonem.

– Czy ty chcesz mnie do grobu wpędzić, kobieto? – przywitał mnie srogo.

Oho, kolejna ofiara poniedziałku.

– Myślałem, że zrezygnowałaś z prowadzenia biura, kiedy usłyszałem tę wariatkę po drugiej stronie telefonu.

– Tak, zrezygnowałam i zapomniałam ci o tym powiedzieć. A ta wariatka to moja siostra. – Wybuchłam śmiechem.

– Eee...

– Dobra, co tam, bo nie mam czasu. Przecież będę dziś na zebraniu. To nie mogło poczekać? – ponagliłam go.

– Kłapa, droga pani. Kompletna kłapa – westchnął ciężko Grzegorz.

– Przecież wysłałam ci teksty. Na Boga, co znowu? – poirytowałam się.

Dobrze Kuba gadał – gej jakiś!

– Tylko że ja się do tego nie nadaję – jęczał Grzegorz. – No bo ona mnie pyta, czy to dziś to zebranie rady jest, tak? To ja jej wyskoczyłem z tekstem z „Bruneta wieczorową porą”: „Nie wiem, nie znam się, nie orientuję się, zarobiony jestem”. Ona najpierw zrobiła wielkie oczy, a za chwilę wydeła usta i powiedziała: „Nie chce mi się z tobą gadać”. To się odwróciłem i poszedłem. Wołała coś za mną, ale nie to nie. Napraszał się nie będę. A potem patrzę na tą pieprzona kartkę z tekstami i widzę...

– „Psy”! – uzupełniłam, łapiąc się za głowę.

– No właśnie! I teraz nie wiem, czy ona mi cytatem odpowiedziała, czy się obraziła! – prychnął niezadowolony.

– Słuchaj, przez telefon to i tak nic nie wskóramy. Zrobię *research* podczas

zebrania, okej? Tylko już może nic do niej nie mów, skoro nie chce gadać! – parsknęłam.

– Okej, okej, okej! No tępak ze mnie!

– Zakochany po prostu i tej wersji się trzymajmy. Cześć. – Odłożyłam słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek jeszcze powiedzieć. – Może jest głupi, ale wie, czym jest miłość – westchnęłam pod nosem.

– Co mówisz? – zapytała Magda, która właśnie weszła do gabinetu z kolejnymi ankietami do przejrzenia.

– Może jest głupi, ale wie, co to miłość. Forrest Gump – powtórzyłam głośniej.

– To był Forrest Gump? On dzwonił? O mój Boże, Roman mi nie uwierzy! – Magda piszczała z zachwytu.

– Tak, to dzwonił Forrest Gump. Żyje, ma się dobrze, w dodatku świetnie mówi po polsku. A ciebie, kochana, obowiązuje tajemnica zawodowa. – Wzruszyłam ramionami, a Magda natychmiast zmarkotniała.

Ona zdecydowanie za długo siedziała z dziećmi w domu.

Magda się chyba trochę obraziła, bo do końca dnia nie zaglądała do gabinetu. A może skupiła na wprowadzaniu danych do komputera? W końcu na tym zależało mi najbardziej. Godzinę przed zamknięciem, pełna obaw, powierzyłam jej klucze do biura, a sama pojechałam na zebranie. Trzy razy powtórzyłam jej, żeby odbierała telefony, zapisywała wiadomości, uzupełniała bazę danych. Nic poza tym.

Kiedy przekroczyłam próg szkoły, od razu zobaczyłam siedzącego na parapecie Grzegorza. Dłubał coś w telefonie i ogólnie wyglądał jak siedem nieszczęść. A do tej pory wydawało mi się, że on jest całkiem normalny. A tu ledwo jedna porażka i już żałoba narodowa. Czy on nie wie, że kobiety nie lubią ciap? Chyba muszę popracować nad jego męskością. Tylko jak się do tego zabrać, żeby sobie nie pomyślał?

– Hej, przystojniaczku! – Podeszłam do niego i przejechałam mu ręką po udzie.

– Zwariowałaś?! – Zeskoczył z parapetu jak oparzony. – Jeszcze nas ktoś zobaczy!

– I co? I pomyśli, że jesteś atrakcyjnym facetem, który ma powodzenie u kobiet? To straszne! – Wywróciłam oczami.

– No, ale to nie przystoi! – próbował się bronić.

– Jezu, nie jesteś księdzem, tylko nauczycielem! W dodatku facetem, wolnym, fajnym. I większość myśli, że gejem. Może dlatego ona nie zwraca na ciebie uwagi? – zaśmiałam się.

– Jak to uważają, że jestem gejem?! – Grzegorz zatrzymał się i stanął naprzeciw mnie. – Kto tak uważa?!

– Kuba mi mówił. W klasie aż huczy. Jesteś ich wychowawcą. Autorytetem! Nie mówię, że gej to zło, ale przecież nie jesteś gejem. I czego ich uczysz? Że facet jest rzadki jak kwiatostan na pustyni! – oburzyłam się.

– To co ja mam robić?

– Przestać się w końcu mazgaić! – warknęłam. – Halo? Przepraszam, może pani poczekać? – zawołałam nagle, bo po drugiej stronie korytarza zobaczyłam rzeczoną panią od polaka, a moja frustracja w sprawie Grzegorza sięgnęła już maksimum. Koniecznie musiałam coś zrobić.

– Co ty wyprawiasz? – zasyczał mi do ucha Grześ.

– Idź do sali, zaraz przyjdę – rozkazałam, wpychając go do klasy, gdzie miało odbyć się zebranie.

– Dzień dobry, jestem Wanda Guzik, mama Kubu z pierwszej be – przedstawiłam się.

– Dzień dobry. Pola Rusin. My się chyba nie znamy? To znaczy... ja chyba nie mam lekcji z pani synem? – zdziwiła się. – On ma polski z panią Szczygieł.

– Tak, ale właśnie o to chodzi... – zawahałam się. – Bo widzi pani, Kuba ma problemy z polskiego i potrzebuje korepetycji, a wie pani, że z panią Szczygieł byłoby niezręcznie. Zresztą to chyba zakazane.

– Kuba ma problemy z polskiego? – zdziwiła się. – A jakie on może mieć problemy miesiąc od rozpoczęcia szkoły?

– Zaaa... zaimki mu nie wychodzą – wymyśliłam na poczekaniu.

Ten pomysł był poroniony od początku. Co mi strzeliło do głowy? Może faktycznie miałabym okazję przyjrzeć się tej całej Poli, gdyby przyszła udzielać korepetycji Kubie, ale musiałabym go wtajemniczyć i dodatkowo policzyć Grzesia za lekcje.

– Zaimki? Co też pani! – zdenerwowała się polonistka. – Oni nie przerabiają żadnych zaimków!

– No i właśnie w tym problem – próbowałam się ratować. – Ona ich nic nie uczy o zaimkach. Wyobraża sobie pani?! – Złapałam się pod boki, grając wielce oburzoną matkę.

– Proszę pani, pani Szczygieł to pedagog z wieloletnim doświadczeniem. Na pewno wdraża materiał zgodnie z wytycznymi narzuconymi przez ministerstwo – powiedziała twardo Pola.

Niezła była! Nie da sobie wcisnąć kitu.

– Dobra, nie będę kręcić – westchnęłam zrezygnowana. – Nie chodzi o Kubę, ale o Grzegorza.

– Grzegorza? – zdziwiła się. – Co ma do tego pan Pióro?

– No bo on jest taki samotny! – wyrzuciłam z siebie.

– Słucham? Pani i pan Grzegorz? – Pola zrobiła wielkie oczy.

– Nie ja i pan Grzegorz! – krzyknęłam poirytowana. Te całe kalambury

zaczynały mnie denerwować. – Pani i pan Grzegorz. To znaczy pani podoba się panu Grzegorzowi. Proszę nie pytać skąd wiem, po prostu...

– Zapraszam na zebranie – zawołał dyrektor.

Pola stała z rozdziawionymi ustami. Z jej miny nie umiałam odczytać, czy ta wiadomość ją zachwycała, czy raczej przerażała.

Wzruszyłam więc ramionami i pomaszerowałam do sali. Siadłam koło Grzesia, który próbował mnie jeszcze dopytać, o czym rozmawialiśmy. Pola usiadła kawałek dalej, po drugiej stronie stołu. Tak jakby każdy siedział na tym samym miejscu, co na ostatnim zebraniu. Gorzej być nie mogło...

A jednak! Po dziesięciu minutach dyrektorskiego perorowania na temat imprezy integracyjnej skapitulowałam, uznając, że jest znacznie gorzej, niż myślałam. Niby szkoła z klasą. Taka postępową, że lekcje zaczynają się po dziewiątej, by dzieci mogły się wyspać, a w kwestii imprezy istna komuna. Gdyby to jeszcze miał być bal tematyczny, w stylu lat dziewięćdziesiątych, mogłoby być nawet zabawnie. Ale nie. To miał być współczesny bal młodzieżowy w komunistycznej oprawie.

– To może przejdźmy do menu. Kto był za nie odpowiedzialny? – Po obszernym omówieniu oprawy muzycznej i dekoracji z herbem szkoły i flagą na czele, dyrektor zerknął na kartkę, by znaleźć kolejny punkt na niemającej końca liście. Jakby nie mogli rozdzielić zadań między dzieciaki. W końcu to już prawie dorosła, odpowiedzialna młodzież. Nauczyliby się organizacji i mieli imprezę taką, jakiej chcieli, a nie jakieś ochłapy.

– Pani Rusin? – Dyrektor zwrócił się do polonistki, która wstała, wyciągnęła z kieszeni kartkę, spojrziała na dyrektora, na mnie, na Grzesia, a potem przeciągnęła wzrokiem po reszcie obecnych.

– Zatem proponowałabym pizzę, frytki i chipsy – zaczęła dukać. – Młodzież teraz chyba to je.

– Pizza?! Pani oszalała?! To ma być porządny bal! – oburzył się dyrektor.

– Ale panie dyrektorze. Stanowczo protestuję! – ożywiła się Pola. – To impreza bezalkoholowa, więc zimnych zakąsek im nie potrzeba.

Tak walcz! Przecież jesteś babą z jajami. Posłałam jej pełne uznania spojrzenie, chociaż raczej go nie zauważyła. Nie wiem czemu, ale spontanicznie zaczęłam klaskać. Szturchnęłam Grzesia, który się dołączył, a potem już poszło po całej sali. Pola wyprostowała się dumnie.

– Spokój, spokój! – krzyknął dyrektor i nerwowo starł pot z czoła. – No, ale może chociaż sałatkę jarzynową? Rybę po grecku? Może chociaż usmażyć krokiety?

– Cycki se usmaż! – krzyknął nagle Grzegorz.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Siedział znudzony, miętolać w rękach trzecią już zrobioną własnoręcznie kulkę z papieru.

– Słucham? – oburzył się dyrektor. – Panie Pióro, pan raczy żartować?! Co to ma, do cholery, znaczyć? – Robił się purpurowy ze złości, stukając niecierpliwie palcami w blat stołu.

Grzegorz ani trochę się nie spał. Chyba w końcu obudziła się w nim ta cała męskość. Tylko czy ja mu kazałam narażać się pracodawcy, żeby zaimponować kobiecie? Przecież jak go wywalą z pracy, to go nawet na kino nie będzie stać. Jak słowo daję – wariat!

– A w filmie polskim, proszę pana, to jest tak: nuda... Nic się nie dzieje, proszę pana. Nic. Taka, proszę pana... Dialogi niedobre... Bardzo niedobre dialogi są. W ogóle brak akcji jest. Nic się nie dzieje – wyrzucił z siebie Grzegorz, po czym wstał i powolnym krokiem udał się w kierunku drzwi.

– Jeszcze nie skończyliśmy zebrania! – zawołał za nim dyrektor.

– Niech moc będzie z tobą – zawołał Grzes, nawet się nie odwracając, po czym wyszedł.

– Grzesiek, poczekaj! – Pola wstała i wybiegła za nim.

No i chyba mamy *love story z happy endem*. Wystarczy faceta pozbawić jaj i zaraz próbuje udowodnić ci, że jednak je ma. Nie doceniałam Grzegorza, zaskoczył mnie.

Prawie pół godziny zajęło mi przekonanie dyrektora, że jestem terapeutą Grzegorza Pióro, zdechł mu pies i że bardzo to przeżywa, dlatego zachowuje się tak irracjonalnie. Kłamałam jak z nut, ale musiałam jakoś ratować te jego jaja. W dodatku zobowiązałam się przekonać Polę i całą radę, że sałatka jarzynowa to imprezowy *must have*. I pomyśleć, że miałam siedzieć w ciepłym biurze, czytać ankiety samotnych serc i dopasowywać je niczym puzzle.

Wracałam do domu wypruta jakbym dopiero zeszła z szycy. Zawód swatki koniecznie powinien być opatrzony zapisem: „praca w szkodliwych warunkach” i uprawniać do wcześniejszej emerytury.

Siedząc w autobusie, zadzwoniłam do Magdy:

– Zabijesz mnie! – przywitała mnie.

– Co zrobiłaś?

– Dałam jednemu facetowi adres klientki – wydukała.

– Co?! – wydarłam się tak głośno, że kilka siedzących nieopodal osób spojrzało na mnie z zaciekawieniem. – Powiedz mi, że to nieprawda! – ryknęłam w słuchawkę.

– Spokojnie. Ten facet to twój Andrzej, a klientka to Beata. – Magda bagatelizowała problem.

– Niby jak to ma mnie uspokoić?

– No bo on tak bardzo prosił. Ona mu się naprawdę podoba. Tobie też byłoby pewnie niezręcznie mu odmówić. Zresztą powiedział, że nie powie, skąd ma adres – próbowała się tłumaczyć.

– Niezręcznie to mi będzie wywalić cię jutro z pracy! – warknęłam znów ciut za głośno. – A Beata to niby głupia blondynka i się nie domyśli, skąd Andrzej może mieć jej adres?! Jeszcze nas poda do sądu!

– Na pocieszenie powiem ci, że dostałaś piękny bukiet kwiatów. – Magda zmieniła temat.

– Od Andrzeja? Nie no, nie wierzę! – oburzyłam się. – I to była ta niezręczność?

– Gdzie tam od Andrzeja. Kurier przyniósł. Może od Piotra?

– I chcesz mi powiedzieć, że twoje wścibskie oko nie zezowało w kierunku bilecika, który z pewnością został dołączony? – syknęłam z niedowierzaniem.

– No dobra, są od Piotra. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że idziesz z nim na obiad do rodziców? – Siostra zaczęła robić mi wyrzuty.

– Co? O czym ty do mnie mówisz?

– Na bileciku pisze, że jest bardzo zajęty i tęskni za tobą. Bla, bla, bla. Ale w piątek na obiedzie u ukochanej pani Eli będzie obowiązkowo. A więc? – zniecierpliwiła się Magda.

– Przecież widziałaś się z mamą w niedzielę. Skoro cię nie zaprosiła, widocznie to coś znaczy...

– Sugerujesz, że nie chciała mnie zaprosić? To niemożliwe.

– A jednak.

– Dobra, kończę. Muszę do niej koniecznie zadzwonić. Do jutra.

No to zapowiadał się uroczy, rodzinny obiad w pełnym składzie. Po prostu nie mogę się doczekać. Swoją drogą... jutra też nie mogę się doczekać. Magda nawet mi nie powiedziała, jak wygląda ten bukiet. Jest ognistoczerwony jak moja miłość do Piotra, czy może żółty, jak „Zostańmy przyjaciółmi”? Ale skoro napisał, że tęskni...

Jeszcze przez chwilę zastanawiałam się, czy nie wysiąść z autobusu dwa przystanki wcześniej i nie przebiec przez cały deptak w centrum, by zaspokoić swoją ciekawość. Przypomniało mi się jednak w porę, że Magda przecież ma klucze do biura. Oby ich gdzieś nie posiała ani się jutro nie spóźniła.

Podreptałam więc grzecznie do domu, gdzie zaległam na kanapie z paczką kupionych w osiedlowym sklepie chipsów i butelką ulubionego jabłkowego piwa – niczym największa nudziara na świecie. Czy ja nie powinnam mieć jakiegoś życia? Siedzę jak ten cep i czekam, aż zarobiony jaśniepan będzie miał czas, by udzielić mi audiencji. A kiedy zapyta, co słyhać? Co robiłam? Jak mi minął czas? Cholera, jeśli powiem prawdę, to wyjdę na nudziarę!

Chwileczkę, jestem nudziarą. Czy taki poważany i światowy człowiek będzie chciał zadawać się z nudziarą? Okej, mam pracę, wychodzę do ludzi. Nawet bardziej, niż mogłoby się wydawać, ale – do licha! – powinnam mieć jakieś życie poza pracą. Hobby, pasję, zajęcie. Może zapiszę się na fitness lub kurs tańca? Nie,

tańczyć to akurat ja mogłabym uczyć. W zasadzie to mogłabym też spędzić trochę czasu z Kubą, tylko on stale z Andrzejem lub z Doti. A może właśnie o to chodzi? Że jestem mało atrakcyjnym kompanem? Chyba to piwo na mnie podziałało, bo zaczynałam się nad sobą użalać...

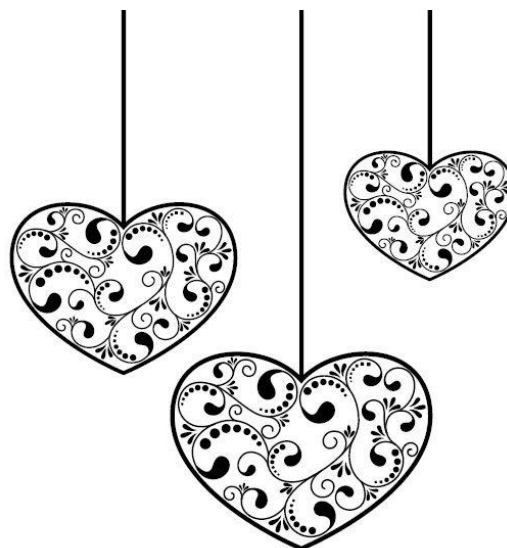
Szybka decyzja. Kąpiel, paciorek i spać. Czyli jednak jestem nudziarą. Popracuję nad tym. Od jutra.

Po kąpeli zobaczyłam, że dostałam esemesa od Grzegorza:

„Zgadnij, kto ma randkę w piątek?”.

Pierwsze co pomyślałam to to, że moja mama również jego zaprosiła na obiad. A potem dotarło do mnie, że musieli się w końcu z Polą spiknąć. Alleluja i do przodu! Odesłałam mu gifa z logiem „Kupidyna”. Kuba mi taki zrobił. Jednak te jego snapy, instagramy i inne ustrojstwa miały jakieś plusy.

Może i jestem nudziarą, ale za to jaką wyspecjalizowaną!



Życie bywa bardzo zaskakujące. I to niestety w najmniej spodziewanych momentach. Kiedy to zaskoczenie jest pozytywne, nie wiem dlaczego, przechodzimy nad tym do porządku dziennego. Zamiast cieszyć się, podziwiać, doceniać. Kiedy zaskakuje nas w sposób nieoczekiwanie dramatyczny, nagle wszystko się wali i pali. Myślimy, rozpamiętujemy, analizujemy. I jesteśmy tacy nagle słabi i bezradni.

Do tej pory żyłam jak w jakimś śnie. Najpierw to był horror pod tytułem „Mąż mnie zdradza”, a potem nagle taki zwrot akcji, że chwilami zastanawiałam się, czy przypadkiem nie znalazłam się na planie filmu „Mój amerykański sen”. Bo jak inaczej wytłumaczyć znalezienie pracy mimo braku doświadczenia, odziedziczenie biznesu i osiągnięcie w nim sukcesów?

A potem przychodzi taki dzień jak dziś, kiedy wołami ściągają cię na ziemię i pokazują brutalnie, gdzie jest twoje miejsce.

– Czekamy na kogoś? – zapytała zniecierpliwiona pani Czesia.

Zaprosiłam ją na obiecaną herbatkę i miałam w planach zapoznać ją z panem Gustawem. Tak, zaczęłam wierzyć w przeznaczenie. Dwa zdania zamienione z panią Czesią podczas wieszania firanek i już wiedziałam, że ich życie będzie szczęśliwe. Nie jako para kochanków, lecz przyjaciół, bratnich dusz, które czują się równie zagubione we współczesnym świecie, a mają odwagę marzyć o bliskości,

rozumieniu. Oboje nie byli zgorzkniałymi dewotami okupującymi ławeczkę w przychodni. Skromni, nieszkodliwi, a jednak tak bardzo wartościowi i potrzebujący obecności drugiego człowieka.

I kiedy już nawet upiekłam szarlotkę z przepisu pani Czesi, kiedy kupiłam zieloną herbatę dla pana Gustawa, kiedy nawet Magdę zostawiłam w biurze samą, by jednak mogli poznać się w domowych warunkach mojego mieszkanka – zadzwonił telefon. Ten cholerny telefon, po odebraniu którego każdy następny przyprawia cię o dreszcze.

To dzwoniła opiekunka pana Gustawa – Zosia. Młoda pielęgniarka zatrudniona przez jego rodzinę do pomocy przy zabiegach pielęgnacyjnych, pilnowania przyjmowania leków i wizyt u lekarza. Zadzwoniła i jednym zdaniem wbiła mnie w podłogę:

– Pan Gustaw wybrał się na spotkanie ze swoimi ukochanymi żonami.

Dudniło mi to w uszach od dobrych paru minut. Nie powiedziała, że umarł, że odszedł do wieczności. Nazwała to spotkaniem z ukochanymi, za którymi przecież tak bardzo tęsknił. Czy czułam się przez to lżej? Czy było mi to łatwiej przełknąć? Sama Zosia szlochała do słuchawki, wypowiadając te słowa. Chciała dać mi pocieszenie, ale jednak i jej serce ubolewało nad stratą. Jakże śmierć jest skomplikowana. Niby wiemy, że nasi bliscy nie cierpią, a jednak jest nam tak źle i pusto. Jesteśmy egoistami, którzy chcieliby mimo woli zatrzymać bliskich przy sobie. Przeszło mi przez myśl, że może Gustaw wcale nie chciał odejść do ukochanych, ale spotkać się z Sabiną. Może nie wierzył w moje umiejętności tak bardzo jak w jej. Ta cała refleksja zapychała mi głowę, chociaż patrząc racjonalnie, nie miała kompletnie sensu.

Pani Czesia niecierpliwiła się coraz bardziej, a ja nie mogłam wydusić z siebie ani jednego słowa, bo bałam się, że samo otwarcie ust spowoduje ryk rozpaczy.

– Nie – jęknęłam w końcu i zaczęłam nalewać herbatę.

– To dlaczego przygotowałaś trzy nakrycia? – zdziwiła się sąsiadka.

– Kuba może w każdej chwili wrócić ze szkoły. Może nie jest amatorem nasiadówek przy herbacie, ale szarlotką na pewno nie pogardzi – próbowałam odzyskać równowagę.

Pamiętam ostatnie słowa Gustawa, gdy widziałam go tydzień temu w środę. Mówił, żebym szukała mu nowej przyjaciółki, a on poczeka. Może potrzeba mu było tylko samej wiadomości, że jego stare serce jest jeszcze komuś potrzebne. Może już przeżył w życiu wszystko i chciał tylko umrzeć, będąc kochanym?

To takie niepojęte! Przecież miał dziewięćdziesiąt jeden lat i pewnie niejedno widział. Zasmakował. Kochał do szaleństwa i może tęsknił za tymi, których już nie było. A może zabrał go strach, że kolejna osoba może go zranić, odchodząc pierwsza? Siedziałam teraz z nosem na kwintę i słodziłam herbatę. Pani

Czesia trzymała fason, chwając szarlotkę, a ja zamiast ratować przed samotnością chociaż ją, przepadłam z kretelem w morzu rozpaczy.

– On umarł – wydukałam w końcu.

– Kto? Kuba? – Sąsiadka zakrztusiła się herbatą.

– Boże broń! – ożywiłam się. – Gustaw. Pan Gustaw umarł – wyjaśniłam a ona wciąż patrzyła na mnie pytająco. – Bardzo chciałam, by pani go poznała.

– Po co, moje dziecko? Nie rozumiem – zdziwiła się Czesia.

– Żeby nie być samotnym. Mogą otaczać cię tłumy ludzi, ale jeśli nikt z nich cię nie rozumie, nie mówi w tym samym języku co ty, to zawsze będziesz samotny. A Gustaw był taki jak pani. Proszę mi wybaczyć te konszachty. To nie tak, że chciałam się pani pozbyć, szukając zastępstwa. Po prostu mogłaby pani porozmawiać z kimś z podobnym doświadczeniem życiowym i spojrzeniem na świat. To chyba nic złego – próbowałam tłumaczyć. – Wiem, pani mnie nie prosiła o nic takiego, a ja trochę tak na wyrost sobie wymyśliłam. Ale jak pomyślę, że kiedyś mogłabym zostać sama...

– Jesteś dobrym człowiekiem, moje dziecko. I nie będę ukrywać, że chociaż nie zdążyłam poznać tego pana, to jednak trochę mu zazdroszczę. Nie chcę wyjść na niewdzięcznika, który się nad sobą użala, ale już po prostu chyba osiągnęłam w życiu wszystko, co chciałam. Staram się cieszyć tym, co mam, ale tam z góry też mogłabym się tym cieszyć. I w dodatku nie tęskniłabym za tymi, którzy czekają tam na mnie od tylu lat. W pewnym wieku człowiek odnosi takie wrażenie, że nawet jeśli usunie się na bok, by nikomu nie wadzić, to już sama jego obecność, istnienie, jest dla kogoś obciążeniem. Ustawiają sobie przypomnienia w telefonie, żeby zadzwonić raz w tygodniu, bo pośpiech pozbawia ich empatii. Nie, nie mam żalu, taka kolej rzeczy. Ale przyznasz, że dzielić z kimś radości jest lepiej. A ci, z którymi tę radość chciałabym dzielić, są na górze. – Starła szybko łzę z policzka.

Dałam dzisiaj totalnie ciała z tym spotkaniem. Chciałam zrobić coś dobrego dla wspaniałej, zagubionej osoby i dałam płamę po całości.

– Dziękuję ci, dziecko, że o mnie pomyślałaś. Pan Bóg wie, co robi, że układa losy właśnie tak. Ale mimo wszystko to dobry dzień. Świadomość, że ktoś sam z siebie zadał sobie trudu, by chociaż chcieć o mnie zadbać, sprawia, że oddycham swobodniej. Dziękuję ci – dodała, głaszcząc mnie po dłoni.

– Mogę panią nadal odwiedzać? Naprawdę dobrze się u pani czuję – poprosiłam.

Rozpogodziła się jeszcze bardziej i przytaknęła z uśmiechem.

– Następnym razem upieczemy szarlotkę razem u mnie. Jeszcze nie do końca ci wychodzi – wyznała szczerze.

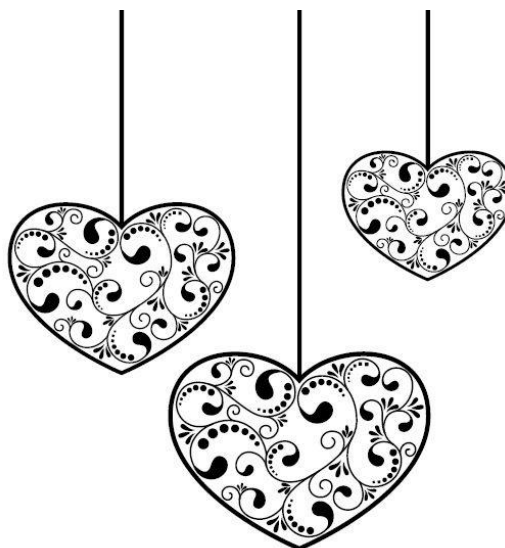
Przytaknęłam i oparłam głowę o jej ramię. I wcale nie miałam do niej żalu o te słowa. Właśnie za to tak ceniłam starszych ludzi. Są prości, szczerzy, a przy tym tacy dystyngowani, z wielką klasą. Szkoda, że moja babcia już nie żyła. Ona

umiała trzymać w ryzach cały dom, całą rodzinę. A teraz, gdy jej nie ma, mam cholernie napięte relacje z mamą. Martwię się, co będzie ze mną na starość, a tak naprawdę to jeszcze kilka lat i moja mama będzie starszą zniedołężniałą kobietą potrzebującą pomocy i wsparcia. A z jej zacięciem i uporem może się okazać, że utknie zamknięta w czterech ścianach.

Może to trochę zalatuje obłudnym żalem, ale pomyślałam o tych starszych ludziach w kontekście „Kupidyna”. Nie myślcie sobie, że wszystko mierzę teraz jedną miarą i przeliczam na złotówki. Ale będąc Wandą Guzik mogę pomóc co najwyżej sąsiadce – pani Czesi, a będąc właścicielem „Kupidyna”, mogę znacznie więcej. Przede wszystkim przyjmować ludzi starszych za darmo. Poza tym organizować grupowe spotkania. Inne niż te spontany na korytarzu w przychodni i odmienne od kółka różańcowego. O, mogłabym poprosić o pomoc Grzegorza. Słyszałam, że są takie akcje międzypokoleniowe, gdzie młodzież spędza czas z seniorami. To naprawdę dobra myśl i koniecznie muszę się tym zainteresować. Wszak zaledwie kilka dni temu rozpaczałam, że nie mam życia poza pracą, że jestem nudna. A to byłoby aktywne, kreatywne i bardzo satysfakcjonujące!

Czasami mam takie myśli, że ta cała sytuacja z Andrzejem to naprawdę jakieś przeznaczenie. Pomyśleć, że mogłam wciąż siedzieć zamknięta w luksusowej willi, otoczona tyloma wspaniałościami...

I tyle stracić.



– A pamiętacie, jak Wanda zwymiotowała na uroczystości barbórkowej? – Magda pękała ze śmiechu, chociaż tę historię wszyscy znali już na pamięć.

Obiady w naszym rodzinnym domu miały to do siebie, że nie mogły się odbyć bez wspomniania takich właśnie perełek z życia naszej rodziny. Zmieniają się pory roku, zmienia się skład przy stole, obrus też się czasem zmienia, lecz ta tradycja pozostawała niezmienna. Zawstydzić, wyśmiać, wypomnieć. I pozornie dobrze się przy tym bawić.

– Okej, może nie przyjeździe z tym, co? – zaprotestowałam stanowczo.

Ogólnie to wcale nie chodziło o to, że mama postawiła przed nami wazę z rosółem, półmisek z kusząco pachnącym kurczakiem, ziemniaki na trzy sposoby i kilka salatek z surówkami do wyboru. Muszę przyznać, że z roku na rok szalała w kuchni coraz bardziej, chociaż te surówki to akurat chyba gotowce.

– Przyznaj się, że nie chcesz źle wypaść przy Piotrze! – Roman się zaśmiał.
– No, niech on sam zdecyduje, czy chce usłyszeć, jak to było!

Piotr rozglądał się po osobach przy stole, które namawiały go do wysłuchania jakiejś zenującej historii i zastanawiał się, co powinien zrobić.

– No, Doti też jej jeszcze nie słyszała – wtrącił się Kuba, którego moja mama zaprosiła z dziewczyną. O dziwo!

O dziwo, bo raczej nie była zwolenniczką niezalegalizowanych związków,

nawet jeśli chodziło o „chodzenie ze sobą” w wieku szesnastu lat. No cóż, można się doszkolić z komputerów, z obsługi komórki, tak żeby nie odstawać od młodych, ale jak się wyznaje jakieś twarde, konserwatywne zasady, to się człowiek w tej materii nie zmieni za Chiny Ludowe.

– Przegłosowane. Mamusia opowie, bo mamusi to najlepiej idzie zawsze – poprosił Roman.

Słowo się rzekło i mama po raz milion pięćset dwudziesty siódmy opowiedziała historię swojego zacnego występu na barbórkach. Dziwne, że gdy plotkuje o sąsiadkach, to za każdym razem przedstawia inną wersję zdarzeń, a przy takich wspomnieniach trzyma się szczegółów jak rzep psiego ogona.

– Tak więc było to jakieś siedemnaście lat temu. Mój mąż, obecny tu Jan, pracował w kopalni jako górnik i dodatkowo grał na trąbie w orkiestrze górniczej. Każdego roku byliśmy zapraszani całą rodziną na uroczystości barbórkowe, które zawsze transmitowane były w krajowej telewizji. No i jednego roku niestety zdarzyła się w kopalni tragedia, przez co obchody okrojono i przełożono na styczeń. Miał być tylko uroczysty pochód z orkiestrą i przemówienie prezesa. Poszliśmy całą rodziną. To znaczy bez Andrzeja, bo on akurat był gdzieś na szkoleniu. I w ostatniej chwili okazało się, że przez zamieć śnieżną nie dojechała jedna z dziewczyn, które miały nieść wieńce z kwiatów na przedzie pochodu i wzięli Wandę z łapanki. Strasznie się opierała, ale tata ją poprosił, bo wiedział, że zapunktuje na górze.

– No i zapunktowałem jak nigdy! – wtrącił naburmuszony tata.

Tyle lat minęło, a on wciąż na wspomnienie tamtego zdarzenia nabzdyczał się jak osa. Chociaż dobrze wiedział, że nic by się nie stało, gdyby nie jego naleganie, bym poszła w tym cholernym pochodzie.

– No i Wandeczka szła z tym wieńcem, a przed nimi szło dwóch górników z pochodniami upamiętniającymi ofiary kopalni, a pochodnie strasznie śmierdziały. No i Wandeczka zwymiotowała na wieńce przed kamerą. Takiego bełta puściła!

– Mamo, błagam oszczędź nam! – Przewróciłam oczami.

– Hej, babciu, ale nie powiedziałaś najważniejszego! – oburzył się Kuba. – Bo tak naprawdę to nie był występ mamy, tylko mój pierwszy występ w telewizji. Mama zwymiotowała, bo jak się okazało kilka dni później, była ze mną w ciąży – dodał uradowany.

– No to faktycznie masz, chłopie, historię, której nikt nie przebije. – Piotr zaśmiał się i przybili sobie z Kubą piątkę.

– Szkoda, że materiał jest nagrany na kasecie video, której nie ma na czym odtworzyć. Taka byłaby pamiątka – powiedział z żalem mój syn.

– Mam w domu specjalny konwerter do przegrywania kaset na płyty. Jeśli chcesz, możemy to przegrać – zaproponował Piotr.

– Serio? – Kuba się ożywił. – Byłoby fantastycznie!

– Jasne, to nie jest takie skomplikowane. Nauczę cię. – Piotr się uśmiechnął.

– Możemy już jeść? – zapytała zniecierpliwiona Kalinka, która do tej pory siedziała przy stole bokiem, zerkając na telewizor.

Uff. Poszło jakoś bezboleśnie. Swoją drogą to przybijanie piątek mnie rozczuliło. Nie wychodzę jakoś daleko w przyszłość, ale fajnie by było, gdyby Piotr złapał z Kubą dobry kontakt.

Po obiedzie mama pozbierała naczynia i zaprosiła wszystkich na deser. Na tę okazję przygotowała mój ulubiony tort Pavlova. Ona chyba naprawdę chce, żebyśmy się dogadały. Cieszę się.

Kiedy już każdy miał na talerzu porcję słodkości, tata wznosił toast za rodzinę. Co prawda w kieliszkach mieliśmy niepasujące do niczego czerwone wino, ale nikomu to jakoś nie przeszkadzało.

– Zanim zaczniemy jeść, chciałbym coś ogłosić. – Kuba nagle wstał, a ja aż upuściłam kieliszek, wylewając całą jego zawartość na spodnie Piotra.

Ten jednak ani drgnął, słysząc wyniosły ton Kuby i widząc przerażenie w moich oczach.

– Kuba, co ty wyprawiasz? – jęknęłam.

– No, skoro już jesteśmy tu wszyscy razem, chciałbym oficjalnie poprosić Doti.

– Synu, nie! – wrzasnęłam.

No czy ten gówniarz oszalał? Przecież on ma dopiero szesnaście lat Pierwsze miłości, pierwsze buziaki. Ponoć jeszcze pierwszego razu nie było, a on mi tu wyjeżdża tak oficjalnie?!

– Mamo, wszystko w porządku – próbował mnie uspokoić. Był taki opanowany, rozluźniony. – Doti, czy zostaniesz moją...

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęłam do Piotra i skryłam twarz w dłoniach

– ...partnerką na balu integracyjnym? – zapytał Kuba i wyciągnął spod stołu małe puzdreczko z bukietem, który przyczepia się dziewczynie na nadgarstku w dzień balu.

– Tak – pisnęła radośnie Doti i pocałowała Kubę w policzek.

– Ha! Mamy cię! – krzyknął mój ojciec, a wszyscy zaczęli się śmiać i klaskać.

Siedziałam przez chwilę zszokowana, a gdy powoli odzyskiwałam oddech i kolory na buzi, sama zaczęłam się śmiać, odgrażając się Kubie za te żarty. Po chwili jednak przypomniałam sobie o wylanym winie.

– Będzie kolejna historia do opowiadania przy stole – zażartowałam, próbując zetrzeć wino ze spodni Piotra.

Było trochę niezręcznie, bo wylało się dokładnie na jego krocze.

– Może lepiej, żebym je zdjął – powiedział do mnie. – Jeszcze chwila takiego głaskania i dopiero będzie historia dla potomnych – szepnął mi do ucha.

Poczułam, jak moje policzki płoną ze wstydu. Odłożyłam ścierkę i zaprowadziłam Piotra do łazienki.

– Może poszukam jakichś spodni ojca, żebyś się przebrał? – zaproponowałam, chociaż tata nosił same staromodne pantaloney.

Z drugiej strony lepsze to niż siedzieć przy stole w slipkach. Poszłam do szafy, wyjęłam jedne z porządniejszych spodni, w których tata był na komunii Kalinki i które – jak sam twierdził – trzymał do trumny. Zaniósłam je do Piotra. Przechodząc koło salonu, usłyszałam dźwięk telefonu Piotrka dobiegający z kieszeni zawieszanej na krześle marynarki. Chwyciłam telefon i wzięłam go ze sobą.

– Telefon ci dzwoni – zawołałam, stojąc pod drzwiami i wciskając spodnie przez ledwo uchylone drzwi.

Czy powinnam ot tak bez pukania wejść do środka?

– To odbierz – poprosił Piotr.

Bez wahania wcisnęłam zieloną słuchawkę.

– Tak, słucham?

– Yyy... Spodziewałem się raczej męskiego głosu – powiedział ktoś po drugiej stronie. – Szukam Piotra Stańko, a raczej Pawła Morawskiego – poprawił się mężczyzna po drugiej stronie.

– Piotr chwilowo nie może rozmawiać. Poprosił, żebym odebrała – wytłumaczyłam, lecz nagle w głowie włączyła mi się czerwona lampka. – Powiedział pan, że kogo pan szuka?

– No, niby Piotra Stańko, ale tak naprawdę Pawła Morawskiego. Chociaż to przecież ta sama osoba. Ja właśnie w tej sprawie. Proszę powtórzyć, żeby pan Piotr oddzwonił do mnie jak najszybciej, dobrze? Sprawdziłem dla niego tę firmę, którą zostawiła przed śmiercią jego matka, Sabina Porąbek. Niech oddzwoni po prostu na ten numer. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Sebastian Hand, adwokat.

Coś jeszcze do mnie mówił, ale ręka z telefonem opadła mi na dół, a telefon wysmyknął się i gruchnął o panele.

– Wszystko w porządku? – zapytał Piotr, który właśnie wyszedł z łazienki w spodniach taty, które były tak szerokie, że zmieściłoby się w nich dwóch, jak nie trzech Piotrów.

Podniósł telefon i sprawdził, kto dzwonił.

– Nieznany numer – zdziwił się Piotr, patrząc na mnie badawczo.

– Kim ty jesteś? – zdołałam tylko wycedzić przez zaschnięte z nerwów usta.

– No wiem, w tych spodniach to zupełnie jak nie ja, prawda? – Roześmiał się, nieświadomy powagi sytuacji.

– Piotr Stańko czy Paweł Morawski? Jesteś synem Sabiny? Sprawdzasz mnie? Uwodzisz, by odebrać mi biznes? Kim ty jesteś?! – krzyknęłam.

Piotr zamarł i przełknął ciężko ślinę.

– To nie... To nie tak, jak myślisz. Porozmawiajmy.

– O czym, co? Zamierzałeś mnie rozkochać, a potem zostawić, zabierając mi „Kupidyna”? Nie można było inaczej? Prościej? Skoro jesteś jej synem, to ci się chyba należy! – wrzeszczałam, nie zważając na podsłuchujące nas z salonu towarzystwo.

Złapałam moją torebkę i zaczęłam pospiesznie wciskać swoje pantofle.

– Co ty robisz? – Piotr złapał mnie za rękę.

Wyrwałam się, nawet na niego nie patrząc.

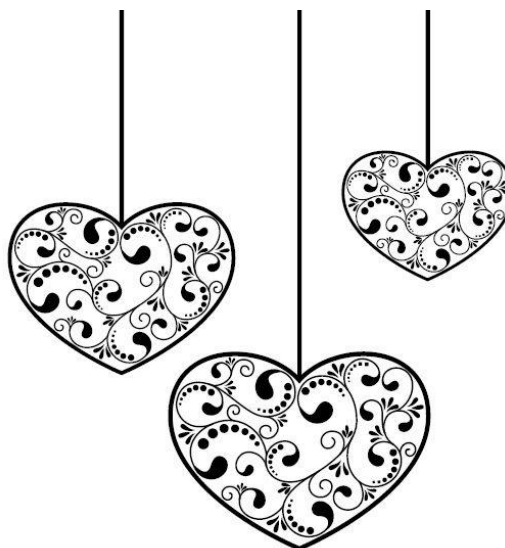
– Masz rację, to dom moich rodziców. Wyjdź. – Ściągnęłam z wieszaka jego płaszcz i podałam mu.

– Daj mi chociaż wytłumaczyć! – poprosił.

– Po prostu już idź! – ryknęłam i wypchnęłam go za drzwi.

Oparłam się o drzwi, osunęłam na podłogę i rozplakałam jak dziecko.

– To dopiero będzie historia do opowiadania – skwitowała gapiąca się wciąż w telewizor Kalinka.



Nie pamiętałam, jak wróciłam do domu. Na drugi dzień rano strasznie bolała mnie głowa. Kuba zrobił mi gorącej herbaty i przyniósł do łóżka. Byłam mu wdzięczna, że o nic nie pytał.

Zaraz po wyjściu Piotra mama naskoczyła na mnie, że to pewnie nieporozumienie i kazała mi za nim biec i wszystko wyjaśnić. Czasami zachowywała się, jakby wszystko było takie proste i jakby wciąż miała nade mną władzę. A ja? Rozpadłam się na milion kawałków. Spodziewałam się, że nasza rodzina trochę odbiega od poziomu wykształconego, światowego Piotra, że może nie wczuć się w ten klimat, zrazić. Ale to, co się stało? To było niczym jakiś tandetny koszmar rodem z brazylijskiej telenoweli!

Jestem tak strasznie głupia. Naprawdę myślałam, że taki facet ot tak zwrócił uwagę na taką przeciętną kobietę jak ja. W dodatku z przeszłością tak bogatą w porażki. Chyba zaszkodziły mi te opary farby w biurze. Najgorsze, że on naprawdę wydawał się być inny. Okej, może zamożniejszy czy bardziej zaradny. Ale taki naturalny, szczerzy, prawdziwy. Boże, jaka jestem naiwna!

– Dolejesz mi do herbaty trochę rumu? – poprosiłam Kubę.

– Chcesz pić tak od rana? – zdziwił się, ale widząc rozpacz w moich oczach, sięgnął do barku po butelkę i uzupełnił nadpita herbatę złocistym trunkiem.

Na telefonie miałam sześćdziesiąt nieodebranych połączeń. Dwa od Magdy,

osiem od mamy, resztę od Piotra. Naprawdę nie uważałam, żeby cokolwiek wymagało wyjaśnienia. No, może oprócz tego, co ja teraz ze sobą zrobię. Tyle zainwestowałam w „Kupidyna” i najgorsze, że naprawdę polubiłam tę pracę. Sprawia mi przyjemność jak nic w życiu.

Ale nic to, będę musiała oddać firmę i poszukać nowej pracy. Może wrócę do gdakania na rynku? Bo pewnie do niczego innego się nie nadaję. Jestem beznadziejna.

Istnieją różne rodzaje życiowych niespodzianek. Jedne wywołują u nas śmiech, euforię, inne przeciwnie – łzy i żal. I są też takie, które dość specyficzenie przypominają nam, że jesteśmy ludźmi, że różnimy się od zwierząt. Bo zwierzęta czasem ranią się fizycznie, ale zwierzę nigdy nie złamie serca drugiemu zwierzęciu.

– Mamo, wiem, że nie chcesz z nikim rozmawiać, ale ciotka Magda chce koniecznie coś ci powiedzieć. Ponoć to bardzo ważne. – Kuba wyciągnął telefon w moją stronę.

Popatrzyłam niechętnie, ale wzięłam go i przytknęłam do ucha.

– Nic nie mów! – uprzedziła mnie siostra. W sumie i tak nie miałam zamiaru. W końcu to ona ponoć miała jakąś ważną wiadomość. – Zalogowałam się na pocztę firmową, bo chciałam ściągnąć formularz naszej ankiety dla kolegi Romana. Roman nam klientów w pracy werbuje. Mniejsza z tym. Przyszedł mail od Piotra. Wiem, że nie powinnam była, ale przeczytałam go i uważam, że ty też powinnaś. Przysięgam, że nie chcę się wtrącać i daleka jestem od jakichkolwiek osądów, ale jeśli ten facet cokolwiek dla ciebie znaczy, wysłuchaj go. Znaczy przeczytaj. Hej, jesteś tam?

Bez słowa nacisnęłam czerwoną słuchawkę i oddałam telefon Kubie. W kubku już było widać dno – dobra okazja do nalania sobie samego rumu.

Boże, jaki ja dawałam Kubie przykład?!

– Mamo, jest sobota. Umówiłem się z tatą, że pojedziemy kupić garnitur na bal.

– Okej – westchnęłam, krzywiąc się od wypitego przed chwilą alkoholu.

– Na pewno mogę cię tak zostawić? – zatroskał się.

– Dam sobie radę, chociaż będzie mi trochę smutno, że nie wybiorę ci garnitur.

– Włącz telefon, to wyślę ci zdjęcie przed podjęciem ostatecznej decyzji, co?

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się.

Czasami tak ludzie psioczą na kobiety, które decydują się poświęcić karierę zawodową na rzecz wychowywania dzieci, ale proszę! Oto namacalny dowód, że to ma wielkie znaczenie. Jaką wielką pracę trzeba w to wychowanie włożyć, żeby osiągnąć właśnie taki efekt. Oto młody człowiek, któremu całkiem niedawno wycierałam resztki marchewkowej papki z ulubionej koszulki z Kłapouchym. Niby

jeszcze trochę dziecinny, a jednak już prawie dorosły. Odpowiedzialny, troskliwy, wspaniały.

Jeszcze się chwilę wahałam po jego wyjściu, ale ciekawość zwyciężyła. W końcu nikomu nie muszę się przyznawać, że przeczytałam tego maila. Wzięłam laptop na kolana, dolałam sobie rumu i z bijącym szaleńczo sercem załogowałam się na służbową pocztę.

Droga Wando,

Ogromnie ubolewam, że sprawy potoczyły się w taki sposób. Nie mogę jednak tego tak zostawić, za bardzo mi na tobie zależy. Wiem, że to wszystko nie wygląda zbyt dobrze, ale uwierz mi – naprawdę nie miałem i nie mam złych zamiarów! Te kilka dni milczenia w zeszłym tygodniu to właśnie nie ciężka praca, tylko moje rozterki po odkryciu prawdy. Bo mimo że ciosy ostatecznie spadły na ciebie, to ja jestem tym, któremu zawalił się cały świat.

Nie wiem, kim jestem. Od zawsze byłem Piotrem Stańko, synem Basi i Edwarda Stańków. Byłem kochany, spełniony, szczęśliwy. Do dnia, w którym dostałem te listy. Nie wiem, kto i dlaczego mi je przysłał. Dlaczego zrobił to akurat teraz? Prawda jest taka, że je dostałem i nic nie było już jak dawniej. Zaadresowane były do Pawła Morawskiego, chociaż adres był nasz. A my mieszkamy tu od zawsze.

Mama próbowała mi wmówić, że to pewnie jakaś pomyłka, ale moje głupie troskliwe serce kazało mi odnaleźć adresata i oddać mu listy. Kiedy bardzo się upierałem, mama w końcu powiedziała mi prawdę. Nie jestem ich rodzonym synem. Nazywam się Paweł Morawski i jestem synem Sabiny Porąbek. Mama powiedziała, że mój ojciec zginął w tragicznym wypadku. Jechał do szpitala, żeby mnie zobaczyć tuż po urodzeniu. Tak się spieszył, że wpadł pod tramwaj. Moja mama wpadła w taką rozpacz, że chciała się zabić. Widząc to, lekarze chcieli wydać postanowienie, by odebrać mnie mamie. Wiesz, kiedyś się nie patyczkowano z terapią, psychologiem. Próba samobójcza była wystarczającym argumentem do odebrania praw rodzicielskich. A przecież nie mieli z tatą nawet ślubu!

Basia, moja przyszywana mama, pracowała w szpitalu jako pielęgniarka. Nie mogli z tatą mieć dzieci i postanowili mnie adoptować. I tak zostałem ich dzieckiem. Miałem wspaniałe dzieciństwo i młodość. W domu nie zawsze opływaliśmy w dostatki, ale miłości było po sam sufit. Rodzice bardzo często rozmawiali po kryjomu o tym, czy powinni powiedzieć mi prawdę, chociaż nie mieli nigdy kontaktu z Sabiną. Ona pisała te listy, lecz żadnego nigdy nie wysłała. Może wiedziała, jak szczęśliwą jesteśmy rodziną i mimo tęsknoty nie chciała tego psuć?

Na pewno tak było. Jej listy przepelnione są ciepłem, miłością, ale opisywała

w nich również pustkę w sercu. Pisała o swojej miłości do mojego ojca i o tym, jak bardzo byłem do niego podobny, gdy się urodziłem. Przepraszała mnie za to, że mnie opuściła, że była zbyt słaba. Och, jak ona za wszystko się obwiniała. Kocham moich rodziców ponad wszystko, ale chciałem odnaleźć moją biologiczną mamę i ją poznać. Nie wiedziałem, czy przyznam się, kim jestem... Nie chciałem ranić moich rodziców.

A potem dowiedziałem się, że Sabina nie żyje i że przez lata prowadziła „Kupidyna”. Chciałem tam po prostu przyjść, powąchać jej świata, dotknąć tych ścian, o które się opierała. Zdobyć cząstkę jej świata. Resztę już znasz. Spotkałem ciebie, zakochałem się po uszy. Przyznaję się, poprosiłem adwokata, by sprawdził kondycję firmy, ale tylko po to, by mieć pewność, że wszystko dobrze wszystko działa i że dzieło mojej matki będzie kontynuowane. Że zostanie tu jeszcze trochę. Teraz znasz już całą prawdę. Nie oczekuję od ciebie współczucia ani zrozumienia.

Mimo ogromnego bólu czuję, że to przeznaczenie...

Piotr

Łyknęłam chciwie powietrze, bo słowa tak bardzo wbijały mi się w serce, że zapomniałam o oddychaniu. Listy. Listy, które znalazłam i kazałam wysłać Kubie. Myśli kotłowały mi się w głowie. Dopiero teraz zrozumiałam, co miała na myśli Sabina, mówiąc: „Szewc bez butów chodzi”, kiedy zapytałam ją o jej miłość.

Wtedy wydawało mi się to tak banalne, powszednie, oklepane! Nie miałam czasu się nad tym pochylić. A może nie chciałam być zbyt wścibska, w końcu nie znałyśmy się zbyt długo. Nie czytałam tych listów, ale już tych kilka zdań napisanych przez Piotra całkowicie mnie rozczuliło. Oskarżyłam go o oszustwo, a tak naprawdę to ja byłam wszystkiemu winna, to ja wysłałam te przekłete listy. Przeznaczenie? Gdybym ich nie wysłała, Piotr nigdy nie dowiedziałby się o swojej prawdziwej matce. Kobiecie dzielącej miłość między ludzi i jednocześnie tak bardzo nieszczęśliwej. Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić. Gdybym ich nie wysłała, nigdy byśmy się nie spotkali. A przecież mimo całej tej zwariowanej historii, niezaprzeczalnie połączyło nas coś szczególnego. Chciałabym móc go teraz przytulić. Ale z drugiej strony... Czy będę w stanie spojrzeć mu w oczy i przyznać się, że to ja wysłałam listy? Nie wyobrażam sobie, że zapoznaje mnie ze swoimi rodzicami, którzy będą wiedzieli, że jedną nieprzemyślaną decyzją zmieniłam cały ich świat. Bo ten świat – mimo nieobecności Sabiny – na pewno się zmienił. Ogarnął mnie jakiś obłąd, niemoc, szaleństwo myśli. Chciałam zadzwonić, usłyszeć jego głos. Tylko co powiem? Pod wpływem emocji mogłabym znów coś zepsuć.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało mnie z szaleńczej gonitwy myśli. Podeszłam do wizjera i zobaczyłam panią Czesię stojącą na wycieraczce z jakąś

miską. Otwarłam zaniepokojona, że coś się stało.

– Dzień dobry, przychodzę nie w porę? – zagaiła, widząc mnie rozczochraną, w piżamie i kompletnym nieładzie.

– Nie, skąd. Coś się stało?

– Pomyślałam, że mogłybyśmy upiec razem szarlotkę. Przyniosłam składniki – powiedziała nieco śmieiej, wręczając mi miskę pełną jabłek i reklamówkę z resztą rzeczy.

Przez moment chciałam rzucić się jej na szyję, przytulić, wyżalić. Ale potem pomyślałam, że może Kuba – bojąc się zostawić mnie samą – poprosił sąsiadkę o pomoc, a ta wymyśliła pieczenie ciasta. Postanowiłam, że od tej chwili już niczego nie schrzanię. Spędzę miłe popołudnie z panią Czesią, potem przemyślę sprawę z Piotrem i załatwię ją tak, jak należy.

– Wiesz, muszę ci coś powiedzieć – zaczęła tajemniczo pani Czesia, kiedy zagniatała ciasto.

Mnie zleciła obieranie jabłek, co, o dziwo, mnie zrelaksowało.

– Co takiego?

– Dużo myślałam o tym, o czym ostatnio rozmawialiśmy, i postanowiłam, że poszukam jakiegoś klubu seniorów. Wiesz, gdzieś niedaleko, bo nogi już nie te.

– To wspaniale! – ucieszyłam się. – Ja też muszę się do czegoś przyznać – dodałam po chwili z lekką obawą. – Pan Gustaw nie był sąsiadem moich rodziców.

– Nie? – zapytała zaskoczona.

– Nie. Znałam go z pracy. To znaczy... był moim klientem. Bo ja pracuję w biurze matrymonialnym. To znaczy, nie chcę, by mnie pani źle zrozumiała. Nie chciałam was swatać, to było poza pracą – próbowałam się tłumaczyć.

– To chyba już i tak nie ma znaczenia. – Sąsiadka machnęła lekceważąco ręką.

– No właśnie, że ma. Po pierwsze, powinnam była pani powiedzieć od razu. A po drugie, ja właśnie postanowiłam organizować spotkania dla seniorów, a pani mogłaby mi w tym pomóc.

– Ja? Jak? Mało znam ludzi w moim wieku. Siedzę cały czas w domu.

– Ale to właśnie nie chodzi o przyciągnięcie znajomych, tylko o wskazówki, co byłoby pożądaną formą spotkań, żeby tych anonimowych domatorów-samotników wyciągnąć z czterech ścian. Jednym słowem, co by panią przekonało, żeby przyjść na takie spotkanie – wytłumaczyłam.

– Co by mnie przekonało? – zamyśliła się pani Czesia. – Na przykład taka domowa szarlotka! – Zaśmiała się po chwili, sypiąc cynamon do pokrojonych przeze mnie jabłek.

I tak blacha swojskiego, wcale nie byle jakiego ciasta, miała uratować świat przez zagładą.

I właśnie dlatego tak bardzo uparłam się, żeby ratować naszych seniorów

przed samotnością. Spędziłam naprawdę wyjątkowe popołudnie w towarzystwie pani Czesi, chociaż poranek zapowiadał katastrofalny dzień. Opowiedziała mi o swoim mężu, który był żołnierzem kompanii reprezentacyjnej. Wiedziałam, że za tym wzrostem i urokiem epatującym ze zdjęć, które pokazywała mi, kiedy widziałyśmy się pierwszy raz, ukryty był tajemniczy potencjał. Jak to mówią – za mundurem panny sznurem. Mąż jej odważny i waleczny, oddany służbie kraju, który kochał. Poległ w nierównej walce, pokonany przez nowotwór płuc. A pani Czesia, gospodyni domowa, dorabiająca sobie przez całe życie poprawkami krawieckimi, skromna, cicha. Zupełne przeciwieństwo męża. I ta ich miłość taka prawdziwa. Trochę się rozmarzyłam. I mimo że od początku nie dawała mi powodów, by sądzić inaczej, poczułam do niej ogromną sympatię i jakieś przywiązanie. To trochę dziwne, bo z mamą nigdy nie miałam tak zażyłych relacji jak z tą całkiem niedawno poznaną kobietą.

Upiekłyśmy tę szarlotkę. Pani Czesia przyniosła z domu wiśniową nalewkę, którą raczyłyśmy się do wieczora. W międzyczasie Kuba przysłał zdjęcie garnituru. Przy okazji opowiedziałam sąsiadce o mojej nader skomplikowanej sytuacji życiowej. Powiedziała jej też o Sabinie i całej historii przejęcia „Kupidyna”. Ominęłam temat Piotra. Jakoś nie byłam gotowa o tym mówić, a może akurat ona doradziłaby mi, co robić. Chyba nie chciałam jej martwić.

Wieczorem odprowadziłam ją do domu i upewniłam się, że dokładnie zamknęła drzwi. Potem wróciłam do siebie i odbierając od Kuby wiadomość, że zostaje u Andrzeja do jutra, naszykowałam sobie kąpiel.

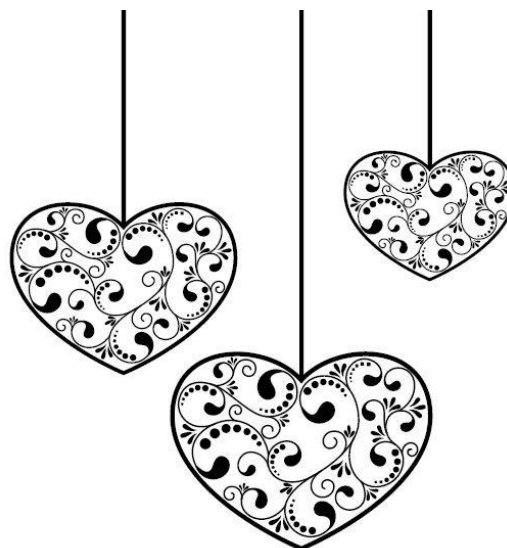
Poleżałam w wannie i zrobiłam sobie prawdziwe spa. Kremy, maseczki, peelingi i mnóstwo innych kosmetyków. Istny raj dla ciała. Szkoda, że duszy nie można tak zregenerować.

Po kąpieli chciałam po prostu się położyć i zasnąć. Ostatnia noc nie należała do wzorowo przespanych, co odbiło się na moim nastroju, o wyglądzie nie wspominając. Pani Czesia tylko z czystej uprzejmości nie uciekła z krzykiem na mój widok.

Umościłam się w świeżej pościeli i usilnie próbowałam zasnąć. Przewalałam się z boku na bok. Zrzucałam i podnosiłam poduszkę. Odkrywałam się, przykrywałam się, znów się odkrywałam, przykrywałam się do połowy. Nic z tego.

Usiadłam na łóżku, wzięłam laptop i ponownie zaczęłam czytać wiadomość od Piotra.

– No i co ty ze mną robisz... – wzdychałam, przewijając kolejne linijki tekstu.



W niedzielę obudziłam się całkiem rześka. Jakby wstąpił we mnie nowy duch, wręcz Duch Święty. Też tak macie? Kiedy pojawia się kryzys, spadek formy. Pierwszą reakcją jest zniechęcenie, brak wiary, wywieszanie białej flagi. Zaraz potem dostaję takiego zastrzyku energii i motywacji, że mogłabym tą energią oświetlić domy w całej Legnicy i jeszcze starczyłoby na okolicę. No, dość tych porównań.

Nie wiem, dlaczego dziś świtają mi w głowie głównie religijne myśli – najpierw Duch Święty, a teraz... No właśnie. Wypełniając przykazanie: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”, zakasałam rękawy i wzięłam się do pracy. Najpierw ureguluję wszystkie zaległości w biurze. W środę bumelowałam z panią Czesią, w piątek wyszłam wcześniej, by nie spóźnić się na obiad do rodziców, a biznes musi się kręcić. Najpierw robota, a potem przyjemności. Już ja mam plan! Do Piotra postanowiłam nie odpisywać. Nie to, że grałam niedostępna, serio! Jakbym mogła, to biegłabym na przelaj do tego Wrocławia. Ale pośpiech jest złym doradcą. A ja nie jestem nudziarą, która w weekend odbiera firmową pocztę i odczytuje wiadomości. To znaczy jestem, ale on nie musi o tym wiedzieć. Kumacie? Nie kumacie, boście nie żaby, ale rozumiecie na pewno – bystrzaki!

Odpaliłam komputer, najpierw zalogowałam się na pocztę, by sprawdzić, czy aby Piotr nie napisał jeszcze czegoś, po czym spokojnie zabrałam się za

planowanie najbliższych zadań. Szło mi zaskakująco sprawnie. Jakby żadne chmury nigdy nie zawisły nad moim życiem, a ja była stworzona do roli swatki.

Zaczęłam od założenia konta na portalu społecznościowym. Na szczęście Kuba podszkolił mnie w tych tematach. Potem utworzyłam moje pierwsze wydarzenie – Andrzejki w „Kupidynie”. Nie będzie to bal na sto par, ale planuję poczęstunek przy dźwiękach muzyki, może jakieś wróżby, ogólną integrację – na pewno jeszcze coś przyjdzie mi do głowy. Do zabawy zostały dwa tygodnie. Niestety w międzyczasie jest jeszcze ten piekielny bal integracyjny, w który zostałam wmanewrowana przez Grzegorza. Mam nadzieję, że z pomocą Magdy jakoś to ogarnę. Nie mogę przecież zawieść ani syna, ani moich klientów – wszyscy na mnie liczyli! Kolejny krok to przesłanie informacji handlowej do lokalnych mediów. Napisałam kilka zdań o naszej działalności, dodałam zaproszenie na Andrzejki i kupon zniżkowy na pierwszą wizytę w „Kupidynie” – czyż to nie było proste? Już widzę, jak pławię się w wannie pełnej szampana i zajadam kawior w luksusowej willi. Nie, wróć! Już widzę nasze miasto po imprezie. Pełne zakochanych ludzi! O, to jest moja misja!

Postanowiłam też zmodyfikować naszą ankietę. Więcej pytań otwartych – chcemy naprawdę poznać tych ludzi, czyż nie?

Ani się spostrzegłam, jak intensywne burczenie w brzuchu oznajmiło mi, że zbliża się pora obiadowa. Nie chciało mi się gotować, ale wychodzić z domu do restauracji tym bardziej nie miałam ochoty. Do domu nie zamówię, bo nie mam gotówki, a nie wiem, czy będzie można zapłacić kartą. Przetrzepałam szafki i natknęłam się na zupkę chińską – to powinno załatwić sprawę na jakiś czas. W ramach drugiego dania zjem resztkę wczorajszej szarlotki. Dobrze, że Kuba wróci po obiedzie. Napiszę mu tylko, żeby kupił coś na kolację.

Pochłonęłam zupkę i ciasto, zaparzyłam sobie kawę i wróciłam do pracy. Jeszcze trochę i sama odznaczę się mianem pracownika miesiąca – cóż za poświęcenie, za zaangażowanie. Co za polot!

Ja nie wiem, co mnie tak dziś cieszy? Przecież tak naprawdę nie wyjaśniłam sobie jeszcze wszystkiego z Piotrem. Nie okazał się dupkiem, który chciał mnie wykorzystać – to fakt. Ale dobrze też nie było. Z góry zakładałam, że jutro do niego zadzwonię, poproszę o spotkanie, a on w ułamku sekundy teleportuje się do mnie na skrzydłach miłości. I żyli długo i szczęśliwie. Cholera, a jeśli się nie uda? Jeśli on już mnie nie chce? Jeśli znalazł sobie inną? Albo – co gorsza! – odkrył, kto wysłał mu te listy? Albo zaczynam się łamać, albo to już naprawdę menopauza...

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Czyżby Kuba? Spojrzałam na zegarek. Dochodzi szesnasta. Trochę wcześniej i Kuba ma przecież swoje klucze. Może to znów pani Czesia. Otwierać? Udawać, że mnie nie ma w domu?

Zadzwonił telefon – Grzegorz.

– Słucham? – odebrałam.

– No, jesteś w domu! Słyszę, że gadasz do mnie zza drzwi. Otwieraj, bo stoję tu jak kołek – powiedział zniecierpliwiony i się rozłączył.

Podreptałam do przedpokoju i przejrzawszy się kontrolnie w lustrze, otwierałam.

– Skąd ty się tu wzięłaś? – zapytałam zdziwiona.

– Mam problem i tylko ty możesz mi pomóc – powiedział twardo, wchodząc do mieszkania – Jesteś sama? Kuby nie ma?

– Tak, sama. Skąd masz mój adres?

– Jestem wychowawcą twojego syna, mam wasze wszystkie dane. Adres, daty urodzenia, grupy krwi, numery PESEL. Mogę na was kredyt wziąć. – Parsknął śmiechem.

– Co?

– Nieważne. Musisz mi pomóc. Mamy niewiele czasu – powiedział całkiem poważnie.

– Jezu, co się stało? Brzmisz, jakby cię ściagała jakaś mafia – przeraziłam się.

– Ale Kuby nie ma? – upewnił się. – Bo jak coś, to przyszedłem tu w sprawie balu.

Skinęłam niepewnie.

– Kawy? Herbaty? – zaproponowałam.

– Mogę cię prosić do tańca? – zapytał bez pardonu i złapał mnie pod boki.

– Jezus Maria, co ty wyrabiasz?! Oszalałaś? – Odskokczyłam jak poparzona.

– Oszalałem. Tak, przyznaję się, oszalałem z miłości do Poli. A teraz to już koniec będzie! Ende! Finito! Kaplica! – wykrzykiwał, łapiąc się za głowę.

– Przestań odstawiać te cyrki, bo zaraz oszaleję!

– Zaprosiłem ją na bal integracyjny.

– No i? Jak to zaprosiłeś? Przecież ona i tak tam będzie. Pracujecie razem!

– Tak, ale zaprosiłem ją, byśmy tam byli razem – wytłumaczył, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Dobra! Powiedzmy, że rozumiem, chociaż wciąż nie wiem, co to zmienia!

– To zmienia, że nie umiem tańczyć, a zaprosiłem kobietę na zabawę taneczną. Na kretyna wyjdę, idiotę, niemotę, cipcię, geja! – dramatyzował Grześ.

– I co ja mam z tym wspólnego? Reklamacji nie przyjmuję – westchnęłam ciężko.

– Naucz mnie tańczyć. Pokaż mi kroki, pokaż, gdzie mam złapać partnerkę, żeby nie czuła się... No ten, obmacywana. Podpowiedz, co mam jej szeptać do ucha i takie tam. – Przewrócił oczami.

– Takie tam?

– To bal integracyjny!

– I co? Chcesz się tak zintegrować, by ją puknąć po balu, czy co? – Roześmiałam się serdecznie.

- Jesteś wulgarna! – skarcił mnie.
- A ty jesteś cipcia. I kto jest na wierzchu?
- Pomożesz?

Oho – znów te oczy kota ze Shreka. Czy u nas w mieście można z tego zrobić jakiś kurs, że wszyscy to stosują?!

Jestem taka zniewolona przez mężczyzn. Jak nie Kuba i jego domówka, to Piotr i sami wiecie kto. A na deser jeszcze zostają damskim Fredem Astairem. No i co mi było robić? W końcu klient nasz pan, a ja, zgadzając się na początku pomóc Grzegorzowi, najwyraźniej podpisałam cyrograf.

– Słuchaj, może będziesz udawał, że skręciłeś nogę? Mam znajomą w szpitalu, skołuje kule. Albo wózek. – Pół godziny później wciąż tkwiliśmy w tym samym miejscu.

Bezskutecznie próbowałam wytłumaczyć mu krok podstawowy: jeden w lewo, dwa w prawo. Co za osioł. A to ponoć kobiety myślą kierunki.

– Ja się po prostu nie mogę przy tobie skupić! – jęczał Grzegorz.

– Serio? To co będzie z Polą na balu? Ona tam będzie zapewne odstawiona jak miss świata. Lepiej sobie przygotuj myśli awaryjne.

– Co?

– Myśli awaryjne.

– Co to takiego?

– Takie tematy, o których myśli facet, żeby mu nie stanął za szybko – wytłumaczyłam zrezygnowana.

– Boże, wychodzę stąd! – Grzegorz złapał za kurtkę i wybiegł do przedpokoju, w którym zderzył się z Kubą.

Pewnie muzyka była tak głośna, że nie słyszeliśmy, jak otwierał drzwi. Zrobiło się niezręcznie. Co prawda mieliśmy plan awaryjny pod tytułem „Bal integracyjny”, ale biorąc pod uwagę nastrojową muzykę i kieliszki z winem, którym uraczyłam Grzegorza dla rozluźnienia... było bardziej niż niezręcznie.

– Mamo, co tu się dzieje? – krzyknął rozżłoszczony Kuba. – Kiedy zapomniałaś mnie wczoraj, że nic ci nie będzie, jeśli zostawię cię samą, nie wspomniałaś, że zaprosisz sobie faceta. Jego? Mamo, prosiłem cię! – Poszedł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami.

– Kubuś, porozmawiajmy. To nie tak, jak myślisz! – Stałam pod drzwiami.

– Ustalamy ustalenia – dodał Grzegorz.

Skarciłam go wzrokiem.

– Chyba powinienem już pójść – dodał po chwili.

– O nie! To ty nawarzyłeś tego piwa i ty je wypijesz! – oznajmiłam srogo i wtargnęłam do pokoju Kuby, ciągnąc za sobą Grzegorza.

Parę minut później Kuba siedział wielce rozbawiony na kanapie w salonie

i do moich instrukcji tanecznych dodawał swoje komentarze w temacie uwodzenia kobiet. I tak właśnie wyglądała moja tajemnica zawodowa. Oczywiście po usłyszeniu całej prawdy o tym, że nieświadomie przyjąłem Grzegorza w biurze, nie wiedząc, że jest jego wychowawcą, chciał wynegocjować dożywotnie zwolnienie z odpytywania przy tablicy, ale zagroziłam, że oddam go do domu dziecka, jeśli będzie mataczył lub komukolwiek powie o moich powiązaniach z Grzegorzem. Chyba wziął to sobie do serca. Przy okazji okazało się, że jest całkiem dobry w te klocki i dał Grzegorzowi kilka cennych rad, które ten – o dziwo! – przyjął ze spokojem. Jajko mądrzejsze od kury, ha! Trochę było niezręcznie, gdy Kuba demonstrował na mnie gdzie i kiedy można rzekomo dotknąć kobietę według najnowszych trendów uwodzenia. Serio, jest coś takiego! No, ale dla dobra sprawy...

Bawiliśmy się w najlepsze, gdy ktoś znów zastukał do drzwi. Kuba zostawił nas i poszedł otworzyć, a ja z Grzegorzem postanowiłam wykorzystać tę chwilę na powtórzenie kroku podstawowego. Śmiałyśmy się do rozpuku z nieudanych prób i wzajemnego deptania po butach, gdy za drzwiami salonu nastąpiło jakieś poruszenie, przepychanka i drzwi nagle otwały się, a do salonu wpadł... Piotr Stańko.

– Mówiłem mu, że to nie najlepszy moment! – Kuba próbował ratować sytuację.

Piotr rozejrzał się po pokoju. Rzucił wzrokiem na kieliszki z winem, dodał sobie do tego muzykę i dwoje ludzi odmiennej płci stojących naprzeciw siebie w wątpliwie bezpiecznej odległości, zacisnął zęby i wycedził:

– Faktycznie, nie będę państwu przeszkadzał.

I wyszedł.

– Piotr, poczekaj! – zawołałam za nim, ale był już na klatce schodowej i zbiegał po schodach. Nawet nie poczekał na windę, tylko schodami, w dół, jak najdalej od nas.

Niech to szlag trafi!

Grzegorz zaczął zbierać się w te pędy, uznając, że tyle wiedzy już mu wystarczy. Podziękował za pomoc, przeprosił za najście i tyle go widzieli. A ja zostałam sama.

Próbowałam zadzwonić do Piotra, ale wyłączył telefon. Trzeba było odpisać na tego cholernego maila. Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj, cholera jasna!

Kuba próbował mnie pocieszać, ale on nie znał prawdy. Dopiero gdy powiedziałam mu o wiadomości od Piotra, mina mu zrzedła.

– Mamo, skąd mogłaś wiedzieć, że Sabina ma taką tajemnicę...

– Już nic nie wiem, Kubuś. Już nic nie wiem... – westchnęłam.

– Zależy ci na nim, co?

– To jest takie głupie, wiesz. Przecież my się znamy zaledwie dwa tygodnie.

Nie można tak bardzo się do kogoś przywiązać w tak krótkim czasie, prawda? – dedukowałam na głos.

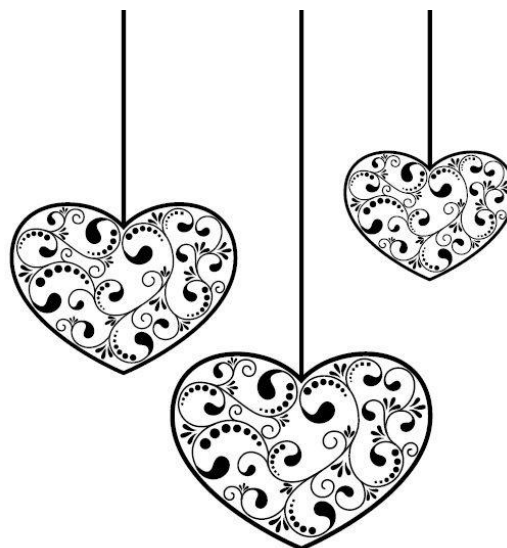
– Myślisz, że to sprawka Kupidyna?

– Co?

– No wiesz... Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. – Zaśmiał się i mnie przytulił. – Wszystko będzie dobrze, mamó. Musisz tylko uwierzyć w przeznaczenie.

No i następny mi tu wyjeżdżał z przeznaczeniem. A przecież ja nigdy nie mówiłam, że nie wierzę w przeznaczenia, do diabła! Po prostu nie mam zdania w temacie, i tyle. Chociaż teraz to bym zwała winę na pech, nie przeznaczenie. W końcu jestem podwójną rozwódką, nie? Nie we wszystkim mogę być dobra i najwyraźniej ta sfera kuleje. Zdecydowanie. Tylko, do cholery, dlaczego doradzam innym w tej materii, skoro ze mnie taka lebioda? Szewc bez butów chodzi? Lekarzu, lecz się sam? Powinnam wywiesić białą flagę? Może Kuba ma rację – roztaczam na lewo i prawo te czary Kupidyna, nie zdając sobie do końca sprawy z powagi sytuacji, to teraz mam za swoje.

Co robić?!



A dalej już było całkiem normalnie. To znaczy wcale nie było normalnie, bo było źle. Ale było po prostu źle. Żadnych wątpliwości, czy zasłużyłam, czy to ukryta kamera, czy ktoś się pomylił. Była wina, była kara. Wcześniej snułam te swoje wywody o amerykańskim śnie, o milionach dziwnych zbiegów okoliczności, kiedy to zwykła kura domowa nagle zostaje szalową bizneswoman. Teraz było po prostu normalnie. Waliło się, paliło się, wiatr uderzał w oczy. Jak to najczęściej bywa w życiu. W normalnym życiu.

Pierwsza bomba pękła w poniedziałek rano. Magda nie przyjechała do biura, bo Roman spadł w pracy z rusztowania i złamał nogę. W sumie dobrze, że złamał nogę, a nie kark. W każdym razie zadzwoniła roztrzęsiona i wkurzona, że siedzi z nim piątą godzinę na izbie przyjęć i czeka, aż ktoś ich przyjmie. Normalne, co?

Wpadło mi do głowy, że mogłabym poprosić o pomoc Beatę. Przyznaję szczerze, że nasza znajomość nie przebiegała ostatnio zbyt pomyślnie. Nie, właściwie to w ogóle nie przebiegała, ale kiedy człowiek jest w potrzebie, to chowa dumę do kieszeni. Jakież było moje zdumienie, kiedy w końcu się przemogłam i zadzwoniłam na oddział, a uprzejma pielęgniarka oznajmiła mi, że Beata jest na zwolnieniu chorobowym. Nie byłoby w tym absolutnie nic wyjątkowego, gdyby nie dodała po chwili, że to zwolnienie „ciążowe”. O mój Boże! Pierwsze co wpadło mi do głowy, to Andrzej. Porzuciłam na chwilę misję ratowania Romana

i wykręciłam numer Andrzeja.

– Ty idioto! Ty kretynie! Ty debilu! – wrzasnęłam, gdy tylko odebrał.

– Ciebie też miło słyszeć. Czemu zawdzięczam ten wyjątkowy, poniedziałkowy telefon? – zapytał z przekąsem.

– Jak mogłeś zrobić jej dziecko? Nie wiesz, do czego służą prezerwatywy?!

– Oczami wyobraźni widziałam Beatę dostającą zawału nad testem. I wiecie co? Zrobiło mi się jej naprawdę szkoda.

Raz, że od początku mówiła mi, że nie chce mieć dzieci, a dwa... Cholera, przecież to Andrzej!

– Kasia jest w ciąży? – zapytał nerwowo, głośno przełykając ślinę.

– No, módl się, żeby jednak nie! – warknęłam.

A to by było, gdyby obie kochanki Andrzeja zaszły w ciążę! Chociaż... Nie, to zbyt przerażające.

– To znaczy jest czy nie jest? – zapytał rozłoszczony.

– A tylko z nią uprawiałeś seks?

– No chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ty jesteś w ciąży. Wybacz, ale jednak nasze współżycie ostatnimi czasy było... dość ubogie.

– Trzymajcie mnie, bo zabiję go żywymi rękami! – znowu wrzasnęłam.

– Chyba gołymi rękami...

– Beata! Mówi ci coś to imię?! Wysoka, ładna, zgrabna lekarka! – krzyknęłam.

– O mój Boże... – jęknął. – To dlatego nie odbiera telefonu i nie otwiera mi drzwi. – Zaśmiał się.

– No i co cię tak bawi, co?!

– Bo to świetna wiadomość! Kocham tę kobietę do szaleństwa i dziecko też będę kochał. Zaraz do niej jadę i będę stał pod oknem, póki mnie nie wpuści. Muszę kończyć, pa! – rzucił i się rozłączył.

A niech mnie kule biją. Armagedon. Grunt, że jedna sprawa się wyjaśniła. Kuba zawsze marzył o rodzeństwie.

Magda wciąż dobijała się do mnie przez telefon, ciekawa, czy coś udało mi się wskórać, by Romana przyjął w końcu jakiś lekarz. Trzeba było ruszyć głową.

– Halo? Czy to izba przyjęć?

– Tak, w czym mogę pomóc?

– Dzwonię z tajną informacją. Widzi pani na poczekalni takiego ciemnego pana z rozgadaną kobietą u boku? Ma chyba złamaną nogę. Widzi ich pani?

– Tak, widzę. O co chodzi?

– Ten pan udaje pracownika budowlanego, a tak naprawdę jest wtyką z ministerstwa zdrowia. Sprawdzają, czy wasz oddział sprawnie funkcjonuje. Lepiej przyjmijcie go natychmiast – szepnęłam i szybko się rozłączyłam.

Dwa zero dla mnie. Tylko czemu od rana przydarzały mi się same

katastrofy? Spociłam się, jakbym biegła w jakimś maratonie.

Kiedy powoli odzyskiwałam równowagę i już miałam nawet zabrać się do jakiejś konstruktywnej pracy, dostałam dziwną wiadomość od Kuby: „Lepiej wejdź na facebooka”.

Włączyłam komputer, zalogowałam się na portal społecznościowy... i o mało nie dostałam zawału. Moje wydarzenie miało dziesięć tysięcy udostępnień, a swoją obecność na andrzejkowym spotkaniu „Kupidyna” zapowiedziało trzydzieści tysięcy ludzi z całej Polski.

O matko i córko! Nie no, fantastycznie, że akcja nabiera tempa. Tylko, do ciężkiej cholery, z kameralnego spotkania zrobi się impreza masowa! Wiec polityczny! Dlaczego oni mi to robią? Nie ogarnę organizacji aż takiej imprezy. Nie chce, nie mogę. Gdzie to się wyłącza?!

Wtorek wcale nie odczarował tego fatum. Od rana rozdzwoniły się telefony od oburzonych klientów. Zobaczyli całą akcję w Internecie i mieli do mnie żal, że wystawiam ich na pośmiewisko. Stwierdzili, że większość ludzi przyjdzie na imprezę nie po to, by kogoś poznać, tylko by ich napiętnować jako nieudaczników, którzy korzystają z pomocy biura, by ułożyć sobie życie osobiste. Nie pomogły przeprosiny i tłumaczenia, że wszystko odkręcę. Sześć osób zrezygnowało z moich usług, a dwie dodatkowo zagroziły pozwem. Czy tak wygląda tajemnica zawodowa, że się trąbi o wszystkim na prawo i lewo?

Magda przysłała maila, w którym poinformowała mnie, że dziękuje za załatwienie opieki dla Romana, ale musi teraz wziąć miesiąc wolnego, by się nim zająć. Zagipsowali go od palców po pachwinę. Szczęściara, serio. Ja tu próbuję dopłynąć gdziekolwiek na tonącej łajbie, a ona po prostu chwyciła koło ratunkowe, wyskoczyła za burtę i zaczęła dryfować na suchy ląd. No tak, bo jak trzeba zbierać pochwały, to solidarnie, ale jak się wszystko psuje, to po głowie dostają tylko ja.

Kolejna była moja matka. Ponoć Kuba zadzwonił do niej pochwalić się, że będzie miał rodzeństwo. Oczywiście nie sprecyzował konkretów i mama zadzwoniła zrobić mi wyrzuty za moją nieodpowiedzialność i rozwiąźłość. Serio? Okej! Wiem, że nabroiłam, ale czy wszyscy i wszystko muszą mi o tym tak dobitnie przypominać?

– Co tu się dzieje? – Kiedy schowałam się w łazience przed kolejnym ciosem, usłyszałam jakiś rumor na korytarzu.

Wysłałam i zobaczyłam Grzegorza przebijającego się przez sterty rozrzuconych na podłodze papierów. Tak, próbowałam to uporządkować, ale – jak pewnie łatwo się domyślić – nie udało mi się.

– Nie, nie, nie! – warknęłam na jego widok. – Zgiń, przepadnij! Nie chcę nic wiedzieć, nie pomogę ci!

– Hej, spokojnie! – Podniósł ręce w geście kapitulacji. – Przychodzę z pokojowymi zamiarami – dodał ze śmiechem.

– Skoro niczego nie chcesz, to lepiej sobie idź, bo zarazam życiową nieudolnością – westchnęłam.

Grzegorz popatrzył na mnie badawczo. Odwróciłam się i w witrynie obok zauważyłam, że jestem cała rozmazana.

– Jednak zaryzykuję – powiedział stanowczo, po czym zaczął zbierać papierzyska z podłogi. – Opowiesz mi, co się dzieje?

No dobra, przyznaję i biję się w piersi – ten facet jednak miał jaja. W dodatku, mimo że udzielałam mu, jakby nie patrzeć, płatnych usług, postanowił po ludzku, po przyjacielsku podać mi pomocną dłoń. Naprawdę jestem zaskoczona. Serio.

Zaparzyłam herbatę, wygrzebałam z szuflady jakieś ciastka i zasiedliśmy w gabinecie. Opowiedziałam mu o Piotrze, o Sabinie, o złamanej nodze Romana, o ciąży Beaty, o kłótni z mamą i o wpadce z imprezą. Wszystko. Siedział cierpliwie i słuchał jak prawdziwy przyjaciel.

– Przede wszystkim przestań panikować – powiedział na koniec. – Może nie wszystko, ale większość da się naprawić.

– Serio? – warknęłam ironicznie.

– Pomogę ci. Ty mi pomogłaś – uspokajał mnie.

– Płaciłeś mi, wykonywałam swoją pracę.

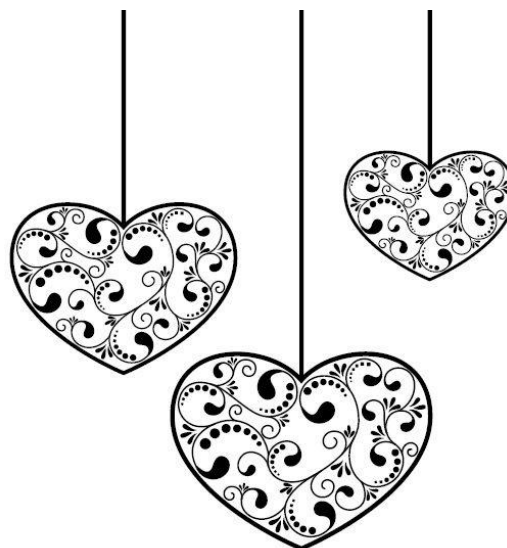
– Ale nie musiałeś. Mogłaś odmówić, w końcu moje potrzeby wykraczały poza ramy twojej działalności. A ty nie wyglądasz na materialistkę, która dla kasy zrobi wszystko. To się czuje. Pomogłaś mi z dobrego serca.

– To akurat prawda.

– No widzisz! Zatem teraz przyszedł czas na spłatę długu. I uprzedzając twoje następne pytanie, zrobię to z przyjemnością, a nie z poczucia obowiązku. – Poklepał mnie po ramieniu. – Przede wszystkim roześlij do klientów informację, że do końca tygodnia biuro będzie nieczynne. Nie naprawimy szkód, jeśli kolejne katastrofy będą nam spadać na głowy. Daj im znać, że szykujesz dla nich coś specjalnego, na co warto czekać. Wiesz, coś w stylu „W związku z ogromnym powodzeniem działalności biura i sporym zainteresowaniem, informujemy, że przez kilka następnych dni, będziemy usprawniać system i szkolić nowych pracowników, by móc jeszcze dokładniej spełniać państwa oczekiwania i szybciej reagować na potrzeby. Wracamy od poniedziałku z nową siłą, nowymi pomysłami, ale z tym samym bożkiem miłości”.

– Dobrze! – Kiwnęłam głową z uznaniem.

– No, to do roboty!



Słynne powiedzenie głosi, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Podpisuję się pod tym rękami i nogami.

Grzegorz dokonał rzeczy niemożliwej – przekonał mnie, że wszystko można naprawić. No, może nie wszystko, ale przynajmniej warto spróbować. Niestety okazało się, że dwie pary rąk to za mało na ten cały galimatias. Jakież było moje zdziwienie, gdy po środowych nieudanych próbach opanowania Kupidynowej katastrofy z Grzegorzem, w czwartek rano w biurze stawili się: Pola, Kuba, Doti, Andrzej, Beata i pani Czesia – oczywiście z paterą obładowaną szarlotką. Magda i Roman działali z domu. Wzięli na siebie facebook i akcję z andrzejkami integracyjnymi. A mama z tatą zajęli się ich dziećmi, by ci mogli pracować swobodnie.

Łzy napłynęły mi do oczu, gdy ich zobaczyłam. Jakież to szczęście mieć wokół siebie tylu wspaniałych ludzi! Wstyd przyznać, że zawsze wiedziałam, że są obok mnie, a jednak ich nie doceniałam.

Pola z Grzesiem zajęli się sprzątaniami biura. Moja frustracja spowodowana niepowodzeniami objawiła się tworzeniem artystycznego bałaganu. Trzeba było na nowo powpinać akta do segregatorów, wszak jeszcze nie wszystko było w bazie. Zetrzeć kurze, powycierać podłogi, uporządkować biuro.

Kuba z Andrzejem walczyli z komputerem. Zainstalowali mi nowe

oprogramowanie, spersonalizowali mój system pocztowy i dodali wiele innych ciekawych bajerów, o których wcześniej nie miałam bladego pojęcia.

Doti wzięła na siebie telefon. Zrobiła listę klientów i obdzwoniła wszystkich, informując ciepłym, serdecznym głosem, że co prawda mamy chwilowy remont, ale lada dzień wracamy z nową siłą i zapraszamy. Roztaczała przy tym wizję nowoczesnej, prężnie działającej, ale wciąż kameralnej i komfortowej firmy. Zachęcała do zapisów, mówiąc, że wolnych terminów mamy coraz mniej.

Beata z panią Czesią zorganizowały bufet. Okazało się, że Beacie w ciąży dopisuje wyjątkowy apetyt i jak się dosiadła do szarlotki, to pochłonęła ponad połowę. W przerwie wysłały więc Doti po zakupy i zrobiły kanapki, koreczki, deskę serów i do tego kilka półmisek z owocami i słodyczami. W końcu ciężka praca idzie zdecydowanie lepiej, gdy się ma pełny żołądek.

Wstyd przyznać, ale ja usiadłam w kącie i udając, że robię porządki w papierach, po raz kolejny czytałam wiadomość od Piotra.

Czułam jakąś wyjątkową pustkę. Cały czas zastanawiałam się, czy powinnam do niego napisać, zadzwonić – zrobić cokolwiek, by spróbować to naprawić. Zależało mi, naprawdę cholernie mi na nim zależało, ale bałam się odrzucenia. Powoli godziłam się z myślą, że to jest właśnie moje przeznaczenie. Dokładnie tak samo jak było z Sabiną. Miała w sobie tak wielkie pokłady miłości – miłości do syna, który nie wiedział o jej istnieniu; miłości do ukochanego, który odszedł, zanim zdążyli się sobą nacieszyć. Kipiała tym uczuciem. I znalazła sobie na to sposób.

Miłość mnożysz, kiedy się nią dzielisz – to kolejne mądre powiedzenie. Może to trochę dziwne, bo miłość Saby była przecież jakby nieszczęśliwa, niespełniona, pełna bólu. A może Sabina czuła ulgę, gdy udało jej się połączyć jakieś zagubione dusze; sprawić, że między nimi rozkwitło to piękne uczucie? Może to jest właśnie sekret „Kupidyna” i dlatego mnie wszystko idzie jak po grudzie? Niby moje miłości też są w jakiś sposób nieszczęśliwe. Jestem podwójną rozwódką i właśnie zaprzepaściłam szansę na poważny, prawdziwy związek.

Późnym popołudniem sytuacja była opanowana, a ja uświadomiłam sobie, że historia znów zatoczyła pewien krąg. Może niekoniecznie w taki sposób, jak chciałam, ale osiągnęłam zamierzony cel. Chciałam poprawić relacje z najbliższymi i udało mi się! Chciałam wyciągnąć seniorów z domu – na razie była tu tylko pani Czesia, ale to dobry początek. Chciałam też być dobrą matką. Może to nie był najlepszy przykład, bo to właśnie mój syn stał się świadkiem mojego upadku. Ale pokazał, że dobrze go wychowałam, bo nie odwrócił się ode mnie. I pomógł mi wstać. Wierzył, że to ma sens. Czy trzeba czegoś więcej? W dodatku ta cała Doti to super dziewczyna. Może to zbyt wcześnie na poważne związki, ale mieć pierwsze doświadczenia z taką kobietą to dobry początek.

Największym objawieniem stała się dla mnie Beata. To ona uzmysłowiła mi

jedną z najważniejszych rzeczy. Kobieta, która jeszcze całkiem niedawno zwierzała mi się, że rozstała się z mężem, bo nie chciała mieć dzieci, teraz promieniała, radośnie gładząc się po brzuchu i tuląc się do Andrzeja. Może to nie jest tak, że czegoś nie chcemy, nie możemy, a coś się nam nie udaje, bo jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Może robimy to w niewłaściwym czasie, miejscu, towarzystwie? Może to głupie porównanie, ale pamiętam, że kiedy Andrzej przynosił mi kwiaty, to złościłam się, że niepotrzebnie wydaje pieniądze. Nie umiałam się tym cieszyć, docenić jego gestu. Wkurzało mnie to. I stwierdziłam po prostu, że ja nie lubię dostawać kwiatów. Może mam jakieś zapędy ekologiczne? Kiedy dostałam kwiaty od Piotra, czułam się jak królowa, byłam szczęśliwa, wniebowzięta. Może więc nie chodzi o same dostawanie kwiatów, tylko o to, od kogo się je dostaje? Może to właśnie jest... przeznaczenie?

Po ciężkiej pracy zjedliśmy razem posiłek i wypiliśmy wspólnie herbatę. Było wspaniale. Gwarnie, wesoło, ale jednak wciąż pusto. Andrzej z Beatą pojechali do domu, Grzegorz z Polą do kina, Kuba i Doti wyruszyli na poszukiwanie butów do garnituru Kuby, a ja z panią Czesią podreptałyśmy do domu.

Stałyśmy na korytarzu i każda gmerała w swojej torbie w poszukiwaniu kluczy, kiedy pani Czesia odwróciła się do mnie i powiedziała nagle:

– Nie odpuszczaj tak szybko, moje dziecko.

– Nie mam zamiaru. Przecież nie będę spała na wycieraczce! – Zaśmiałam się, myśląc, że jej słowa dotyczą moich poszukiwań kluczy.

– Nie chodzi o klucze, tylko o tego mężczyznę. Nie odpuszczaj tak szybko – dodała nieco pewniej.

Byłam zaskoczona jej słowami. Starsza, skromna pani, która żyje sobie gdzieś w cieniu tego prawdziwego życia i na każdym kroku usuwa się w cień, zdobyła się na odwagę, by powiedzieć, co myśli. Uznała, że musi znaleźć w sobie siłę i zrobiła to dla mnie.

– Chyba za dużo się wydarzyło – westchnęłam, opierając się ciężko o drzwi.

Podeszła do mnie bliżej, wzięła ode mnie moją torebkę, wysypała wszystko na wycieraczkę, podniosła klucze i podała mi je.

– Wielu ludzi kocha do utraty tchu, lecz traci tę miłość przez wypadki, choroby, rozłąki, śmierć. Ty masz miłość w zasięgu ręki, nie bój się wyciągnąć po nią ręki. Myślisz, że dostaniesz po łapach? Czymże będzie ta zadana rana w porównaniu z tęsknotą i ciągłymi domysłami, co by było gdyby? – powiedziała i weszła do swojego mieszkania.

Stałam jeszcze chwilę na wycieraczce, myśląc nad jej słowami. Miała rację, a właśnie za to kochałam starszych ludzi. Tryskali życiową mądrością, szczerością i prawdą. Nie mogłam tak łatwo odpuścić! Moim przeznaczeniem nie jest być lub nie być z Piotrem. Moim przeznaczeniem są ludzie i zdarzenia, których

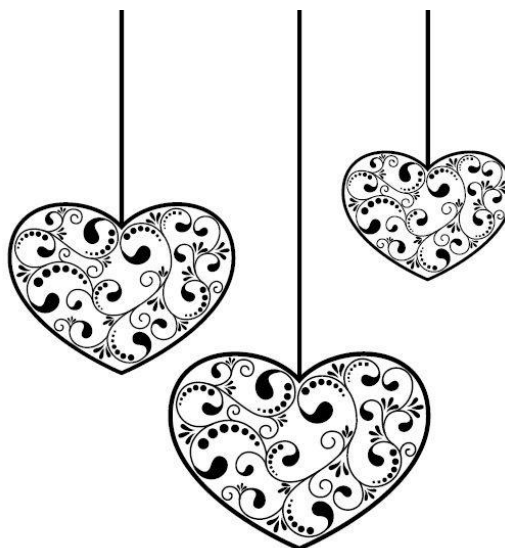
doświadczam każdego dnia. Moim przeznaczeniem jest ta starsza pani, która pozbyła się swoich kompleksów i lęków, by zawalczyć o mnie.

Weszłam do domu, rzuciłam kurtkę i torbę na komodę i pobiegłam do laptopa. Chwilę później wpatrywałam się w migający kursor. Wzięłam głęboki oddech i intensywnie rozmyślałam, od czego zacząć. Kiedy w mojej głowie w bólach zrodziło się pierwsze zdanie, nagle laptop wyłączył się, iskrząc i dymiąc. Odrzuciłam go na bok i przykryłam kocem, bojąc się, że się zapali. Smród spalonych przewodów ogarnął cały salon. Podniosłam koc – próbowałam włączyć laptopa, nawet nim potrząsać, ale zero reakcji. Pobiegłam do pokoju Kuby. Chciałam włączyć jego komputer, ale nie było prądu. Chyba od zwarcia w moim laptopie wysadziło korki. Sprawdziłam skrzynkę – wszystko było na miejscu. A więc mogło być na odwrót. Awaria zasilania spaliła laptopa. Usiadłam bezradnie na dywanie. Telefon! Napiszę maila z telefonu. Rzuciłam się do mojej torebki, ale telefonu w niej nie było. Nie znalazłam go również w kieszeni kurtki. Musiałam zostawić go w pracy. Dobra, już chyba więcej znaków nie potrzebuję, by zrozumieć, że ja wcale nie mam pisać tego maila.

– Przeznaczenie, psia mać! – zaklęłam pod nosem.

Wzięłam kąpiel przy świecach i położyłam się spać. Myślałam jeszcze, czy nie zajrzeć do pani Czesi. W sumie wypadałoby, tak bardzo mi dziś pomogła. Ale pewnie już spała. Trochę się napracowała, a najmłodsza już nie jest. W dodatku w odróżnieniu ode mnie miała czysty umysł i pewnie usnęła jak dziecko.

Przytuliłam się do poduszki i nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.



– Chcesz iść tak ubrana? – Kuba zajrzał przez szparę w drzwiach i wydał osąd.

– A jak mam iść? – zdziwiłam się. – Nie jestem gościem balu, tylko pomagam przy obsłudze. – naciągnęłam jeansy na tyłek i wsadziłam koszulkę do środka.

– Mamo, nie rób wiochy. Wszyscy będą wystrojeni.

– Kubuś, ale ja to nie wszyscy. Do krojenia ciasta i rozdawania jednorazowych kubków nie potrzebuję balowej sukni – oznajmiłam stanowczo.

– Ubierz tę czerwoną sukienkę z ubiegłego Sylwestra. Widziałem, że wciąż wisi w szafie – upierał się mój syn.

– Nie mam ogolonych nóg, sorry.

– To chyba nie problem. Mamy jeszcze chwilę czasu. Możesz pożyczyć maszynkę ode mnie. Chyba nie chcesz mi zepsuć wieczoru! – ponaglił mnie.

Dobra, może Kuba ma rację. Będę tam jakby trochę odstawać. Zerknęłam na zegarek. Cholera, ogolić nogi zdążę, ale nie mam rajtuz.

– Kolor, rozmiar i kasa. – Kuba znów wsadził nos do łazienki.

– Słucham?

– No tych rajtuz. Jakie mają być?

Przecież nie powiedziałam nic o rajtuzach! Skąd on wiedział? Dobra,

nieważne. Najwyraźniej jest bystrzejszy, niż myślałam. Do roboty.

Godzinę później byłam gotowa. Gładkie nogi, czarne kabaretki – tak mu doradziła sprzedawczyni – i ona: mała, czerwona i seksowna sukienka. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz tak się stroiłam. Chyba właśnie na pamiętnego Sylwestra. I może dlatego Kuba zapamiętał tę sukienkę. Innego wytłumaczenia nie widziałam.

Doti, która przyjechała po Kubę, zrobiła mi makijaż i upięła włosy. Swoją drogą... za naszych czasów to chłopak przyjeżdżał po dziewczynę, a nie odwrotnie. W sumie to za moich czasów bal integracyjny na początku liceum był nie do pomyślenia.

Mieliśmy pojechać do szkoły taksówką, ale Andrzej tak bardzo chciał zobaczyć Kubę na gali, że zaoferował się, że nas odwiezie. Kiedy mnie zobaczył w tej sukni, widziałam, że lekko drgnęła mu powieka. Może jednak te dwadzieścia lat razem coś dla niego znaczyło? Cieszę się, że założyłam tę sukienkę. Może bywam nudna, może zaliczam wpadki i upadki, ale mam przynajmniej klasę. Jeansy i T-shirt byłyby oznaką słabości, desperacji i beznadziei.

Kiedy impreza się zaczęła, ja zaczęłam żałować, że za naszych czasów nie było takich balów. Dzieciaki szalały, muzyka porywała, a stoły uginały się od jedzenia. Mnóstwo balonów, kolorów, wrzawa, radość. A w tym wszystkim ja – sama. Co prawda byłam tu do pomocy, nie do zabawy, ale inni rodzice kiwali się na parkiecie między serwowaniem kolejnych dań, a ja grzałam ławę. Zaczęłam intensywnie rejestrować w głowie te wszystkie ozdoby i dobrodziejstwa, może wykorzystam trochę przy organizacji andrzejkowego spotkania w biurze. O, na przykład te balony w kształcie serca. Takie same jak na pogrzebie Sabiny. Znów zatapiałam się we wspomnieniach. Gdyby ktoś powiedział mi rok temu, że będę właścicielką biura matrymonialnego, popukałabym się w głowę.

Życie bywa zaskakujące, nie?

– Mogę prosić panią do tańca? – Z zamyślenia wyrwał mnie czyjś głos.

Odwróciłam się i zamarłam. Stał tam. W tej samej eleganckiej, idealnie dopasowanej marynarce, z różą w ręku i łobuzerskim uśmiechem. Mrugnęłam kilka razy, bo zdawało mi się, że te moje wszelkie przemyślenia roztaczają przede mną jakieś nierealne wizje. Ale on naprawdę tu był!

Rozejrzałam się po sali. Kątem oka spostrzegłam tulących się do siebie Grzegorza i Polę. Pomachali do mnie i posłali mi szerokie uśmiechy, po czym spojrzeli sobie w oczy i pocałowali się.

Obejrzałam się z powrotem za siebie. Piotr wciąż tam stał.

– Zaraz skończy się piosenka i orkiestra pójdzie odpocząć – ponaglił mnie.

Wstałam, wciąż otepiała, i podeszłam do niego. W oddali za nim zobaczyłam skaczącego radośnie Kubę. Spisek!

Chciałam o coś zapytać, cokolwiek powiedzieć, wytłumaczyć, ale Piotr

najpierw położył mi palec na ustach, prosząc, bym nic nie mówiła, a potem przytulił mnie mocno i zakołysał w tańcu. Kapela grała jeden z hitów Maryli Rodowicz:

Chuda jak słomka cizia-blond
i z lichym torsem starszy pan
tęga madame, co z psiną
przez osiedle mknie

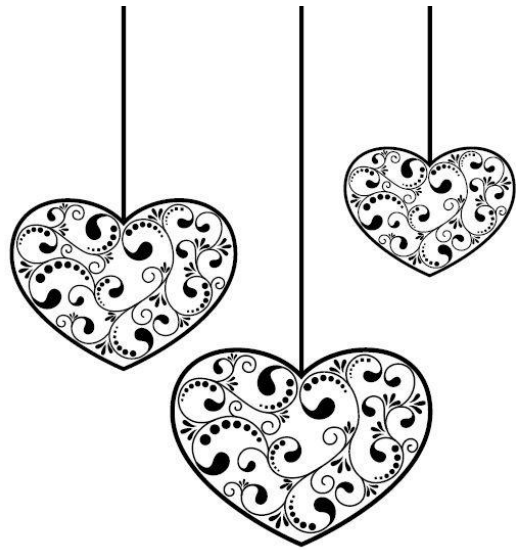
ruda z parteru i jej mąż
zrzęda w berecie lila-róż
jurny fabryki stróż
o jednym tylko śnią –

wszyscy chcą kochać
choć nie przyznają się
tak pięknie jak w kinie
jak we śnie
wszyscy chcą kochać
do utraty tchu
zmysły postradać bezpowrotnie
choćby raz
jeden jedyny raz...

głodna modelka, krawiec mruk
dama co z nagłą wpadła w cug
grubas w tureckim swetrze
pijak z baru „miś”

grafik co preferuje jazz
aktorka w norkach, fryzjer gej
wdowa, co szłocha w noc
o jedno proszą los.[1]

[1] Słowa: Katarzyna Nosowska, wykonanie: Maryla Rodowicz.



Przeznaczenie. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie na siłę próbował przekonać cię, że ono istnieje. Nawet jeśli złe moce niweczą twoje plany, ono i tak dopnie swego.

Sabinie nie dane było obdarować swojego syna matczyną miłością, a kochała go szalenie. Piotr dał mi przeczytać jej listy. Przepłakałam nad nimi długie godziny. Każda litera kipiała tęsknotą i miłością. Jako matkę rozdzierał mnie ból i żal. Może to faktycznie przypadek, że znalazłam te listy i kazałam je wysłać. A może właśnie tak miało być? Nie mogła go kochać tak, jak chciała, ale dała mu mnie i teraz mieliśmy naszą miłość. Wiem, że obserwuje nas z góry i oddycha z ulgą. Ona i jej Kupidyn, którego całe życie nosiła na ramieniu i który pomagał jej łączyć ludzi. Los kiedyś rozdzielił ją z ukochanym synem, ale nie rozdzielił ich na zawsze.

„Kupidyn w spodnicy” miał być moim wyjściem awaryjnym. Sposobem na przetrwanie, niewiele znaczącym.

I tylko Sabina uwierzyła, że miłość jest moim przeznaczeniem.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla wydawnictwa za zaufanie i pomoc przy wydaniu tej książki. Dla całej ekipy redaktorów, korektorów, grafików, speców od promocji i wszystkich innych zaangażowanych w powstanie tego dzieła.

Dziękuję również patronom, recenzentom, blogerom, księgarzom, bibliotekarzom. Za czytanie, komentowanie, doradzanie, chwalenie i karcenie.

Dziękuję moim najbliższym za cierpliwość, wyrozumiałość i wsparcie, bez którego nie mogłabym realizować swojej ogromnej pasji pisania.

Specjalne podziękowania dla autora bloga „Historia Kanta” za inspiracje w wątku opisującym domówkę Kuby.

Pozdrowienia, uściski i niskie ukłony dla wszystkich czytelników.

Magda Trubowicz

